

POLSKA-IZRAEL
Skąd się wzięła
ta awantura

TAKI BĘDZIE KOŚCIÓŁ
W Ameryce Południowej
widać siłę wspólnoty

CORAZ MNIEJ SIÓSTR
Zakony szukają sensu
w nowych czasach

WOJCIECH JAGIELSKI
Indie są początkiem
wszystkiego

Kraków 4 lutego 2018 nr 6 (3578)

cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

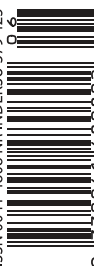
Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

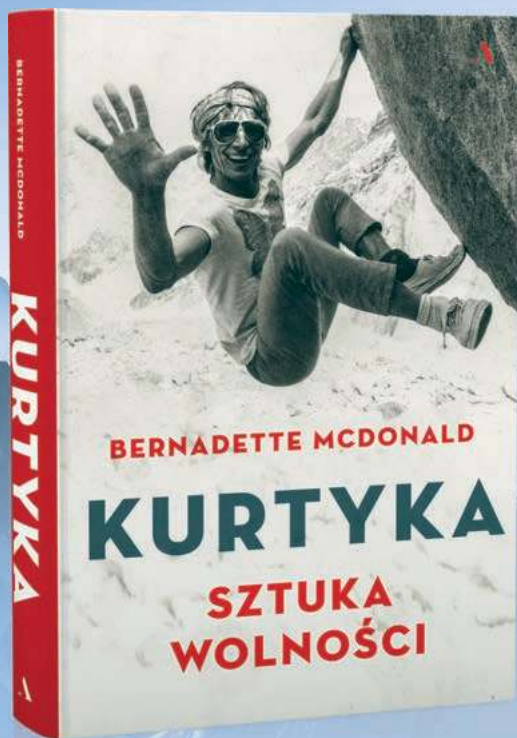
Duch Nagiej Góry

Mackiewicz i Nanga Parbat

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9



Wydawnictwo
Agora

WOJTEK KURTYKA

**BARDZIEJ NIŻ CEL INTERESOWAŁA GO DROGA.
BARDZIEJ NIŻ OSIĄGNIĘCIA – ICH STYL.
HISTORIA WYBITNEGO INDYWIDUALISTY,
KTÓRY PRZECZ CAŁE ŻYCIE UNIKAŁ
ROZGŁOSU I MEDIÓW.**

PIERWSZA BIOGRAFIA JUŻ W SPRZEDAŻY

PATRONI MEDIALNI:

wyborcza wyborcza.pl GAZETA.PL SPORT.PL wspinanie.pl GÓRY MAGAZYN TURYSTYKI GÓRSKIEJ TATERNIK 110 Sportowa Książka Roku lubimyczytać.pl

KSIĄŻKA DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA KULTURALNY SKLEP.PL W FORMIE E-BOOKA I AUDIOBOOKA NA publio.pl

EMELI, SANDÉ

KONCERT

22.02.2018

ICE KRAKÓW Congress Centre

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL, EMPIK



Prestige 10th Anniversary



DOUBLETREE
BY HILTON
KLASY
HOTEL & CONVENTION CENTER



wprost

Rzecz

GLAMOUR

GAZETA BANKOWA

T3

onet

pap

cgm.pl

gazeta

Multikino

empik

PRESS SERVICE

VIXON

KS. ADAM

Boniecki: Wypróbowani w wierze

Rozmowa Piotra Sikory z o. Kaspem Mariuszem Kaproniem, franciszkaninem żyjącym i pracującym od wielu lat w Boliwii, pozwala spojrzeć na Kościół z perspektywy innej niż nasza polska czy nawet europejska. Misjonarz głoszący Ewangelię w Afryce czy Amazonii musi ze swego mentalnego słownika wykreślić zdanie „bo u nas w Polsce...” i całkowicie się otworzyć na nową dla siebie rzeczywistość, w której głosi Królestwo Boże.

Wśród problemów, o których mówi o. Kaproń, powraca kwestia wprowadzenia instytucji tzw. *viri probati* – żonatych mężczyzn, którzy otrzymywaliby święcenia kapłańskie w regionach dotkniętych brakiem księży. A w Amazonii jeden ksiądz przypada na 10 tysięcy wiernych. O. Kaproń mówi o wspólnotach, które ksiądz odwiedza raz na kilka lat, a życiem religijnym kierują miejscowi, świeccy liderzy. Gdyby ich wysłuchać – mówi – wspólnoty miałyby dostęp do Eucharystii i innych sakramentów. Św. Jan Paweł II w encyklice „*Ecclesia de Eucharistia*” napisał: „Kościół żyje dzięki Eucharystii. Ta prawda wyraża nie tylko codzienne doświadczenie wiary, ale zawiera w sobie istotę tajemnicy Kościoła”.

Według misjonarza już sama idea bezżenności jest dla mentalności ludów andyjskich trudna („osoba staje się pełna dopiero w zespole z drugą rzeczywistością. Nawet gdy coś sżyją – np. obrus czy ponczo – zawsze zszywają razem dwa elementy. Tylko podwójność tworzy pełną jedność”).

Problem nie jest nowy. We wczesnych latach 70. spotykałem we Francji mężczyzn, ojców rodzin, pracujących zawodowo, którzy ukończyli wymagane do otrzymania święceń studia i oczekiwali, że papież, mając z jednej strony sterę prośb parafii o księdza, z drugiej ich podania o udzielenie święceń, wyrazi na to zgodę. Jednak żaden z kolejnych papieży takiej zgody nie wyraził. Wtedy tłumaczono, że Kościół nie chce święcić kapłanów wyłącznie do udzielania sakramentów, bez wszystkich innych funkcji duszpasterskich. Do idei *viri probati* powrócił papież Franciszek. W lutym 2017 r. udzielił wywiadu Giovanniemu di Lorenzo, redaktorowi naczel-



mu „Die Zeit”. Powiedział m.in.: „Musimy zastanowić się nad dopuszczeniem możliwości *viri probati*, żonatych mężczyzn, do niektórych czynności kapłańskich”. Lecz wspominał też o związanych z tym problemach: „musimy – powiedział – jednocześnie określić, jakie zadania mogliby podjąć na przykład w odizolowanych miejscach i wspólnotach”. Podkreślił, że temat powołań kapłańskich „stanowi poważny problem” i Kościół będzie musiał go rozwiązać, „ale dowolność w wyborze celibatatu nie jest żadnym rozwiązaniem”. Zauważył też, że otwarcie drzwi seminariów dla osób, które nie mają autentycznego powołania, także nie jest rozwiązaniem. Dodał: „Pan powiedział nam: módlcie się. I tego nam brakuje, modlitwy. Brakuje też wysiłku i pracy nad młodymi ludźmi poszukującymi swojej drogi”.

Tymczasem słychać głosy, że zwołane na 2019 r. Zgromadzenie Specjalne Synodu Biskupów dla Amazonii ma być w znacznej mierze poświęcone kwestii udzielania święceń wypróbowanym w wierze żonatym mężczyznom (*viri probati*).

Byłaby to decyzja „rewolucyjna”. Za Amazonią poszłyby inne Kościoły cierpiące na brak księży. W konsekwencji mielibyśmy w Kościele dwie kategorie prezbiterów: żyjących w celibacie i oddanych w pełnym wymiarze posłudze Kościoła, i żonatych ojców rodzin, pracujących w swoich zawodach, pełniących w Kościele określone funkcje. Pojawiliby się z pewnością również problem księży, którzy za papieską dyspensą zawarli małżeństwo, założyli rodziny i tęsknią za kapłaństwem. Ci mieliby tytuł do starania o wcielenie ich na nowo w szeregi kapłańskie. Czy z czasem żonaci księża zastąpiliby księży celibatariuszy? Na ten temat można co najwyżej spekulować.

Wiadomość, że na Synodzie Biskupów będzie się rozważać ewentualność rozluźnienia zasady celibatu księży, wzbudza wiele emocji. Są tacy, którzy ze zgrozą głoszą, że Franciszek po ulaskawieniu rozwiedzionych teraz zamierza znieść celibat. Tymczasem papież powiedział tylko, że nad sprawą trzeba się zastanowić.

© P

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 25 stycznia w Calgary (Kanada) zmarł

ś.† P.

Paweł Zdzisław hr. Tarnowski

z Dzikowa

Urodzony 20 stycznia 1937 r. w Dzikowie – Tarnobrzegu. Członek Związku Polskich Kawalerów Maltańskich, współzałożyciel i wieloletni prezes Związku Rodu Tarnowskich. Świetny organizator, niezwykle sumienny i odpowiedzialny, człowiek pogodny, wielkiej dobroci i wspaniałomyślności, hojny dla rodziny i dla młodzieży, także z miasta Tarnobrzegu. Będzie nam go bardzo brakować.

Msza św. za Zmarłego zostanie odprawiona w kościele św. Floriana w Krakowie w poniedziałek 5 lutego o godz. 17.

RODZINA W KRAJU I ZA GRANICĄ

ś.† P.

Ada

z księżąt Lubomirskich z Równego na Wołyniu,

hrabina **Stanisławowa Tarnowska**

urodzona 13 września 1928 roku w Paryżu. Córka Adama i Ady z Rzewuskich, tragicznie zmarłych 1939/40 w Równem pod okupacją sowiecką. Ocalona dzięki interwencji Stolicy Apostolskiej. Kształcona w Szwajcarii, mieszkała w Anglii, w 1962 roku powróciła do Polski. Wspaniała, kochana, zawsze pełna optymizmu i życzliwości dla ludzi. Do ostatnich dni ogarniała nas swym ciepłem. Zmarła niespodziewanie w domu, w otoczeniu najbliższych w Warszawie 8 stycznia 2018 r. Pochowana została w Rudniku nad Sanem 17 stycznia w dniu śmierci Jej Ojca w więzieniu w Równem w 1940 r.

Msza św. odprawiona zostanie 5 lutego o godz. 17 w kościele św. Floriana w Krakowie

RODZINA

POŻEGNANIA

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Polska-Izrael: Interpretacje, emocje, spór
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET z TEL AWIWU

6-11 Wiadomości / Komentarze

16 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

38 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

18 Reforma spalonych mostów
KLAUS BACHMANN: *Skutki zmian w polskim prawie wykrócą daleko poza konflikt z Komisją Europejską*

21 Ślepe ulice
PIOTR KOZANECKI: *Miejskie kłopoty z przestrzenią*

23 Ostatni bastion Macierewicza
RAFAŁ ZYCHAŁ: *Życie wewnętrzne komisji smoleńskiej*

25 Z dworca w Brześciu do Radości
JACEK TARAN: *Jak się spotkały polska starość i czeczeńska trauma*

■ ■ WIARA

28 Kościół zmierza w innym kierunku ROZMOWA
Z O. KASPREM MARIUSZEM
KAPRONIEM, MISJONARZEM
W BOLIWI

32 Duch czy zaduch
MACIEJ MÜLLER: *Skąd spadek powołań do zakonów żeńskich*

34 Raport z końca świata
DARIUSZ ROSIAK: *215 milionów chrześcijan doświadcza prześladowań*

37 Spór o Święte Miasto
JÓZEF MAJEWSKI: *Zwierzcchnicy religijni radzą nad Jerozolimą*

■ ■ ŚWIAT

40 Długi koniec pewnej epoki
GRZEGORZ SZYMANOWSKI: *Żmudne klejenie niemieckiego rządu*



©RUSSIANCLIMB / DENIS URUBKO

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■

10 Duch Nanga Parbat
MAREK RABIJ

Czy było warto? Po co?
Każdą śmierć budzi natychmiast dyskusję na ten temat. Wspinaczom nie udało się jeszcze znaleźć dobrej odpowiedzi, może więc problem tkwi w pytaniach?

14 Osiem tysięcy metrów ryzyka
ROZMOWA Z BOGUMIŁEM SŁAMĄ,
INSTRUKTOREM ALPINIZMU

Wspinaczka to intymne zajęcie.
Nie mówi się o nocach w samotności,
kiedy przychodzą demony.

■ ■ FELIETONY ■

27 ANNA DZIEWIT-MELLER

39 SZYMON HOŁOWNIA

66 JAN KLATA

67 PAWEŁ BRAVO

73 ANDRZEJ STASIUK

74 STANISŁAW MANCEWICZ

74 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: TOMASZ MACKIEWICZ
Fotografia: MICHAŁ OBYRYCKI / FORUM
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

43 Zwolnieni do życia

MONIKA ANDRUSZEWSKA
o ukraińskich żołnierzach w niewoli

46 Gdy śpiew ptaka odmierza godziny

PATRYCJA BUKALSKA: *Jak Australia traktuje uchodźców*

48 Dwa oblicza Australii

ROZMOWA Z RICHARDEM
FLANAGANEM, PISARZEM

■ ■ HISTORIA

50 Tyrani tak, idioci nie

ANNA ŁABUSZEWSKA: *Rosja się klóci o komedię „Śmierć Stalina”*

■ ■ NAUKA

52 Jak czytać przyszłość

RADOŚLAW ZYZIK

■ ■ KULTURA

54 Mój kontynent

ROZMOWA Z WOJCIECHEM
JAGIELSKIM *o jego nowej książce i o jego Indiach*

58 Skradziony elementarz

DARIUSZ KOŚCIŃSKI: *Piotr Cieplak kiedyś robił najszybszy teatr w mieście. Teraz robi najgłębszy*

60 Odejdźcie mocy

WIT SZOSTAK *o Ursuli K. Le Guin*

64 Możliwość zmiany

ANITA PIOTROWSKA *o „Trzech billboardach za Ebbing, Missouri”*

65 Warto zobaczyć w TV

66 „Z wami czuję się dobrze”
LEKTOR: *Listy Giedroycia i Wittlina*

■ ■ ZMYŚLY

68 Pularda w żałobie

MAREK BIEŃCZYK: *Pożegnanie Paula Bocuse’a*

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabić, Mariusz Sepiolo,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław
Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski,
Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota
Kozłowska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał

P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina Przewrocka-Adaret,
Jakub Puchalski, Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński,
abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Teresa Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak,
Joachim Trenkner, Marek Zajac
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak,
Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Michał Filipiuk-
Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ® mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



Przed Międzynarodowym Dniem Pamięci o Ofiarach Holokaustu, Instytut Yad Vashem, Jerozolima, 25 stycznia 2018 r.

Polska-Izrael: interpretacje, emocje, spór

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
Z TEL AWIWU

DLACZEGO IZRAELCZYCY TAK GWAŁTOWNIE reagują na przyjęcie przez Sejm nowelizacji ustawy o IPN?

Szukając odpowiedzi, już na początku zaznaczmy: w polsko-izraelskiej awanturze, która wybuchła w sobotę 27 stycznia, w Międzynarodowy Dzień Pamięci o Ofiarach Holokaustu (i dzień po tym, gdy Sejm przyjął nowelizację), a w której zabrali głos izraelski prezydent, premier, liderzy opozycji i instytut Yad Vashem, wcale nie chodzi o „polskie obozy”.

Naprawdę, trudno zarzucić Izraelczykom, że nie wiedzą, kto zbudował obozy koncentracyjne i zagłady. Ponadto w ostatnich latach w wielu wypowiedziach i oświadczeniach instytucje izraelskie, w tym Yad Vashem, wspierały (tak, wspierały, również i teraz!) polski sprzeciw wobec tego krzywdzącego sformułowania (np. wspólne stanowisko rządu Polski i Izraela przyjęły w dokumencie podpisanym w listopadzie 2016 r.).

W emocjonalnej debacie, która rozpaliła izraelską opinię publiczną, nie chodzi o to, by odebrać Polsce prawo do obrony

przed fałszywymi oskarżeniami. O co więc chodzi?

W świetle tego, co powiedziano wyżej, niektóre głosy w obecnej dyskusji wydają się niedorzeczne. „Były polskie obozy śmierci i żadne prawo nigdy tego nie zmieni” – pisał na Twitterze Jair Lapid, jeden z czołowych polityków (sondaże sugerują, że może być premierem). Lapid jest znany z drażliwych reakcji, bo pochodzi z rodziny dotkniętej Holokaustem i – jak mówi – także polską krzywdą. Tą samą drogą ambasada RP odpowiedziała mu, że jego „niepoparte twierdzenia pokazują, jak ogromnie potrzebna jest edukacja o Holokauście, nawet tu, w Izraelu”.

Izraelskie media chętnie cytowały tę (mało dyplomatyczną) wymianę zdań, przywołując jej kontekst: projekt ustawy, który w artykule 55 a i b stanowi, że „kto publicznie i wbrew faktom przypisuje Narodowi Polskiemu lub Państwu Polskiemu odpowiedzialność lub współodpowiedzialność za popełnione przez III Rzeszę Niemiecką zbrodnie nazistowskie (...) podlega karze grzywny lub karze pozbawienia wolności do lat 3”. I dalej: „Niezależnie od przepisów obowiązujących w miejscu popełnienia czynu zabronionego niniejszą

ustawę stosuje się do obywatela polskiego oraz cudzoziemca”.

W istocie nie chodzi tu – gdy mowa o izraelskich reakcjach – o sformułowanie „polskie obozy”, lecz o ten artykuł. Albo, precyzyjniej: o jego możliwe interpretacje i skutki. Np. jak prokurator IPN (bo ustawa na niego nakłada ten obowiązek) ma interpretować tekst dziennikarski na temat hipotetycznego zjawiska antysemityzmu w kierownictwie Polskiego Państwa Podziemnego. Wszak chodzi o polskie państwo: czy to już „przypisywanie współodpowiedzialności państwu”? Albo: czy podjęcie (nie przez naukowca czy artystę, bo tych ustawa wyłącza spod penalizacji, lecz np. dziennikarza) tematu szmalcowników i skali zjawiska w społeczeństwie to już „przypisywanie współodpowiedzialności narodowi”? Albo: czy słowa „Polacy mordowali w pogromach” już znieważają naród?

W Izraelu podniósł się raban, bo trudno zliczyć tu ludzi, w których przekazie rodzinnym pojawiają się np. historie o Polakach szmalcownikach. Fakt, Izraelczycy reagowali histerycznie: że oto Polska wprowadza prawo, które będzie karało za publiczne opowiadanie rodzinnych

→ historii. Dziennik „Haaretz” pisał (w wydaniu anglojęzycznym), że w Polsce karana ma być „każda wzmianka o polskich zbrodniach na Żydach”. Dziennik „Jediot Ahronot” opublikował okładkę z hasłem „Prawda z Polski” i zamieścił historie kilku rodzin skrzywdzonych przez Polaków. Izraelscy przewodnicy pytali ministerstwo edukacji, czy mogą dalej bezpiecznie jeździć do Polski.

Gdyby szukać innych jeszcze przyczyn takich reakcji, wydaje się, że rolę odgrywa też kontekst: sytuacja w Polsce po ostatnich wyborach. To nie pierwszy raz od 2015 r., gdy Izraelczycy słyszą, że w polskiej debacie publicznej nie ma miejsca na mówienie o wzajemnych krzywdach. Tutejsze media, które niemal przegapiły debatę toczącą się w Polsce od lat 90. XX w., teraz podniosły alarm. Ich zdaniem art. 55 a i b budzi wiele emocji właśnie dlatego, że zostawia pole do rozmaitej interpretacji, a dopóki w grę nie wejdzie orzecznictwo sądowe, trudno przewidzieć jego stosowanie w praktyce.

Polityczno-emocjonalna awantura ujawnia też znów głębokie, trudne do zaleczenia rany między Polakami a Żydami. Pokazuje, że nie da się ich zbliznić udając, iż temat ogranicza się do Sprawiedliwych. Że są historie domagające się opowiedzenia, nim odejdzie ostatnie pokolenie, które tę tragedię przeżyło. I że ważne jest zrozumienie dla wzajemnych przeżyć.

Historii, zwłaszcza tej budzącej emocje, nie uda się zostawić historykom. To niewykonalne – nie tylko w Polsce czy Izraelu. A jednak przyjmując prawo dotyczące interpretowania tak trudnej historii politycy biorą na siebie szczególną odpowiedzialność. Powinni rozważyć i to, jak zostanie ono odebrane przez ludzi, których przecież też dotyczy: ofiar Holokaustu i ich rodzin. Nie robiąc tego ryzykują, że prawo, które miało poprawić wizerunek Polski w świecie, może go niszczyć.

Ustawą zajmie się teraz Senat. Jest jeszcze czas, by nad nią pracować. Tylko czy jest wola? ©

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Szkota i niepełnosprawność



EWELINA BURDA

PONAD 184 TYS. UCZNIÓW Z NIEPEŁNOSPRAWNOŚCIAMI uczyło się w polskich szkołach w roku szkolnym 2016/17: w placówkach specjalnych (42 proc.), integracyjnych (19 proc.) i tych ogólnodostępnych (39 proc. – tu o 7 proc. więcej niż rok wcześniej). Najwyższa Izba Kontroli podaje w nowym raporcie, że w ostatnich latach znacznie wzrosła w Polsce dostępność edukacji uczniów z niepełnosprawnościami razem z ich rówieśnikami w szkołach i przedszkolach najbliższych ich miejscu zamieszkania, a liczba uczniów z niepełnosprawnościami, którzy realizują edukację włączającą, zwiększa się. Jednak wyniki kontroli pokazują także ciemniejszą stronę tej rzeczywistości: aż w połowie ogólnodostępnych szkół i przedszkoli, w których kształcono uczniów z niepełnosprawnościami, nie było ku temu odpowiednich warunków.

Zbyt liczne klasy, brak doświadczenia i wiedzy dotyczącej organizacji pracy z uczniem niepełnosprawnym, niewłaściwie zorganizowane zajęcia dodatkowe. Nieodpowiednie sale zajęciowe i bariery architektoniczne. Problemy z przydzielaniem uczniom odpowiedniej liczby godzin wsparcia i pomocy psychologiczno-pedagogicznej. Braki w kadrach o odpowiednich kwalifikacjach – np. mimo wprowadzenia obowiązku zatrudnienia dodatkowej osoby współorganizującej naukę uczniów z autyzmem, nie zrobiono tego niemal w połowie placówek.

W raporcie czytamy, „że w ostatnich latach kwestii popularyzacji i dostępności edukacji włączającej nadawano ważne znaczenie”.

Oby coraz większe znaczenie nadawano także warunkom, w jakich ta edukacja się odbywa. ©P

Piśro w ręku prezesa

LIDER PIS listy do partii pisze raz na parę lat – zazwyczaj wtedy, gdy na horyzoncie dostrzega wizerunkowe problemy. Tak było jesienią 2010 r., po przegranych wyborach prezydenckich, gdy pojawiły się plotki o próbach odsunięcia go od władzy. Zapewniał wówczas, że informacje o abdykacji są nieprawdziwe. Na początku 2015 r. apelował do partii o wsparcie dla mało znanego europosła Andrzeja Dudy. Teraz też prezes napisał list dlatego, że w PiS pojawiły się turbulencje. Mimo jasnego polecenia senatorowie PiS w tajnym głosowaniu sprzeciwili się aresztowaniu Stanisława Koguta (na zdjęciu), podejrzewanego przez proku-



raturę o korupcję. Obawiają się, że wniosek o areszt to element rozgrywki, którą przeciw Kogutowi prowadzi Ziobro – panowie od lat ostro ze sobą walczą w Małopolsce.

List prezesa został opublikowany na oficjalnych profilach partii, co jest teatrem, który ma wyborcom pokazywać, że Kaczyński zmarszczył brwi i uderzył pięścią w stół. W praktyce jednak ten list pokazuje, gdzie kończy się władza Kaczyńskiego nad PiS – tam, gdzie zaczyna się anonimowość, która chroni przed odpowiedzialnością. Kaczyński próbuje też w nim zepchnąć na prezydenta odpowiedzialność za usunięcie z rządu najbardziej dosadnych postaci PiS. Mimo podpisania przez Dudę ustaw sądowych, dawne zaufanie prezesa już nie wróci. ©

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Za parawanem liczb

„**DZISIAJ WYDAJEMY** trzy razy więcej na sądownictwo w relacji do budżetu, niż wynosi przeciętna europejska. (...) Gdybyśmy byli mniej więcej na poziomie średniej dla UE, to zaoszczędzilibyśmy 3-4 mld zł rocznie” – tak Mateusz Morawiecki w wywiadzie dla „DGP”

zarysował nową linię obrony systemowych zmian w sądownictwie, którą zastosował w trakcie rozmów w Davos, i zapewnił, że spotkał się tam ze zrozumieniem, w przeciwieństwie do Polski, gdzie „to nie trafia do wyobraźni”. W Polsce być może te wyliczanki nikogo

nie przekonują, nikt bowiem nie pofatygował się, by wyjaśnić, jak totalna zmiana składu ważnych ciał sądowniczych przełoży się na budżety. Czyżby nowy skład KRS i SN pracował za darmo? Nawet jeśli, to trzech miliardów pan premier z tego nie ueziera. ©P



HARON SABAWOON / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

W KABULU nie ustają ataki organizowane przez talibskie podziemie lub tzw. Państwo Islamskie (IS). W poniedziałek 29 stycznia bojownicy IS zaatakowali bazę wojskową (bilans: kilkunastu zabitych i rannych). Dwa dni wcześniej talibski zamachowiec zdetonował w centrum karetkę pogotowia, zabijając prawie 100 ludzi i raniąc 160 (na zdjęciu: ulica po tym zamachu). Jeszcze tydzień wcześniej grupa talibów zaatakowała hotel Intercontinental, zabijając 22 ludzi, głównie obcokrajowców. Styczeń był najkrwawszym od dawna miesiącem w Afganistanie. ©© WP / DPA, RTR

Rumunia: nowy rok protestów

BUKARESZT ZNÓW wkracza w kolejny rok na fali antykorupcyjnych i antyrządowych protestów. W styczniu 2017 r. setki tysięcy ludzi demonstrowały przeciw próbom depenalizacji korupcji podejmowanym przez koalicję rządową. Dziś protestujący nie godzą się na podporządkowanie wymiaru sprawiedliwości rządowi. Proponowane zmiany w sądach i prokuraturze są krytykowane przez prezydenta, społeczeństwo obywatelskie oraz Unię i USA. Pada argument, że Rumunia wchodzi na niebezpieczną ścieżkę, wytyczoną wcześniej przez Węgry i Polskę. Ostatnie 12 miesięcy minęło w atmosferze politycznego i społecznego napięcia. Dwa razy doszło do zmiany premiera. Przez cały ten rok więk-

szczość parlamentarna próbowała ograniczyć prerogatywy „rumuńskiego CBA”, które w ostatnich latach ujawniło mnóstwo skandali korupcyjnych na najwyższych szczeblach. Jeden dotyczył Liviu Dragnei, lidera Partii Socjaldemokratycznej, głównej siły koalicji. Ze względu na wyrok skazujący nie może on objąć funkcji premiera, a kolejne osoby delegowane na to stanowisko po jakimś czasie buntują się przeciw jego wszechwładzy i pomysłom na „reformę” wymiaru sprawiedliwości. Rumuni są niezwykle przywiązani do wizji swego kraju jako części zachodniej przestrzeni kulturowej, dlatego krytyka z Unii i USA jest dla nich dotkliwa. Młodym ludziom, którzy znają już Zachód, nie wystarczy mit „łacińskiej wyspy na morzu Słowiańszczyzny”. Dlatego zawłaszczanie państwa przez obóz rządzący napotyka na taki opór. © PIOTR OLEKSY

Zysk z kapitału większy niż z pracy

82 PROC. PKB wypracowanego w świecie w 2017 r. trafiło do najbogatszego 1 proc. mieszkańców planety – wynika z raportu opublikowanego przez organizację humanitarną Oxfam. Majątek bogaczy urosł w minionym roku o 13 proc., co zdaniem ekonomistów

komentujących dowodzi tego, że gospodarka oparta na obecnym modelu wolnorynkowym coraz gorzej radzi sobie z podstawowym zadaniem, jakim jest wyrównywanie nierówności majątkowych i cywilizacyjnych. Ci, którzy mają pieniądze, coraz częściej obracają nimi na rynkach walutowych, surowcowych oraz w rozmaitych spekulacjach, a coraz rzadziej inwestują w nowe biznesy, które tworzą miejsca pracy. ©© MR

Czeši wybrali kontynuację



PATRYCJA BUKALSKA

CZEŠI UZNALI, ŻE DOTYCHCZASOWY PREZYDENT Miloš Zeman zostanie na Hradzie kolejne pięć lat. Choć jest to głos niewielkiej tylko większości: głosowało na niego 51 proc. wyborców. Wcześniej sondaże do końca nie wskazywały wyraźnego zwycięzcy drugiej tury wyborów prezydenckich, Zeman i jego kontrkandydat Jiří Drahoš, były prezes Akademii Nauk, mieli zbliżone poparcie. O wyniku przesądziło ok. 150 tys. głosów.

Zwycięstwo Zemana to zła wieść dla Czechów o poglądach prounijnych i liberalnych. Jego pierwsza kadencja przebiegała pod znakiem populistycznej i antyislamskiej retoryki, grania na lęku przed uchodźcami i ukłonów wobec Moskwy. Druga kadencja może być jeszcze bardziej radykalna, bo Zeman nie musi się już z nikim liczyć. Co więcej, zdany na łaskę lub niełaskę Zemana jest premier Andrej Babiš, którego partia ANO wygrała jesienią wybory, ale nie ma stabilnej większości. Czechy mają więc krytycznego wobec Unii prezydenta – i premiera, który wprawdzie jest zbyt pragmatyczny, by pozwolić sobie na antyunijność, ale na którym ciąży zarzut wyłudzenia unijnych dotacji.

Drahoš miał przywrócić wyższe standardy w polityce, wyhamować populistyczne trendy. Choć do niedawna był nieznanym szerzej profesorem, otarł się o wygraną. Jego wysoki wynik pokazuje, że Czechy są dziś pęknięte na pół. Podobnie jak spora część Europy. ©©

Afrin: ofensywa ze skutkami

CZY W SYRII staną przeciw sobie Turcy i Amerykanie? Starcie żołnierzy z krajów NATO to najgorszy ze scenariuszy, które mogą być skutkiem tureckiej ofensywy przeciw Kurdom – jeśli zostanie ona, jak chce Ankara, rozszerzona na kolejne prowincje syryjskie zajęte przez Kurdów. Wprawdzie w prowincji Afrin, o którą trwają walki, nie ma Amerykanów (byli tam Rosjanie, lecz wycofali się, gdy Kreml dał Turkom zielone światło do ataku, licząc – nie bez podstaw, jak widać – na inne zyski). Ale już w sąsiedniej prowincji Manbidż są bazy USA. Kilka tysięcy Amerykanów wspiera tu Kurdów w walce z tzw. Państwem Islamskim. Wprawdzie akcja Turcji nie przyniosła dotąd sukcesów militarnych – zdaje się, że została zatrzymana (za to jej lotnictwo atakuje, są ofiary cywilne). Ale ma, jak widać, poważne skutki polityczne. Naciskani przez Turków, Kurdowie z Afrin poprosili o pomoc... prezydenta Asada. Zaś USA z trudem balansują między Ankarą i Kurdami: z różnych ośrodków w Waszyngtonie biegają sprzeczne sygnały wobec obu stron. ©© WP / FAZ, NZZ

Z szacunkiem o faryzeuszach



ZUZANNA RADZIK

NACZELNY RABIN RZYMU RICCARDO DI SEgni w wywiadzie dla „Corriere della Sera” mówi, że poprosił papieża o dwie korekty w tym, co głosi. By nie przeciwstawił „sprawiedliwego i surowego” Boga Starego Testamentu miłosiernemu Bogu Nowego oraz by nie używał słowa „faryzeusz” jako synonimu fałszywości. Można powiedzieć, że nic w tym nowego, bo takie postulaty znajdziemy już w watykańskich dokumentach wydawanych po Soborze.

Faryzeusze byli w czasach Chrystusa wpływową grupą. Z Jezusem dzielili poglądy na wiele spraw: zmartwychwstanie ciał, zwracanie się do Boga „ojcze”, pobożność (jałmużnę, modlitwę i post), metody lektury i interpretacji Pisma oraz nauczania. Pisane już po 70 r. Ewangelie mocno z faryzeuszami polemizują. Dlaczego? To ugrupowanie judaizmu lepiej niż pozostałe zniosło zmiany, które przyniosło zburzenie Świątyni, i stało się dla definiującego się ruchu Jezusowego najbliższym „innym”, z którym się konfrontował. Niestety, zapisany w Nowym Testamencie obraz faryzeuszy, czytany bez zrozumienia kontekstu, sprawił, że stali się symbolem obłudy: tak też język polski rozumie określenie „faryzejski”. Dla Żydów to bolesne, bo judaizm rabiniczny wywodzi się w dużej mierze właśnie z tradycji faryzeuszy. Mówiąc tak, przypisujemy gębę protoplastom naszych braci w wierze i wykazujemy niezrozumienie świata, w którego łonie rodzi się chrześcijaństwo.

Zmiana stosunku do Żydów w Kościele wymaga ciągłej uważności, świadomej pracy, dbania o język i takiego uczenia teologii, które pozwoli zrozumieć zapisane w naszych tradycjach ślady polemiki. ©P

Prośby nieuświadomione

„**MODLITWĄ OTACZAMY** nie tylko tych, którzy o nią proszą, lecz także takich, którzy jej potrzebują, nie wiedząc o tym” – piszą w wystąpieniu na Dzień Życia Konsekrowanego (2 lutego) przedstawicielki Konferencji Przetóżonych Żeńskich Klasztorów Kontempla-

cyjnych. „Nasz klasztor ma po sąsiedzku szkołę – relacjonują niewymienione z nazwy mniszki. – Młodzież podczas przerw często wykrzykuje z okien jakieś zaczepne teksty. Traktujemy je jako szczególnie prosby o modlitwę. Szczególnie w czasie wakacji zdarzają się też pod naszą bramą »prośby« w postaci wykrzykiwania niecenzural-

nych słów, bijatyk i zaczepiek. Ich uczestnicy nawet nie zdają sobie sprawy, że za murem, w budynku, który wygląda, jakby był uśpio-ny, ktoś bierze poważnie ich nieuświadomione wołanie o pomoc i kłęk do modlitwy”. „Już samo istnienie klasztorów kontemplacyjnych jest często znakiem sprzeciwu, znakiem zapytania, zmusza do zastanowienia” –

podkreśla dokument. Zakonnice klauzurowe – m.in. klaryski, benedyktynki, karmelitanki – których głównym powołaniem jest modlitwa i życie pełne wyrzeczeń, żyją w Polsce w 83 klasztorach, jest ich ok. 1300 (tymczasem czynnych zakonnic – ok. 19 tys.). Więcej o życiu konsekrowanym w dziale Wiara. ©P

MACIEJ MÜLLER



WE WŁOSKIM OPACTWIE Sacra di San Michele, znanym z książki Umberto Eco „Imię róży”, 24 stycznia wybuchł pożar. Z ustaleń wynika, że powodem pojawienia się ognia było spięcie przewodów elektrycznych. Spłonął dach domu zakonnego, ale odgrywającą ważną rolę w książce biblioteka nie została uszkodzona. Trzem mnichom mieszkającym w klasztorze także nic się nie stało. ©P

Wiadomości z piekła rodem

FAKE NEWSY są stare jak świat. Ojcem pierwszego z nich był „wąż podstępny” z biblijnej opowieści o Adamie i Ewie – mówił papież Franciszek w orędziu na Światowy Dzień Środków Masowego Przekazu (24 stycznia). Jak mówił, współczesne „fałszywe wiadomości”, masowo szerzone w mediach społecznościowych, mają to samo źródło i strukturę. Są intrygujące i prawdopodobne, bo odwołują się do stereotypów i grają na emocjach, karmiąc się lękiem, pogardą, frustracją. Nie są niewinnym żartem: ich konsekwencją jest dezinformacja, ale też dyskredytacja czy wręcz demonizacja drugiego

człowieka, rodząca nienawiść i społeczne konflikty. Według papieża siewcą fake newsów jest „ojciec wszelkiego kłamstwa”, ale rzucone ziarno musi trafić na podatny grunt. Za bujny wzrost odpowiadają nie tylko mechanizmy Facebooka czy Twittera, ale przede wszystkim chciwość: pieniądza, władzy, sławy. Franciszek apeluje do ludzi mediów (czyli – biorąc pod uwagę media społecznościowe – niemal każdego z nas), by nie gonili za sensacją, nie powielali populistycznych sloganów, ale służyli prawdzie. A tę da się rozpoznać, bo ma zawsze jeden cel: dobro drugiego człowieka. ©P EA

Minister kultury i prawo



PIOTR KOSIEWSKI

CHO YOON-SUN, BYŁA MINISTER KULTURY Korei Południowej, skazano na dwa lata więzienia – za utworzenie „czarnej listy” artystów, którzy mieli nie otrzymywać dotacji ze środków publicznych, ale też prywatnych. Wpisano na nią 10 tys. twórców, którzy byli krytyczni wobec byłej prezydent Park Geun-hye oraz jej ojca Park Chung-hee. Sama prezydent w marcu 2017 r. trafiła do aresztu. Postawiono jej 18 zarzutów, w tym o korupcję.

Ujawnienie „czarnej listy” wywołało szok. Znalazły się na niej najważniejsze postacie koreańskiego filmu, teatru, muzyki, tańca, literatury i sztuk wizualnych. Odpowiedzialni za jej powstanie tłumaczyli, że starali się „osiągnąć

równowagę w poparciu rządowym między postępowymi i konserwatywnymi artystami”. Sama prezydent obiecywała, że uczyni z Korei „kulturową potęgę”. „Czarna lista” okazała się jednak jej jedynym osiągnięciem.

Wielu polityków, także w krajach demokratycznych, uważa, że może tworzyć listy słusznych i niesłusznych twórców, instytucji czy organizacji pozarządowych. Wspierać z funduszy publicznych jedynie swoich. Uznają bowiem, że zwycięstwo w wyborach daje im pełną swobodę działania, bez oglądania się na prawo, reguły czy dobry obyczaj. Przypadek Cho Yoon-sun powinien być dla nich przestrożą, a przede wszystkim wymusić dyskusję na temat standardów demokratycznej polityki i granic tego, co rządzącym wolno. ©

Jak sfalszować twarz

PRODUCENCI FILMU „Łotr i. Gwiezdne wojny” dwa lata temu wydali miliony na odtworzenie twarzy Petera Cushinga i Carrie Fisher. Spekulowano, czy pojawią się nowe filmy z Bogartem, Monroe lub Hepburn. Dwa lata później to samo można uzyskać przy pomocy darmowej aplikacji. Ale dziś obawy budzi już nie etyczna strona wskrzeszania martwych gwiazd, lecz to, jak technologię wykorzystują propagandyści, szantażyści czy twórcy pornografii.

Aplikacja stworzona przez użytkownika serwisu Reddit najpierw uczy się kształtu twarzy, analizując setki zdjęć, a następnie nakłada cyfrową maskę innej osobie na filmie. Sztucznej inteligencji, która stoi za procesem, wystarczy publicznie dostępne zdjęcia i kilka



godzin pracy komputera. Autor aplikacji w scenie z „Łotra i” zastąpił hollywoodzką cyfrową Carrie Fisher (na zdjęciu z lewej) swoją wersją (z prawej). Rezultat jest co najmniej równie dobry.

Równie przynębiające, co przewidywalne jest to, że pierwsze zastosowania aplikacji to pornografia i polityka. Twórcy fake newsów dostaną do ręki potężne narzędzie do ośmieszania i zohydzenia przeciwników. Za darmo. Czas przestać wierzyć własnym oczom. ©

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

177–194 TYS. LAT liczą skamieniałe fragmenty szczęki (na zdj.) *Homo sapiens* znalezione w jaskini Misliya na stoku góry Karmel w Izraelu – donoszą Israel Hershkovitz i współpracownicy na łamach „Science”. Paleoantropolodzy mogli więc kolejny raz użyć tradycyjnej formułki „wcześniej niż dotąd myśleliśmy”, opisując migrację człowieka. Znaleździł znacznie bowiem przesunął czas wyjścia naszych przodków z Afryki – mogło to nastąpić już 220 tys. lat temu. Dla pewności datowanie skamieniałości przeprowadzono przy użyciu trzech różnych technik w trzech laboratoriach. ©P ŁK



TEL AVIV UNIVERSITY / EPA / PAP

W SKRÓCIE



NEXT FILM

VINCENT NOMINOWANY. Polski obraz „Twój Vincent” w reżyserii Doroty Kobieli, opowiadający historię ostatnich miesięcy życia van Gogha i w bezprecedensowy dotąd sposób ukazujący jego obrazy, został nominowany do Oscara w kategorii najlepszy pełnometrażowy film animowany. Gala wręczenia nagród odbędzie się 4 marca.

STATUS ARTYSTY.

W Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego trwają prace nad systemem ubezpieczeń zdrowotnych i emerytalnych dla artystów (obecnie, jeśli nie mają pracy etatowej w innym zawodzie, muszą płacić składki na prawach takich, jak przedsiębiorca). Na pewno jest to potrzebne rozwiązanie, tym bardziej że pracownicy kultury należą do najgorzej opłacanej branży zawodowej. Niejasne jest jednak, komu przyznawany byłby status artysty. Na pewno najgorszym rozwiązaniem byłoby, gdyby miała decydować o tym powołana przez Ministerstwo komisja.

ZMARŁA URSULA K. LE GUIN.

Wybitna amerykańska pisarka science fiction oraz fantasy, autorka kilkudziesięciu książek, w tym cykli powieściowych „Ziemiomorze” oraz „Ekumena”. Należąca do pierwszej z tych serii książka „Lewa ręka ciemności” ukazała się w Polsce w przekładzie Stanisława Barańczaka. Otrzymanej przez Le Guin w 2014 r. amerykańskiej nagrodzie National Book Foundation towarzyszyła laudacja podkreślająca, iż pisarka „przez ponad 40 lat przeciwstawiała się konwencji narracji, języka, gatunku i tworzenia postaci, przekraczała granice między fantazją i realizmem, aby wytyczyć nowe ścieżki dla literackiej fikcji”. Autorka opowieści o czarodzieju Gedzie, zwanym Krogulcem, miała 88 lat. Więcej na stronach działu Kultura.

DUCH NANGA PARBAT

Czy było warto? Po co? Każda śmierć w górach budzi natychmiast dyskusję na ten temat. Wspinaczom nie udało się jeszcze znaleźć dobrej odpowiedzi, może więc problem tkwi w pytaniach?

MAREK RABIJ

NIE WIADOMO, O KTÓREJ GODZINIE STANĘLI NA SZCZYTcie, możliwe, że było to w ostatnich promieniach styczniowego słońca. Zdawali sobie sprawę z ryzyka, w końcu od co najmniej dwóch dni przebywali powyżej 7 tysięcy metrów n.p.m., blisko progu zwanego strefą śmierci, gdzie tlenu w atmosferze jest tak mało, że organizm nie ma szans na regenerację. Wysokogórski kanon mówi kategorycznie: w strefie śmierci maksymalnie 24 godziny. Z drugiej strony: ileż razy można próbować wejść zimą na Nanga Parbat? Siedem to podobno szczęśliwa liczba.

Czy Tomasz czuł, że z jego ciałem dzieje się coś niedobrego? Niekoniecznie. Choroba wysokościowa może postępować błyskawicznie: w południe kaszlesz i narzekasz na ból głowy, wieczorem masz już drgawki, a płuca zalewa ci woda, bo wyczerpany organizm zapomniał, na czym polega osmoza. Bywa i tak, że patrzy się na siebie oczami partnera: czuję się fatalnie, ale skoro ten obok nie każe mi zawrócić, to pewnie nie jest ze mną aż tak źle. Problem w tym, że partner może w tym czasie myśleć: idzie w górę, to wszystko gra.

Szczyt jest w bazie – mawiają starzy alpiniści, bo droga w dół to najtrudniejszy etap wspinania. Dla Tomasza Mackiewicz w pewnym momencie okazała się za trudna. Elisabeth Revol, młodsza i o wiele lepiej przygotowana kondycyjnie, miała jeszcze rezerwy na pokonanie dodatkowego tysiąca metrów w dół, gdzie powietrze jest bogatsze w tlen i łatwiej przetrwać kolejną mroźną noc poza namiotem, w oczekiwaniu na idącą już z dołu pomoc: Denisa Urubkę i Adama Bieleckiego, uczestników zimowej wyprawy na położony w Karakorum K2.

Na liście ofiar Nanga Parbat pojawiło się jeszcze jedno, już 83. nazwisko. O kolejnego bohatera wzbogacił się także poczet tych, u których fascynacja tym ośmiotysięcznikiem zamieniła się w obsesję.

W uczciwy sposób

Z wiktoriańskiej fotografii spogląda szczupły, delikatny wręcz mężczyzna w okularach. Jego dłonie nie wygląda-

ją na spracowane i rzeczywiście – nie zaznały pracy fizycznej. Ojciec Alberta Fredericka Mummery'ego (1855–1895) miał w Dover kilka garbarni, które prosperowały na tyle dobrze, by syn mógł się poświęcić literaturze i podróżom, z tą różnicą, że obligatoryjny *The Grand Tour* brytyjskiej klasy posiadaczy w jego wykonaniu szybko skreślił z francuskich i włoskich muzeów w stronę alpejskich lodowców.

W gronie niepracujących dżentelmenów, którzy zabili nudę parając się zdobywaniem niedostępnych szczytów, Mummery zaczął się szybko wyróżniać. Wspinał się bez lokalnych przewodników, dbał o to, co nazywał „honorowymi warunkami konfrontacji człowieka z górą”. Gdy podczas wspinaczki na niezdobyt alpejski Dent du Géant drogę zagroziła mu gładka granitowa płyta, zostawił u jej stóp list w butelce dla kolejnych zdobywców, że to część drogi „*absolutely inaccessible by fair means*”. Nie do pokonania w uczciwy sposób.

Co zatem myślał ten 40-letni Brytyjczyk, kiedy 17 czerwca 1895 r., w towarzystwie zaledwie trzech angielskich wspinaczy i dwóch żołnierzy z plemienia Gurkhów pojawił się u stóp Nanga Parbat z zamiarem wejścia na jej szczyt? Czy śnieżny gigant naprawdę wydawał mu się „dostępny w uczciwy sposób”?

Z pewnością wiedział, że miejscowi nazywają go Nagą Górą, bo już w połowie XIX w. relację z rekonesansu w tym zakątku Himalajów opublikował niemiecki botanik Adolf Schlagintweit (za kolejną wyprawę zapłacił zresztą głową, ściętą na polecenie chana Kaszgaru, jako rzekomy chiński szpieg). Dzięki badaniom geodetów z Survey of India Mummery musiał również zdawać sobie sprawę z tego, że szczyt masywu sięga ponad 8 tysięcy metrów.

Na pewno nie znał za to topograficznych szczegółów. Na przykład tego, że ściana Rupal, opadająca z wierzchołka na południe, ma około cztery i pół kilometra wysokości, co czyni ją najwyższym skalno-lodowym

Nanga Parbat, widok z doliny Rupal

RONALD NAAR / EAST NEWS



→ bastionem Azji, a może i całego świata (kontrkandydatka do tytułu pochodzi z Ameryki Południowej). I tego, że od dna doliny Indusu, który przepływa w odległości niecałych 25 km od masywu Nangi, jej szczyt dzieli w pionie siedem kilometrów – nigdzie na kuli ziemskiej teren nie staje ostrzej dęba na tak krótkim dystansie. Ani tego, że grań Mazeno, opadająca łukiem z wierzchołka w kierunku północno-zachodnim, ma 12 km długości i będzie opierać się przyszłym zdobywcom ponad 30 lat. Do rozsądku z pewnością nie mogły przemówić mu nieznane wówczas statystyki liczby wypadków śmiertelnych przypadających na liczbę wejść na szczyt, w których Naga Góra zajmuje trzecie miejsce (20,7 proc.), tuż za K-2 (29,5 proc.) oraz tradycyjnie najgroźniejszą Annapurną (33,5 proc.).

Mummery widział zapewne po prostu piękny szczyt, do tego oddalony od ostatnich stałych siedzib ludzkich o zaledwie cztery-pięć dni podróży karawaną, co w Himalajach i Karakorum jest raczej wyjątkiem niż regułą. Miejsce, w którym można było rozbić obóz bazowy, leżało na tyle nisko, że oko mogło tu jeszcze odpocząć od monotonii lodowcowych krajobrazów pośród soczystej zieleni rododendronów. Tak jakby góra, która w miejscowej prasie i przewodnikach będzie za jakiś czas opisywana jako *Killer-Mountain*, chciała wciągnąć przeciwników w pułapkę.

Nie wiadomo, czy Albert Mummery zdążył zrozumieć, że w przypadku Nanga Parbat „*by fair means*” może oznaczać ostateczne poświęcenie. 24 lub 25 sierpnia 1895 r. góra pogrzebała go w lawinie. To warzysze, którzy kilka dni później wrócili z dolin z prowiantem, nie znaleźli ciała.

Czy było warto? Po co? Każda śmierć w górach natychmiast budzi takie pytania, na które wspinaczom nie udało się jeszcze znaleźć dobrej odpowiedzi, bo trudno wskazać coś cenniejszego niż życie. Może więc, paradoksalnie, słabość tkwi nie w odpowiedziach, lecz w pytaniu? Tak przynajmniej uważa człowiek, który wiele razy z premedytacją kładł kark pod górski topór.

„Różnica między wspomnieniami a nadzieją nie jest duża (...). Żadne nie jest działaniem. Jesteś tym, co robisz; w ten sposób jeśli nic nie robisz, jesteś nikim” – wali czytelnika prosto w łeb Mark Twight w książce „Całuj albo zabij”. Amerykanina, który w latach 80. i 90. zasłynął ekstremalnie trudnymi wspinaczkami w górach wysokich na całym świecie, irytują i wzniosłe frazy na cześć alpinizmu jako sztuki, i prostackie sprowadzanie go do uzależnienia od hormonów ryzyka lub ucieczki przed światem. Otóż nie: we wspinaniu, podobnie jak w życiu, chodzi jego zdaniem po prostu o ruch. Jeśli ktoś woli – zmianę. Życie i tak ustanie w pewnym momencie, nawet jeśli zmarnuje się je na obawy przed jego utratą. Ta perspektywa automatycznie musi narzucić każdemu myślącemu człowiekowi postawę kategoryczną spod znaku *carpe diem*. Nie ma aktywności mądrzejszych i głębszych, lepszych i gorszych. Jest tylko wybór i jego konsekwencje.

Triumf woli? W takim razie pora wracać na Nanga Parbat.

Narodowa obsesja

„Jakże szczęśliwy jestem, że mogę oglądać ten piękny świat wokół mnie” – zanotował wieczorem w pamiętniku Martin Pfeffer pod datą 14 czerwca 1937 r. Gdy wykopano jego zwłoki spod ponad czterometrowej warstwy zlodowaciałego śniegu, na jego twarzy malował się spokój. Pozostałe ofiary również wyglądały tak, jakby śmierć zastała je w głębokim śnie. Ocalałym członkom narodowej niemieckiej wyprawy na Nanga Parbat pozostało tylko wysłać do kraju telegram z informacją o jej tragicznym zakończeniu. Lawina, która – sądząc po notatkach i wskazaniach zegarków ofiar – zesłała na obóz IV tuż przed północą 14 czerwca 1937 r., zabiła siedmiu wspinaczy i dziewięciu tragarzy. Łączna liczba Niemców, którzy stracili życie na stokach Nagiej Góry, wzrosła tym samym do dziesięciu.

Był wśród nich także ten, który sprawił, że kraj w latach 30. ogarnęła obsesja zdobycia Nanga Parbat, Willy Merkl. Zauroczony zdjęciami szczytu, pierwszą wyprawę zorganizował w 1932 r. dzięki wsparciu amerykańskiej milionerki, którą nakłonił do tej eskapady. Dwa lata później, w trakcie kolejnej próby, zmarł z wyczerpania wraz z dwoma partnerami i sześcioma tragarzami podczas załamania pogody, które odcięło im drogę w dół. Przy zamarzniętych zwłokach Merkla, na które przypadkowo trafiła jedna z późniejszych wypraw, znaleziono notatki, które jego przyrodni

brat, Karl Maria Herrligkoffer, uznał za rodzaj sportowego testamentu.

W 1953 r., podczas wyprawy pod jego kierownictwem, na szczycie Nanga Parbat stanął w końcu, jako pierwszy człowiek na Ziemi, Austriak Hermann Buhl, wspomagając się w ponad 40-godzinny atak środkami pobudzającymi na bazie amfetaminy (ciekawe, co powiedziałby o tym Mummery). Do 1975 r. Herrligkoffer pojawił się pod Naga Górą jeszcze siedem razy, próbując zadać jej kolejne ciosy, jakby odprawiał ponury rytuał zemsty za śmierć brata. Sam nigdy nie wyszedł ponad bazę.

Od 1934 r. niemieckie ataki na Nanga Parbat finansowała Deutsche Himalaja-Stiftung. Idea ekspedycji na tereny uchodzące za matecznik mitycznej rasy aryjskiej szybko znalazła poklask u decydentów NSDAP i pieniądze się znalazły, samą zaś fundację organizacyjnie podpięto pod Niemiecką Federację Wychowania Fizycznego, która dbała o popularyzację sportu wśród młodzieży. DHS miała mieć oczywiście charakter propagandowy, bo góry były idealnym miejscem dla pokazania rasy panów w akcji, ale jej szef Paul Bauer okazał się przede wszystkim wielkim zwolennikiem alpinizmu i potrafił wejść w ostry spór nawet z wysokimi hitlerowskimi dostojnikami, kiedy ich pomysły kolidowały z jego planami sportowymi. Do wybuchu wojny DHS wysłała na Nanga Parbat trzy wyprawy i jedną ekspedycję rozpoznawczą, która miała przygotować pole kolejnej.

Epoka zawodowców

Nasz himalaizm w tym czasie dopiero raczkował. W 1939 r. ruszyła pierwsza wyprawa na siedmiotysięczny szczyt Nanda Devi, ale tuż potem wybuchła wojna, a porządek świata po Jałcie i Poczdamie zamknął polskich alpinistów na tatrzańskim podwórku (włącznie z surowo egzekwowanym zakazem przekraczania granicy polsko-czechosłowackiej). Gdy w latach 70. Polacy znów zaczęli pojawiać się w górach wysokich (z cieniutkimi portfelami od dotowanego przez władze Polskiego Związku Alpinizmu), epoka wypraw finansowanych przez państwo właśnie dobiegała na Zachodzie końca.

W 1953 r. Brytyjczycy weszli jako pierwsi na Everest i ten sukces miał wzmocnić imperialne morale narodu obserwującego bezradnie rozpad Commonwealth. 22 lata później kolejna angielska ekspedycja na ten szczyt (pod kierownictwem Chrisa Boningtona) była już wielkim reklamowym *show*, w którym wspinacze zdobywanie góry musieli pogodzić z rozlicznymi obo-



MAREK RABÍJ będzie gościem Grzegorza Chlasty w środy 31 stycznia

o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

wiązkami promocyjnymi, jak podpisywanie pocztówek dla sponsorów, nagrania do radiowych klipów reklamowych i kolejne powtórki tej samej sceny wspinaczki na lodowym seraku w oczekiwaniu na najlepsze światło. Cud, że starczyło czasu na zdobywanie szczytu.

Himalaizm przestał być hobby dobrze sytuowanych dżentelmenów. Stał się domeną zawodowców, z kontraktami od sponsorów, trenujących siedem dni w tygodniu pod okiem trenerów i dietetyków. Zawodowstwo pchnęło wysokogórski wyścżyn na nowe poziomy, ale obdarło z pierwotnego ducha. Sukcesy Simone Moro czy Uelega Stecka to bardziej przedsięwzięcia logistyczne niż przygody.

Poza systemem

W tym światku gdzieś pod koniec zeszłej dekady pojawiło się nazwisko Tomasza Mackiewicza. Lekceważone, bo niekojarzone z żadnymi osiągnięciami w Alpach czy choćby Tatrach, a tak wygląda przeciętny górski *cursus honorum*. Niepoparte żadnym kontraktem, a wiadomo, że sponsorzy pracują z zawodowcami. Sam zainteresowany nie ukrywał zresztą, że ma do himalaizmu kompletnie inny stosunek i oczekiwania.

„Myślałem o Pamirze, Tienszanie. O Piku Pobiedы, o Khan Tengri zimą. Ale Marek [Klonowski, pierwszy górski partner Mackiewicza – MR] mówił, żeby od razu w Himalaje, bo generalnie, co nam szkodzi?” – opowiadał w jednym z wywiadów.

Kryteria doboru górskich celów również jeżyły włosy na głowach starych wyjadaczy. Zaczynać wysokogórską przygodę od zimy, i to na jednym z najgroźniejszych szczytów świata? Mackiewicz i na to miał wyjaśnienie: „Ja myślałem o Gasherbrumach, Broad Peak, bo wtedy jeszcze nie były zdobyte zimą. Później okazało się, że tam jest skomplikowany dojazd, długi trekking, trzeba porterów opłacić, żeby przenieśli sprzęt. Nie było nas na to stać. Nanga była najtańsza, jeśli chodzi o dojazd”.

Człowiek spoza systemu, chodzący własnymi ścieżkami. Z Klonowskim w 2008 r. zrobili trawers ogromnego masywu Mount Logan, najwyższego szczytu Kanady. Ani to jednak, ani samotne wejście na siedmiotysięczny Chan Tengri między Chinami, Kirgizją i Kazachstanem nie znajdowały uznania w oczach himalajskich wygów, w tym Artura Hajzera startującego wówczas z programem Polskiego Himalaizmu Zimowego. Mackiewicz nie pasował też do sportowego

Niewątpliwie psuł etos
lodowego wojownika,
twierdząc, że na Nanga
Parbat jeździ po prostu dla
frajdy. To się nie powinno
udać, bo przecież himalaizm
to dziś przede wszystkim
pieniądze.

programu, z treningami, badaniami wydolnościowymi, wykazami przejść. Mówił, że szczyt nie jest celem samym w sobie, że chodzi także o walkę z korporacjami, antyglobalizmem. Miał za sobą uzależnienie od heroiny, leczenie w ośrodkach Monaru, oczyszczającą podróż do Indii. Czy góry były dla niego przedłużeniem tego oczyszczenia? A może zima na Nandze stała się kolejnym narkotykiem? Trudno było mu pogodzić się z tym, że góra została zimą 2016 r. zdobyta. Na szczycie stanęli Pakistańczyk Muhammad Ali Sadpara, Włoch Simone Moro i Bask Alex Txikon. Mackiewicz podawał ich sukces w wątpliwość, pisał, że nadajnik GPS, który mieli ze sobą, nie wskazał, że byli na szczycie. Drażył temat nawet wtedy, gdy pokazali zdjęcia szczytowe. Miał grono wiernych fanów, budował społeczność, która podziwiała jego odporność na trudne warunki (wielodniowe biwaki w jamach śnieżnych) i wspierała finansowo na portalu crowdfundingowym jego kolejne próby, nawet mimo zapowiedzi, że następnych wypraw nie będzie, a on sam poświęci się teraz rodzinie.

Trudno oszacować, na ile sam kreował taki wizerunek, a na ile stworzyło go samo środowisko polskich wspinaczy, które generalnie za nim nie przepadało. Niewątpliwie psuł etos lodowego wojownika, twierdząc, że na Nanga Parbat jeździ po prostu dla frajdy. Jednocześnie, przy wręcz szczytkowym zapleczu logistycznym, odnosił sukcesy: przez kilka sezonów nikt bardziej niż on nie zdołał się zbliżyć zimą do szczytu Nagiej Góry. To się nie powinno udać, bo przecież himalaizm to dziś przede wszystkim pieniądze.

Cena marzenia

Himalaista, zdobywca Korony Himalajów i Karakorum, Piotr Pustelnik: – Na mojej pierwszej wyprawie, na Gasherbrum II, kolacje w bazie trwały godzinami, chcie-

liśmy się wygadać, posiedzieć ze znajomymi. Dziś w mesie słychać głównie stukot klawiszy, każdy w wolnej chwili skrobie na laptopie relację dla sponsorów i mediów. Takie czasy.

Czasy przyciągające oczywiście (mówi o tym na kolejnych stronach Bogumił Słama) kibiców, z typową dla nich impulsywnością i stronniczością. Rodzimy fan wspinania wyróżnia się jednak na tle innych silnie rozbudowaną refleksją o charakterze historiograficznym, pamięta bowiem, skąd Polacy trafili w góry. Lektura internetowych dyskusji, choćby o fenomenie polskiego himalaizmu zimowego prowadzi zwykle w stronę syberyjskich pustkowi omiatanych mroźnym wiatrem czy wozu Somosierra. Mackiewicz do tej kalki pasował jak ulał. Z tego, co miał pod ręką, tktał odważnie swoje wielkie marzenie.

„Pracuję przy masztach [budował farmy wiatrowe – MR]. Zimą sezon jest dla mnie martwy. To jedyny moment, kiedy mogę się wyrwać” – tłumaczył, zostawiając obecnym w temacie słuchaczom z otwartymi ustami.

Sęk w tym, że o alpinizmie nie dyskutuje się w Polsce merytorycznie. W kraju wybitnie nizinny i rolniczy, w którym postawa *navigare necesse est* nigdy nie była przesadnie ceniona, jest to po prostu niemożliwe. Góry świetnie nadają się jednak na fantom, na którym można przećwiczyć inne, bardziej codzienne problemy. Wypadek w górach? Porozmawiajmy o niedofinansowaniu służby zdrowia. Partnerstwo w górach? W gruncie rzeczy to rozmowa o budowie polskiego społeczeństwa obywatelskiego. Weszli na szczyt? Czy w tym kraju można komuś wierzyć na słowo?

Po powrocie z każdej z sześciu poprzednich prób Tomasz Mackiewicz po wielokroć przerabiał te scenariusze. Mimo to zawsze wracał na Nangę. Wbrew rozsądkowi, sytuacji materialnej, może także wbrew bliskim. Znowu można zapytać – czy było warto?

Lepiej jednak oddać mu co innego. – Nanga Parbat to opowieść – mówił w wywiadzie dla „Tygodnika” Denis Urubko. Tomasz Mackiewicz dopisał do niej swój rozdział, który na równych prawach będzie figurować w niej z opowieścią Alberta Mummery’ego, Hermannna Buhla czy Reinholda Messnera. Historia alpinizmu jest pod tym względem specyficzna: przegrani znaczą w niej tyle samo, co zwycięzcy. ©P

MARK RABJ

Współpraca BARTEK DOBROCH

Czytaj także nasz serwis specjalny:
powszech.net/nanga-parbat

Osiem tysięcy metrów ryzyka

BOGUMIŁ SŁAMA,
INSTRUKTOR ALPINIZMU:

Wspinaczka to dość intymne zajęcie. Nie mówi się o nocach w samotności, kiedy przychodzą demony. Ludzie, którzy się wspinają na poważnie, wiedzą, jak łatwo przegrać.

BARTEK DOBROCH: Polskę znów połączył himalaizm. Połączył i podzielił. Jedni podziwiają determinację ratowników i walkę ratowanej, inni piętnują himalaistów, ganią za nieodpowiedzialność.

BOGUMIŁ SŁAMA: Ludzie uwielbiają katastrofy. To one powodują zainteresowanie górami u tych, którzy na co dzień są obojętni. Przed laty moja szefowa z Polskiego Związku Alpinizmu, Hanna Wiktorowska, zapytała: „Czy wiesz, kiedy robi się największe zainteresowanie kursami?”. Obstawiałem, że kiedy Andrzej Zawada wbija flagę Polski na kolejnym szczycie. Okazało się, że największe dopytywanie, jak zostać taternikiem, było po spektakularnych tragediach.

Czyli to nie jest nowe zjawisko?

Zjawisko zawsze nam towarzyszyło. Natomiast teraz płacimy cenę za niesamowity postęp technologii. Są fora internetowe, portale społecznościowe. Chwytnyśmy informacje i wydaje nam się, że wszystko wiemy. Jest straszliwy galimatias: „Urubko leci”, „nie leci”, „żyje”, „nie żyje”, „weszli na szczyt”... Ci, których będę nazywał małymi ludźmi, zaczynają bać się o pieniądze podatników na akcję ratunkową, choć jej koszt dla budżetu państwa jest niemal niezauważalny. Druga grupa komentujących to hurraoptymiści. Piszą: „wspaniali chłopcy!”, „napierać!”, „uda się!”.

Tymczasem alpinizm, wspinaczka, taternictwo to dość intymne zajęcia. Nie mówi się o nocach w samotności, kiedy przychodzą demony, strachy i wątpliwości. Ludzie, którzy się wspinają na poważnie, wiedzą, jak łatwo jest przegrać. Wystarczy minimalny błąd, niepomyślenie o czymś.

Alpinizm w przeciwieństwie do prawie wszystkich sportów (może poza żeglarskim) nie miał kibiców. Była wąska grupka różnych ciotek i narzeczonych, zawsze życzliwych. A teraz, dzięki tej dostępności informacji, dorobiliśmy się rzeszy

kibiców. Mających, niestety, wszystkie cechy kibiców, np. niezachwianą pewność, że wiedzą lepiej i zrobiliby to lepiej.

A co Pan myśli o wydarzeniach pod Nanga Parbat?

Na refleksję przyjdzie jeszcze pora. Do kolegi Mackiewicz miałem, jak większość polskich alpinistów, stosunek nieco ironiczny, w pewnym momencie ambiwalentny. Dochodziły słuchy o jego dziwnych rozliczeniach, nie podobał mi się jego atak na Simone Moro po tym, jak Włoch zdobył zimą Nanga Parbat. To śmieszne, że ktoś bierze sznurki ze sklepu rolniczego na wyprawę.

Z drugiej strony sam zacząłem się wspinać na linie do prania, a głowicę do czekaną zrobiłem z młotka. Lata 60. – wtedy nie dało się inaczej. No i wyszedł z piekła, z dołu, z heroiny... Jedni powiedzą „warjat”, ale nikomu krzywdy nie robił.

Himalaiści byli podzieleni w jego ocenie, podobnie jak w ocenie Adama Bieleckiego po wyprawie na Broad Peak w 2013 r. Wojtek Kurtyka wydawał się wręcz zafascynowany Mackiewiczem jako naturszczykiem, który odtwarzał pierwotnego ducha przygody w Himalajach.

Wojtek sam jest taką osobą, która nie umie się zmieścić w strukturach. Jednak przy całym swoim romantyzmie jest nieprawdopodobnym pragmatykiem.

Niektóre oceny zmieniają się z wiekiem. Mój stosunek do Bieleckiego i Broad Peak zmienił się, choć nie jest rycerzem z mojej bajki ani znajomym. Zginął tam z kolegi Maciek Berbek, z którym byliśmy zaprzyjaźnieni: postać jasna, skromna, nie znałem ludzi, którzy mówili o nim coś złego. Ale dziś myślę, że odpowiedzialność jest rozłożona. Bielecki był tylko jednym z trybików, które nie zadziały.

Teraz jest jednym z bohaterów.



ARCHIWUM PRYWATNE BOGUMIŁA SŁAMY

Mam ogromny szacunek do ratujących i znowu czuję się szczęśliwy, że jestem polskim alpinistą. Bóg wie, ile ich to mogło kosztować. Mogli przewalić zimową wyprawę na K2. Ale według mnie to całe K2 nie jest warte tego, co zrobili. Możliwość uratowania życia i wejście na jakąś górę to rzeczy, które w ogóle do siebie nie przystają.

Zostaje tylko pytanie, jak bardzo można ryzykować, ratując czyjeś życie. Wiem z doświadczenia, że bardzo. Włącza się adrenalina, ale to jest w nas, ludziach, fajne. Byle nie przedobrzyć. Gdy wiadomo, że w górze ktoś jest już prawdopodobnie nieżywy, przy tak wielkich zagrożeniach trzeba odpuścić.

Mamy więc piękny powrót do najlepszej tradycji środowiska taternickiego, spod znaku słynnej maksy Wawrzyńca Żuławskiego: „Przyjaciela nie opuszcza się nawet wtedy, gdy jest bryłą lodu”. Bo myślę, że Żuławskiemu nie chodziło o to, by usiąść przy kimś zamrożonym i razem z nim umrzeć. Chodzi o symbolikę: że interesujemy się jego losem, ratujemy, póki to możliwe, a w momencie, kiedy jest zamrożniętą bryłą, dbamy o ludzki pochówek.

10 lat temu Szwajcar Ueli Steck dotarł na grań Annapurny do dotkniętego chorobą wysokogórską Iñakiego Ochoi, ale jedyne, co mógł zrobić, to podać mu wody i być przy jego śmierci.

To bardzo ważne. Abstrahując od tego, czy jest inny świat, wychowani jesteśmy

w kręgu kultury chrześcijańskiej, chociaż motyw pomocy umierającym powtarza się np. w kulturach Wschodu. Czasem jednak nie możemy. Czasem rozsądek nakazuje, by nie iść.

Możemy podejrzewać, że był to także dylemat Elisabeth Revol. Trwała przy Tomasz Mackiewicz, dopóki mogła.

Jest doświadczoną alpinistką. Jeżeli wymieniała w wiadomościach obrzęk płuc, obrzęk mózgu, chorobę wysokościową i odmrożenia, to właściwie Tomek nie powinien już w takim stanie ani cierpieć, ani zdawać sobie z czegośkolwiek sprawy.

Określiła jego stan jako agonalny.

Mam więc nadzieję, że odchodził spokojnie, bo jest to podobno spokojne umieranie.

Nie wyobrażam sobie, nawet gdyby do niego doszli, możliwości ściągnięcia takiego człowieka – ani we dwóch, ani we czterech.

Po Halinę Krüger-Syrokomską pod K2, gdy tam byłem w 1982 r., poszły nas tłumy, w tym wyspecjalizowani austriacy ratownicy. Była to harówka, a przecież było nisko, ona umarła w obozie I. Po całonocnej dyskusji wygrała opcja, że trzeba ją ściągnąć, bo jak jej córka będzie chciała zobaczyć grób mamy, to przecież do szczeliny przy obozie I nie pójdzie. Może to kosztowało nas szczyt. Ale działo się to w pięknej pogodzie i nie jest w ogóle z Nanga Parbat porównywalne.

Wyprawa zimowa pojechała na K2 pod strasznym ostrzałem. Żartowałem, że brakuje tylko informacji o sponsorze i marce mieczy samurajskich do dopełnienia harakiri, jak nie wejdą na szczyt. Bo znowu napiszą, że „za nasze pieniądze” nie weszli.

Teraz pytają, po co była ta szarża Mackiewicza i Revol. Czy ich potwierdzone

już wejście na szczyt to nie było, powołując się na tytuł słynnej książki górskiej, „niepotrzebne zwycięstwo”? Nanga Parbat została przecież zdobyta zimą dwa lata temu.

Weszli drugi raz. I było to ich zwycięstwo. Ja nienawidzę tego pytania: dlaczego to robię.

Tytuł książki Terraya jest znakomity, bo rzeczywiście bywają to ciężkie boje i gdyby ludzie wkładali tyle determinacji w zdobycie majątku, wykształcenia, czegośkolwiek, toby góry przestawiali. Jedni to potrafią przekuć w karierę finansową, jak Reinhold Messner, inni są jak Wanda Rutkiewicz, która nie umiała tego przekuć w nic poza własną śmiercią, są też tacy, którzy potrafią się wycofać i zostać świetnymi reporterami jak Walter Bonatti.

To się nazywa pasja. Ja mogę mówić, co ona mnie dała. Zapłaciłem jakąś cenę, jeśli chodzi o wykształcenie, ale świetnie poznałem ludzi w różnych sytuacjach. Poznałem też siebie, udało mi się pokonać pewne demony w sobie. Każdy ma inną motywację. Są ludzie, którzy gaszą swoje kompleksy, co mi się nie podoba, podobnie jak nadmiar ambicji.

Czyli do Mackiewicza trudno mieć pretensje?

Nie robił nic nieetycznego. Podchodził do tego nie jak wojownik, ale jak chłopiec, który miał marzenia.

Zapłacił najwyższą cenę, ale to jest wkalulowane w tę grę i dotyczy także mistrzów. Włoch Renato Casarotto w 1986 r. zjechał do podstawy K2, zadzwonił do żony, która była w bazie, żeby nastawiała zupe, i tuż przed bazą wpadł do szczeliny. Pod Everestem w 1989 r. zginęli moi przyjaciele i kumple, sami profesjonaliści. Ale kto im kazał mocować tak długą poręczówkę i wpinać się do niej razem? Nabrało się śniegu i spadła lawina.

Na wieńce, wiązanki wydałem większe pieniądze niż na różne uciechy. Wiedziałem rozpacze, dramaty, ludzi rozmarzonych na piargach. Ogromna część ofiar była bez sensu, przez fircykowanie, brak przyłożenia się. Ale nie robię z tego kapliczki straceńców ani nie mówię: „Góry tylko dla zawodowców”. Bo kim są zawodowcy? U mnie pasja stała się zawodem, ale wielu wspinaczy to amatorzy.

Mackiewicz wracał na Nanga Parbat siedem razy.

Góra może stać się obsesją. Jak ktoś bardzo dużo jeździ w Himalaje i się nakręca, to często źle kończy. Ja tak miałem z początku, jedna wyprawa, druga, propozycje następnej i – łaska boska – uszkodziłem kolano we Francji. Miałem jechać jeszcze na tragiczny Everest w 1989...

Jak przewodnik, instruktor, który uczy, jak unikać ryzyka, patrzy na wspólny himalaizm, w którym liczą się wejścia o najwyższym stopniu ryzyka?

Prywatnie uwielbiałem drogi wielkie i ryzykowne. Zarządzanie ryzykiem polega jednak na tym, że jako przewodnik muszę je sprowadzać do możliwego minimum. A prowadząc kurs taternicki podnieść: muszę ludzi przyzwyczaić do podejmowania ryzyka, żeby każdy mógł sobie odpowiedzieć, do jakiego stopnia jest w stanie ryzykować. Sam jednak nie wróciłbym w Himalaje. Wiem, że dla mnie ryzyko byłoby już zbyt duże. ©P

Rozmawiał BARTEK DOBROCH

BOGUMIŁ SŁAMA (ur. 1948) jest instruktorem Polskiego Związku Alpinizmu, był wieloletnim kierownikiem Centralnego Ośrodka Szkolenia PZA na Hali Gąsienicowej „Betlejemka”. Współzałożyciel Polskiego Stowarzyszenia Przewodników Wysokogórskich. Wspinał się m.in. w Himalajach, Pamirze i Karakorum.

Z wielkim żalem informujemy o śmierci

ś.†p.

Tadeusza Sporniaka

Arturze,

przyjmij od nas wyrazy głębokiego współczucia
i łączności w modlitwie

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Księdzu Wojciechowi Lemańskiemu
przekazujemy słowa współczucia i zapewniamy
o duchowej bliskości w trudnych chwilach po śmierci

Ojca

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Msza pogrzebowa w intencji śp. Józefa Lemańskiego
zostanie odprawiona w sobotę, 3 lutego, o godz. 12.00
w kościele parafialnym przy ul. Partyzantów 8 w Chotomowie

PAWEŁ

Śpiewak: *Modlitwa Salomona*



KRÓL SALOMON ZNALAZŁ SIĘ POŚRÓD LICZNEGO ludu z żoną Egipcjanką u boku. Poprosił Boga, by stał się podobny do ojca, Dawida, by chodził w prawdzie oraz sprawiedliwości. Poprosił Pana o serce rozumne, aby był dobrym sędzią i rozróżniał między dobrem a złem. Jak uczy pewien midrasz: „Nie prosił Boga ani o bogactwa, ani o siłę fizyczną, ani o zwycięstwa nad wrogami, tylko o mądrość, która jest córką niebios. W niej wszystko się mieści”. Bogu spodobало się, o co prosił król. Uczynił wedle słów Salomona i stał się on monarchą najpotężniejszym duchem. Nie było nikogo mu równego. W nagrodę Bóg dał mu jeszcze bogactwa i sławę. Przedłużył dni jego. Usłyszał król słowa Boga i wydawało mu się, że je śni. Po przebudzeniu udał się do Jerozolimy, a stanąwszy przed skrzynią Pana, sprawował całopalenie.

Znany hymn o mądrości zapisany w Księdze Hioba. Razem z tymi słowami pojawia się nowa faza rozwoju judaizmu biblijnego. Autorzy midrasz ów nowy i kolejny początek religii Izraela łączą z Salomonem. Od mądrości prowadzi droga do pobożności, prawości i dobroci. Za nimi idą sprawiedliwość i prawda, która zdołała jego panowanie. Miał klucz – jak uczą rabini – do całej mądrości świata. Znał wszystkie języki zwierząt i ptaków, rozumiał, o czym szumią drzewa i trawy, „przed nim biegają jelenie i sarny, a broń jego niosą lwy i tygrysy”. Wypisz, wymaluj mój ulubiony bohater literacki z dzieciństwa, skromny doktor Dolittle, który również przyjaźnił się ze wszystkimi stworami wodnymi i lądowymi, znał ich języki, a jego towarzyszami byli małpka Cziczi, pies Jim i papuga Polinezja.

Nadto złożył Salomon – powiadają księgi – trzy tysiące przypowieści, a pieśni jego było tysiąc i pięćset. Przychodzili ich słuchać ludzie ze wszystkich narodów. Biblia hebrajska wskazuje na to, że autorem czterech ksiąg był Salomon. Najważniejsza jest Księga Kohelela, napisana przez kaznodzieję, syna Dawidowego, króla w Jerozolimie. Stworzył Księgi Przysłów, napisanych „dla ćwiczenia w rozumie, w sprawiedliwości, w sędzie i w prawości”. Skomponował Pieśń nad Pieśniami. Uchodzi za autora kilku Psalmów. O autorstwie Mądrości Salomona przekonuje nieznanemu autorowi (autorzy), który po grecku pisał w pierwszym wieku naszej ery do wykształconej żydowskiej wspólnoty w Aleksandrii. Dzieło uznane jest za apokryficzne w tradycji żydowskiej i w Kościołach protestanckich. Nieco inaczej rzecz się przedstawia w Kościele katolickim. Słowa tej księgi są mocne i piękne. Mowa tam o niezbędnej władcom roztropności i o tym, jak głęboko sięga mądrość. Księga wspomina o wyjściu Hebrajczyków z Egiptu i łączy się z hagdą. Imię Salomona zdaje się być tu wspomniane jako imię patrona i pierwszego nauczyciela mądrości.

W Księdze Królewskiej podany jest przykład królewskiego werdyktu. Dwie kobiety spierały się, do której należy niemowlę. Wiadomo, że jedna ukradła drugiej żywe, a podrzuciła martwe dziecko. Król orzekł, że skoro nie wiadomo, czyje jest dziecko, to należy je rozrąbać na pół i każdą dostanie swoją część. Jedna zgodziła się z tym werdyktem. Druga gotowa była ustąpić, byle tylko dziecko żyło. Salomon pojął, że matką jest ta kobieta, dla której najważniejsze było życie dziecka. Wzruszająca jest troska młodego króla, który musiał co dzień przez dziesiątki lat pełnić rolę sędziego. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Ile kosztuje msza?*



PAWEŁ APOSTOŁ W PIERWSZYM Liście do Koryntian zastanawia się, z czego mają żyć presbiterzy. Dzisiaj oczywiście z ofiar składanych przy okazji sprawowania mszy, chrztu, ślubu, pogrzebu itd. Czasami jednak ma się wrażenie, że ksiądz nie tyle służy Kościołowi, co prowadzi punkt usługowy chrzcielno-ślubno-pogrzebowy, i to wyłącznie dla swoich. Stąd pewien proboszcz, odmawiając pochówku, bez żadnego skrepowania oświadczył rodzinie zmarłego: „A co mi do tego, skoro zmarły do kościoła nie chodził”.

Słowa proboszcza z konieczności przywodzą na myśl taki oto – dobrze znany – fragment Ewangelii: „A Judasz, który (Jezusa) zdradził, dowiedział się, że skazano Go na śmierć, poczuł wyrzuty sumienia i odniósł trzydzieści srebrników wyższemu kapłanom oraz starszym. Powiedział: »Zgrzeszyłem, gdyż wydałem niewinnego«. A oni mu odparli: »Co nas to obchodzi? To twoja sprawa«. Wtedy rzucił pieniądze w stronę świątyni, odszedł stamtąd i powiesił się”.

Po wiekach ks. Primo Mazzolari, w kazaniu wygłoszonym w Wielki Czwartek 1958 r., tak skomentował powyższy cytat: „Biedny Judasz... nie wiem, co się wydarzyło w jego duszy. Jest jedną z najbardziej tajemniczych postaci w Męce Pańskiej. Nie będę nawet próbował wam tego wyjaśnić. Proszę was jedynie o okazanie łaski dla naszego biednego brata Judasza (...) Wybaczenie mi, jeśli tego wieczoru podzieliłem się z wami bolesnymi przemyśleniami, zamiast stworzyć ciepłe i sympatyczne zgromadzenie. Niemniej jednak również kocham Judasza, on też jest moim bratem. Modlę się za niego tego wieczoru, ponieważ nie oceniam, nie piętnuję. Powinienem osądzić, a także potępić tylko i wyłącznie siebie. Nie mogę pojąć tego, że biedne serce Judasza nie zostało dotknięte Bożym miłosierdziem, tym miłosiernym uściskiem, słowem »przyjaciel«, którego użył Pan, gdy Judasz zdradził Go pocałunkiem. Być może w ostatniej chwili, pamiętając to słowo i pocałunek, Judasz mógł również poczuć, że Pan nadal go kocha i przyjmuje go wraz ze wszystkimi innymi ludźmi na całym świecie. Pomimo że niektórzy mogą uważać ten proceder jako zhańbienie Syna Bożego, pokazuje to wielkość Jego łaski”.

Dwóch presbiterów i dwie różne postawy. Nie bez znaczenia będzie pytanie o przyczyny takiego stanu rzeczy. Obawiam się, że jedną z nich, ale nie jedyną, jest przestarzała, feudalna jeszcze struktura kościelnych instytucji, w tym parafii. Z wielu względów parafia nie powinna być beneficjum, czyli jedynym sposobem utrzymywania księży. Ten system jest po prostu niesprawiedliwy. Dowód? Podział parafii na dobre i złe. Kryterium? Liczba parafian, a więc dochód. Taki system wodzi człowieka na pokuszenie. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Kościół statystyczny

*Każda prawda,
kto by ją nie wypowiedział,
jest od Ducha Świętego.*

TOMASZ Z AKWINU



*Dawni ludzie nie byli tacy
mądrzy jak wy młodzi;
w prostocie ducha umieli
i dębu, i głazu posłuchać,
byleby tylko prawdę mówić.
Czyż ci nie wszystko jedno,
kto to mówi i skąd on?*

SOKRATES



MISJA ZACZYNA SIĘ od wyjścia – i to wyjścia totalnego: do całego świata, do wszelkiego stworzenia, wszystkich narodów. Mandat misyjny przypomina liturgię święta Nawrócenia św. Pawła: „Idąc na cały świat, przepowiadajcie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu” (Mk 16, 15). W wersji Mateuszowej czytamy (dosł.): „Idąc, czynicie uczniów ze wszystkich narodów, chrzcząc je w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, i ucząc zachowywać wszystko, co wam przykazałem” (Mt 28, 19-20). W obu redakcjach Jezusowy nakaz misyjny zaczyna się od słowa: „idąc” (por. J 16, 15: „Przeznaczyłem Was na to, abyście szli, i owoc przynosili”). Tymczasem...

Myślę o tym, jak dalece zelektryzowały nas ostatnio „ślupki” i „procenty” ogłoszone przez Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego w Polsce. Najważniejsze pytanie stawiane sobie przez wszystkich brzmi: „ilu ludzi jeszcze do nas – do naszych kościołów – przychodzi?”. Odpowiedź, którą otrzymaliśmy, jest taka: mniej.

Badamy, ilu przyszło. Ale nie pytamy, ilu z nas wyszło ku innym. Wtedy też łatwiej jest „umyć ręce”. Nie przyszli, bo? Bo sekularyzm, bo liberalizm, bo materializm, bo media, bo pokomplikowali sobie życie itd. Bez sięgania po badania i statystyki można w pigułce zobaczyć nasz problem w następującym dialogu:

- Jak tam u księdza w parafii wygląda praca z młodzieżą?
- Jest ciężko...
- Są jakieś grupy młodzieżowe?

– U nas w ogóle nie ma młodzieży. Uczą się poza parafią, a w soboty i niedziele nie da się ich do czegokolwiek poważnego zaprosić.

„U nas nie ma młodzieży”. To znaczy: nie przychodzą... To prawda. Ale czy to znaczy, że ich nigdzie „nie ma”? Wyginęli? Jak mężczyźni w „Seksmisji”?

Młodzież jest. Sensowne pytanie brzmi: gdzie jest? Albo przynajmniej: gdzie bywa? Warto je postawić nie po to, by oceniać i osądzać, ale po to, by się tam wybrać. By „pójść”. I to – najlepiej – wcale nie samemu. Zaprosić do tego „wyjścia” – tak jak to czyni nieustannie papież Franciszek – wszystkich, których mamy przy sobie. Wcale nierzadko: rówieśników i kolegów/przyjaciół tych, których „nie ma”. Zamienić czekanie na ludzi na wyjście ku nim.

Św. Marek, pisząc o przyjsciu zmartwychwstałego Jezusa (z poleceniem misyjnym) do uczniów, stwierdza, że „Pan zastał ich leżących [przy stole]” (Mk 16, 14). Czy to tylko wierność historycznym realiom (bo tak, w takiej pozycji, spożywano posiłki)? Czy także zobrazowanie ich/naszej postawy? Nie gorączkujemy się, usiadźmy, zainstalujmy się wygodnie i poczekajmy, aż ludzie przyjdą. Wcześniej czy później przecież życie ich do tego zmusi: „Przyjdzie czas – będziesz nasz”.

Wprawdzie mówimy i słyszymy na zakończenie każdej Eucharystii: „Idźcie w pokój Chrystusa”, ale – przy takim nastawieniu – oznacza to dla nas po prostu: „Idźcie już do domu. I do zobaczenia za tydzień”. Nie słyszymy w tym rozesłaniu polecenia: „Idźcie! Oto Was posyłam – do tych, których macie wokół siebie”. Idźcie, podzielcie się swoją wiarą! Idźcie, zaproście innych, i przyprowadźcie ich za tydzień! ©

CZYTANIA LITURGICZNE (4 – 11 II)

5. niedziela zwykła: Hi 7, 1-4. 6-7; Ps 147A;
1 Kor 9, 16-19. 22-23; Mk 1, 29-39;
Poniedziałek: 1 Krl 8, 1-7. 9-13; Ps 132; Mk 6, 53-56;
Wtorek: 1 Krl 8, 22-23. 27-30; Ps 84; Mk 7, 1-13;
Środa: 1 Krl 10, 1-10; Ps 37; Mk 7, 14-23;

Czwartek: 1 Krl 11, 4-13; Ps 106; Mk 7, 24-30;
Piątek: 1 Krl 11, 29-32; 12, 19; Ps 81; Mk 7, 31-37;
Sobota: 1 Krl 12, 26-32; 13, 33-34; Ps 106; Mk 8, 1-10;
6. niedziela zwykła: Kpł 13, 1-2. 45-46; Ps 32;
1 Krl 10, 31 – 11, 1; Mk 1, 40-45.

Wybrał PIOTR SIKORA



REFORMA SPALONYCH MOSTÓW

„Kompromis” z Unią w sprawie sądownictwa nie będzie dotyczyć meritum sprawy, lecz symboliki. Skutki międzynarodowe zmian w polskim prawie wykroczą daleko poza konflikt z Komisją Europejską.

KLAUS BACHMANN

„Łańcuch światła” – demonstracja w obronie wolnych sądów, Kraków, 14 grudnia 2017 r.



OMAR MARQUES / SOPA / GETTY IMAGES

NADZIEJE OBROŃCÓW SĄDOWNICTWA, opozycji i Komisji Europejskiej na ponowne weta prezydenta wobec reformy sądownictwa okazały się daremne. Wydarcia z lipca 2017 r. zmuszały PiS do szukania kompromisu albo z opozycją, albo z prezydentem – wybrał to drugie. W rezultacie sędziowie i ich organizacje tracą wpływ na funkcjonowanie sądownictwa i na obsadę najważniejszych funkcji. Wpływem tym podzieliły się: większość sejmowa, rząd (przede wszystkim minister sprawiedliwości) i prezydent. Jest to zapewne ulga dla tych, którzy uważają sądownictwo za siedlisko postkomunizmu, korupcji i wyalienowanych od prostego ludu prowincjonalnych elit.

Myli się opozycja, która to przedstawia jako „upolitycznienie” sądownictwa. Trybunał Konstytucyjny, a w mniejszym stopniu też Sąd Najwyższy i Krajowa Rada Sądownictwa to instytucje na wskroś polityczne. Obecna reforma odbiera te instytucje elitom prawników, ale nie oddaje ich w ręce obywateli, lecz w ręce rządzących, tzn. tych, których TK, KRS i SN w myśl konstytucji mają kontrolować i ograniczyć. Obywatel, który dotąd nie załatwił w sądzie tego, co chciał załatwić, i nie wiedział, do kogo z tym iść, teraz już będzie wiedział: prosto do najbliższego biura poselskiego PiS. Bo w przyszłości nikt w Polsce już nie będzie sędzią SN, jeśli nie przeszedł przez sito prezydenta, nikt nie uzyska miejsca w KRS bez zgody klubu poselskiego PiS i nikt nie zostanie sędzią TK wbrew woli klubu tej partii i prezydenta. Mało kto zauważył, że Andrzej Duda, odmawiając zaprzysiężenia niektórych sędziów, dokonał reinterpretacji konstytucji. Uznał bowiem, że przepis, który dotąd zobowiązywał prezydenta do odbierania przysięgi od wybranych przez Sejm sędziów, zostawia mu wolny wybór, którego nawet nie musi uzasadnić.

W ten sposób PiS kolejny raz *de facto* zmienił polski ustrój, zostawiając konstytucję *de iure* niezmienną. Zmiana ta bardzo umacnia rząd kosztem parlamentu i prezydenta. Co mu da kontrola nad SN, jeśli bezpowrotnie – i w dodatku przyczyniając się do tego sam – stracił możliwość blokowania ustaw w sposób skuteczniejszy od weta, które przecież Sejm może obalić? Taki jest bowiem skutek faktycznego zwasalizowania Trybunału. Sam prezydent najwyraźniej już nie wierzy w jego bezstronność, skoro nie odesłał doń ewidentnie niekonstytucyjnych ustaw o KRS i SN.

Rząd dopiął swego w kraju, i jest to nieodwracalne. Nie zmieni tego nawet presja zagraniczna, bo tej reformy nikt nie cofnie, nawet gdyby na jutro rząd dobrowolnie ustąpił i przekazał władzę opozycji. Ta musiałaby albo łamać konstytucję, rozganiając TK, aby nie mógł zablokować procesu odkręcania ustaw o SN, KRS, sądach powszechnych i o samym TK, albo rzadzić na podstawie tego ustroju, który PiS jej zostawi (z wetem prezydenta wiążącym nad nią jak меч Damoklesa). Wtedy żaden sędzia nie dostałby się do KRS, SN i TK, jeśli wcześniej nie zaapro-

bowwałyby go kluby poselskie np. Nowoczesnej i PO.

Warto o tym pamiętać, rozpatrując, jak mógłby wyglądać kompromis między rządem a Komisją Europejską. Żaden polski rząd na taki kompromis pójść nie może, bo skutków tych reform nie da się cofnąć. Większości postulatów wysuwanych w ostatnich dwóch latach przez Komisję Europejską, Komisję Wenecką i Parlament Europejski PiS nie jest w stanie spełnić w momencie, kiedy skończy się *vacatio legis* najnowszych ustaw. Kolejny raz rząd sam sobie związał ręce. „Kompromis” nie będzie dotyczyć meritum sprawy, lecz symboliki. Trzeba znaleźć polityczne rozwiązanie, które pozwala wszystkim zachować twarz, ale upartyjnienia sądownictwa nie odwróci.

Zagraniczny sąd oceni

Główny problem polega jednak na tym, że taki kompromis wpłynie co prawda na postawy Komisji Europejskiej i innych państw Unii, ale i tak nam wszystkim – rządowi, obywatelom i instytucjom (obojętne, polskim czy zagranicznym) – przyjdzie się zmierzyć z trzema skutkami reformy. Nie mam tu na myśli uruchomienia art. 7. Traktatu o UE ani unijnych sankcji, lecz bardziej przyziemne, choć tak samo przykre konsekwencje.

Pierwszy skutek reformy polega na tym, że już w tej chwili polskie sądownictwo jest postrzegane jako upartyjnione i zależne od rządu. Dostaje listy od zaskoczonych obywateli państw UE, którzy boją się, że w wyniku stosowania „skarżi nadzwyczajnej” prezydenta i „oczyszczenia” Sądu Najwyższego utracą budynki, które kiedyś kupili w Polsce. Niemiecka telewizja ZDF, skazana przed polskim sądem za używanie zwrotu o „polskich obozach”, próbuje od miesiąca bezskutecznie przekonać niemieckie sądy, że wyrok ten nie może zostać uznany w Niemczech, „bo polskie sądy nie są niezależne”.

Na razie niemieckich sędziów to nie przekonuje, bo polski wyrok zapadł jeszcze przed wejściem w życie ustawy o sądach powszechnych. Niemniej argument może się okazać skuteczny w najbliższej przyszłości, ale na razie ciężar dowodu będzie ciążył na tej stronie, która podważa niezależność polskiego sądownictwa. Nie wystarczy, przykładowo, że ZDF udowodni, iż polskie sądy nie są niezależne. Stacja będzie musiała wykazać, że wyrok, który podważa, został wydany na skutek odpowiednich nacisków rządu na skład rozpatrujący sprawę. To bardzo trudne, choć →

→ każdy, kto tego spróbuje, będzie miał sympatię sądu po swojej stronie.

Sędziowie w innych państwach członkowskich bardzo dobrze znają szczegóły polskich reform i nie wzbudza ona u nich żadnych sympatii. Stan praworządności w Polsce będzie odtąd przedmiotem oceny każdego zagranicznego sądu, kiedy choćby tylko jedna strona w postępowaniu to podniesie.

Opcja nuklearna

Zanim poznamy przykre skutki tej międzynarodowej, rozproszonej kontroli praworządności, minie zapewne kilka lat. Potem upartyjnione polskie sądy pewnie zaczną stosować podobną miarę do zagranicznych wyroków i po kilku dalszych latach system wzajemnego uznania wyroków w ramach UE przestanie działać. To nie musi martwić obecnego rządu, bo jego kadencja skończy się znacznie wcześniej. Martwić powinno go bardziej, że ten pełzający rozpad systemu wzajemnego uznania wyroków może ulec znacznemu przyspieszeniu z powodu dwóch czynników.

Pierwszy czynnik to sądownictwo międzynarodowe. Jeśli Trybunał Praw Człowieka albo Trybunał Sprawiedliwości UE w jednej ze spraw dotyczących reformy sądownictwa wyda negatywne dla polskiego rządu orzeczenie, to zostanie to przez sądy, prokuratury, policje w innych państwach UE (oraz w wielu państwach nienależących do UE) odczytane jako zakaz współpracy z odpowiednimi instytucjami w Polsce. Wtedy ciężar dowodu w indywidualnych postępowaniach w krajach członkowskich będzie spoczywać na tej stronie, która twierdzi, że sądownictwo w Polsce jest niezależne i że polskie wyroki i decyzje trzeba respektować.

Takie orzeczenia mogą zapaść w Strasburgu i Luksemburgu już za kilka miesięcy.

Tajemniczy artykuł 64.

Ale sądy międzynarodowe wcale nie są niezbędne, aby dyskredytować polską reformę sądownictwa w oczach świata. O to bowiem rząd i prezydent sami zadbali, wbudowując do ustawy o SN minę, która nie tylko w każdej chwili może wybuchnąć, ale którą twardy elektorat PiS może nawet sam uruchomić. Artykuł 64. brzmi:

„Sąd Najwyższy na wniosek Prokuratora Generalnego unieważnia prawomocne orzeczenie wydane w sprawie, która w chwili orzekania ze względu na osobę nie podlegała orzecznictwu sądów polskich lub w której w chwili orzekania droga sądowa była niedopuszczalna, jeże-

Czy nowe prawo zostanie wykorzystane do zaskarżenia Rosji o odszkodowanie za Katyń? Twardy elektorat PiS może wywierać presję na rząd, aby tak postąpił.

li orzeczenie to nie może być wzruszone w trybie przewidzianym w ustawach o postępowaniach sądowych”.

Nie jest to sformułowanie zgrabne, ale staje się nieco łatwiejsze do zrozumienia, jeśli jako „osobę” rozumiemy zarówno osobę fizyczną, jak i prawną, a nawet obce państwo, i jeśli powiązemy to z czekającym w TK wnioskiem posłów PiS o sprawdzenie, czy immunitet państw obcych, zawarty w kodeksie postępowania cywilnego, jest zgodny z konstytucją. Art. 64. umożliwia prokuratorowi generalnemu podważenie przed Sądem Najwyższym immunitetu obcego państwa. W polskim porządku prawnym wynika on z konstytucji, która daje prawu międzynarodowemu pierwszeństwo przed prawem krajowym, a według międzynarodowego prawa zwyczajowego państwa cieszą się immunitetem przed sądami krajowymi innych państw. Potwierdził to Sąd Najwyższy, ostatnio w 2012 r., kiedy mieszkaniec Lubelszczyzny, który doznał oparzeń podczas pacyfikacji wioski przez wojska niemieckie, próbował zaskarżyć RFN przed polskim sądem.

Weźcie sobie reparacje

Jeśli zależny od i lojalny wobec rządu „oczyszczony” SN na podstawie wniosku prokuratura generalnego podważy ten wyrok z 2012 r., a opanowany przez polski rząd TK uzna immunitet państw obcych za niezgodny z konstytucją, to polscy poszkodowani przez okupację niemiecką mogą uzyskać odszkodowania przed polskimi sądami. Te wyroki nie zostaną uznane przez sądy innych krajów, ale wtedy polscy powodowie mogą uzyskać tytuły wykonawcze, za pomocą których komornicy mogą zajmować mienie państwa niemieckiego w Polsce. Polska nie musi już negocjować z rządem Niemiec na temat reparacji, może je sobie po prostu wziąć.

Lecz to jednocześnie będzie jasny i niepodważalny sygnał dla całego świata, że polskie sądownictwo działa na zamówie-

nie rządu, i że Polska przestaje uznawać zwierzchnictwo prawa międzynarodowego nad prawem polskim. Będzie to też znak, że z polskim rządem lepiej nie zawierać żadnych porozumień i traktatów, bo mogą potem zostać podważone przez sądownictwo krajowe.

Immunitet państwa przed sądami krajowymi nie wynika jednak tylko z polskiego porządku prawnego, lecz również z orzecznictwa Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, a tego żaden polski rząd nie jest w stanie zmienić. Polska jest stroną europejskiej konwencji ws. pokojowego rozwiązywania sporów z 1957 r., która obowiązuje ją do poddawania wszystkich sporów z innymi państwami europejskimi jurysdykcji MTS. Konfiskowanie mienia państw obcych w Polsce nadal będzie nielegalne, nawet jeśli SN i TK orzekną inaczej. Polska może, wzorem Grecji i Włoch, konfiskować niemieckie mienie państwowe w Polsce, ale tak samo jak Włochy i Grecja przegra wtedy przed MTS i jeśli takiego wyroku nie uzna, wejdzie w konflikt z pozostałymi członkami Rady Europy i UE.

Mienia państwa niemieckiego w Polsce nie jest dużo, bo w jego zakres nie wchodzi ani majątek osób prywatnych, ani własność konsularna, chronione na podstawie dwustronnych umów, których podważenie naraziłoby Polskę na odwet ze strony innych państw. Można wątpić, czy gra jest warta świeczki: kilka lub kilkanaście milionów złotych w zmianach z utratę członkostwa w Radzie Europy i zakończenie współpracy policji, prokuratur i sądów w ramach Unii.

Szkopuł w tym, że artykuł 64. istnieje i można z niego korzystać, a twardy elektorat PiS będzie wywierać presję na rząd, aby tak postąpił. Piękno tej konstrukcji prawnej polega na tym, że umożliwia ona podważenie immunitetu nie tylko Niemiec w Polsce, ale też każdego innego państwa. Można ją wykorzystać do zaskarżenia Rosji o odszkodowanie za Katyń, za Smoleńsk albo do tego, aby konfiskować rosyjskie mienie na poczet wraku tupolewa, którego Rosja nie chce oddać. Ciekawe, kiedy zwolennicy zdetronizowanego ministra obrony wpadną na to, by wykorzystać ten przepis, aby dać popalić rządowi w stosunkach z Niemcami i z Rosją. I czym rząd wtedy uzasadni, że stworzył sobie takie narzędzie, ale nie chce z niego korzystać w sprawach, które przecież sam uznaje za słuszne...

Uruchomienie art. 7. przeciwko polskiemu rządowi to tylko jeden z pozapolskich aspektów reformy sądownictwa i wcale nie

najistotniejszy. Nieważne, czy to się skończy odebraniem głosu Polsce w Radzie UE, czy sankcjami finansowymi w następnej perspektywie finansowej. Samo przegłosowanie art. 7.1. na podstawie głosów czterech piątych państw może być odbierane przez wymiar sprawiedliwości w innych krajach członkowskich na równi z orzeczeniem trybunałów w Strasburgu i Luksemburgu. Następstwa w postaci zmiany nastawienia sądów, prokuratur, policji mogą być takie same i to zupełnie niezależnie od woli rządów i instytucji europejskich. W ich krajach sądy i prokuratury nie muszą się bowiem oglądać na rząd.

Guliwer sam siebie związał

Przeprowadzając reformę sądownictwa bez względu na potencjalne skutki, rząd spalił za sobą mosty – musi teraz brnąć dalej, bo cofać się nie może, nawet gdyby chciał. Podobnie jak przy relokacji uchodźców. Dodatkowo dał swoim zwolennikom narzędzie, aby mu jeszcze mocniej wiązać ręce. Obecnie próbuje to kompensować zmianą retoryki: rząd Beaty Szydło zawsze podkreślał, że Unia nie ma prawa ingerować w polskie reformy. Rząd Morawieckiego już tak nie twierdzi, chce tylko przekonać Unię, że reformy nie stanowią zagrożenia dla praworządności. Merytorycznego kompromisu (którego z kolei chcą instytucje Unii) nie proponuje, bo na to nie ma już pola manewru. Prezydent weta nie zgłosił, szanse na to, że TK przekreśli reformę SN i KRS, są marne, reformy samego TK i tak nie może już zmienić – a to oczy Komisji Europejskiej najbardziej kole. Prezydent mógłby nie skorzystać z prawa, jakie mu daje nowa ustawa o SN, i pozwolić zasiadającym tam sędziom dalej orzekać. Ale przeważająca większość sędziów wcale nie chce go o to poprosić. W ten sposób PiS musi brnąć dalej z „reformami”, nawet jeśli na skutek oporu sędziów KRS i SN zostaną zablokowane.

Jest to gra, którą na końcu wszyscy mogą przegrać: rząd będzie miał wszystkie wyżej opisane problemy na arenie międzynarodowej, ale bez zysków w kraju, na które liczył. Unia nic nie osiągnie, bo nikt nie będzie w stanie skutków tych reform odwrócić, a obywatele będą mieli upartyjnione i jednocześnie dysfunkcyjne sądownictwo.

A rząd będzie wyglądać jak Guliwer – podporządkowując sobie jedno ogniwo władzy po drugim, będzie się wydawał bardzo duży, silny i nieustępliwy. Ale w przeciwieństwie do Guliwera, uwięzionego przez Liliputów, rząd sam sobie związał ręce.

©

KLAUS BACHMANN

Ślepe ulice

PIOTR KOZANECKI

Połowę pieniędzy przeznaczonych na inwestycje największe polskie miasta przeznaczyły na lanie asfaltu. Nigdzie nie przyniosło to odpowiednich skutków.

JEŚLI ZAATAKUJESZ STATUS QUO, TO STATUS QUO CI ODDA, I TO MOCNO” – pisze w książce „Walka o ulice” była nowojorska komisarz do spraw transportu Janette Sadik-Khan. Jaki może mieć sens czytanie w Polsce o wyznaczaniu ścieżek rowerowych w Nowym Jorku? Inny kontynent, miasto tak gigantyczne, że zmieściłaby się w nim jedna czwarta wszystkich Polaków. Otóż ma sens ogromny. Zarówno w Nowym Jorku, jak i w Suchoj Beskidzkiej mieszka ją ludzie, którzy codziennie muszą przemieścić się z domu do szkoły lub pracy i z powrotem. W każdym mieście można to zrobić na kilka sposobów i właśnie wybór tych sposobów – przez nas i przez pozostałych mieszkańców – w ogromnym stopniu determinuje naszą codzienność: decyduje o tym, ile mamy wolnego czasu, wpływa na nasze samopoczucie i zdrowie.

Wyboru, czy dojechać do pracy rowerem, samochodem, tramwajem, czy może iść piechotą, wbrew pozorom nie dokonujemy sami. Nasze ścieżki wyznacza miasto. Dlaczego w ogóle ktoś w Nowym Jorku pomyślał, że należałoby je wyznaczyć inaczej niż dotąd?

„Miasta nie są wyposażone w podręcznik użytkownika. Większość praktyk obowiązujących przy projektowaniu ulic to standardy ustalone dawno temu przez inżynierów ruchu (...). Standardy polegające na budowaniu, poszerzaniu i naprawianiu tyłu dróg, ile tylko się da, przy odrzuceniu wszystkiego, co nie zostało przetestowane lub nie jest *explicite* dozwolone (...). Zawsze wszystko robi się tak, jak się robiło – pisze Khan.

Nowe drogi, nowe korki

Z obliczeń, które przeprowadziłem na podstawie analiz budżetów polskich miast, wynika, że największe ośrodki wydawały w ostatniej dekadzie około połowy pieniędzy przeznaczonych na inwestycje na lanie asfaltu. Właściwie nigdzie nie przyniosło to skutków ade-

kwatnych do tych nakładów. Miliardy złotych włożyliśmy w drogi, tunele i estakady po to, żeby w ciągu kilku miesięcy od otwarcia zostały zalane nowymi potokami aut. Zwiększająca się podaż uruchamia ukryty popyt. Jeśli do tego dołożymy rozlewające się przedmieścia, na które nie dochodzi transport publiczny, otrzymujemy kolejne grupy ludzi skazanych na auto, którzy niczym innym się do miasta nie dostaną. Pociągu ani autobusu nie ma, rowerem za daleko.

Do niedawna intuicyjnym lekarstwem na niekończące się źródło frustracji milionów mieszkańców globu, czyli korki, było właśnie budowanie kolejnych dróg. Ale wiemy już dziś, chociażby dzięki przykładom opisywanym przez Sadik-Khan, a wcześniej przez duńskiego urbanistę Jana Gehla („Miasta dla ludzi”) czy kanadyjskiego dziennikarza Charlesa Montgomery’ego („Miasto szczęśliwe”), że to ślepa uliczka.

Żadne miasto nie jest w stanie obsłużyć swoich mieszkańców samochodowym transportem indywidualnym. Wynika to z praw fizyki – samochody zajmują za dużą powierzchnię, żeby zmieścić się na ulicach wyznaczonych w gęstej miejskiej zabudowie. A jeśli zdecydowalibyśmy się na zburzenie części zabudowy albo budowę miasta przyjaznego samochodom od zera, to otrzymujemy twór o nieludzkiej skali, właściwie niekończące się przedmieście, z gigantycznymi przestrzeniami poprzecinanymi wielopasmowymi drogami, estakadami i wiaduktami. To byłaby metropolia rodem z rysunków modernistów sprzed kilkudziesięciu lat – bez jednego człowieka na ulicy.

Optymalne rozwiązanie polega na tym, że miasto zarządza ruchem, aby jak najwięcej mieszkańców wybierało inny niż samochód środek lokomocji – bo każdy inny jest korzystniejszy z punktu widzenia ogółu. Przekonanie przyzwyczajonych do auta obywateli →



W Krakowie mieszkańcy oprotowali separatory oddzielające pasy ruchu samochodów od torów tramwajowych

→ jest jednak trudne: ludzie są w stanie długo i bezwzględnie walczyć o codzienne stanie w korkach i podjeżdżanie SUV-em pod każdy sklep. Właśnie o tym przekonywaniu Sadik-Khan pisze w swojej książce.

„Podczas typowych spotkań z mieszkańcami urzędnicy przez dwadzieścia minut wygłaszają wykład, a potem odpowiadają na pytania. Taka formuła nie sprzyja udziałowi obywateli, bo korzystają na niej tylko ci nieliczni, którzy są na tyle zaangażowani, że nie boją się zabrać głosu publicznie. I często wygłaszają radykalne sądy, które polaryzują zgromadzonych. Osoby o umiarkowanych poglądach wolą siedzieć cicho i się nie wychylać” – twierdzi była komisarz.

Separator dzieli Kraków

Dokładnie tak wyglądały w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy spotkania dotyczące zmian w organizacji ruchu w Krakowie. Zaczęło się jeszcze przed Światowymi Dniami Młodzieży, kiedy na jednej ze śródmiejskich ulic zamontowano separator uniemożliwiający samochodom jazdę po torowisku. Dzięki niemu tramwaje, które odcinek dwóch przystanków pokonywały nieraz kilkanaście minut, mogą poruszać się niezależnie od korka. Efektem ubocznym była jednak likwidacja części miejsc postojowych na jezdni. Nałożył się na to jeszcze spór, czy na chodniku w strefie płatnego parkowania należy zostawić 1,5 metra czy 2 metry chodnika dla

pieszych (w ustawie wymagane są 2 metry, ale dopuszcza się 1,5 metra w wyjątkowych sytuacjach – konia z rzędem temu, kto teraz oceni, kiedy mamy do czynienia z wyjątkową sytuacją). Kontrola zlecona przez wojewodę małopolskiego wykazała, że miejsc postojowych wyznaczonych niezgodnie z przepisami jest w śródmieściu Krakowa sporo, nawet ponad 3 tysiące.

Opór przeciwko zmianom był głośny, zorganizowany i jak na dość niskie zaangażowanie obywateli w sprawy dotyczące rzeczy wspólnych spory liczebnie. Dzielać mieszkańców nie mniej skutecznie niż drogę separator został pod wpływem protestujących na pewnym odcinku zdemontowany, choć jego pozytywny efekt dla tysięcy pasażerów komunikacji publicznej był niezaprzeczalny. Niezgodne z przepisami miejsca postojowe są natomiast stanowczo likwidowane, ale kwestia tego, ile z nich da się odtworzyć w innych miejscach (np. kosztem wprowadzenia ruchu jednokierunkowego), pozostaje otwarta. Podobnie jak pytanie o „wyjątkowość” ulicy, decydującą o pozostawieniu dwóch bądź półtora metra chodnika.

Nie tylko ścieżki

Przekładając terminy stosowane przez Sadik-Khan w „Walce o ulice” na krakowski protest, można wspomnieć o „status quo, które ci odda, i to mocno”. Odzywa się ono zresztą nie tylko w Krakowie. Wiele polskich miast doszło już bowiem do takie-

go punktu rozwoju, w którym problem korków próbuje się rozwiązać inaczej niż poprzez wylewanie kolejnych kilometrów asfaltu. – Nie będziemy inwestować w dalszą rozbudowę dróg, bo to naszym zdaniem nie rozwiązuje problemu. Nawet budowa autostrad w mieście już niczego nie poprawi. Głównym celem będzie to, aby nasi mieszkańcy nie tracili czasu, stojąc w korkach. Chcemy to jednak osiągnąć innymi metodami, niż robiono to dotychczas, zmieniam strategię, trzeba szukać efektywnych rozwiązań, by zamiast jechać samochodem, mieszkańcy korzystali z transportu publicznego – mówił już dwa lata temu w rozmowie z Portalem Samorządowym Jacek Jaśkowiak, prezydent Poznania.

To, że takie słowa wypowiedział urzędujący prezydent dużego miasta, jest wynikiem kilkunastu lat działań ruchów miejskich zbrojnych w wiedzę, książki, artykuły i dane z ośrodków z Europy Zachodniej, Australii, Kanady i USA. Dopóki najbardziej widocznym elementem ich działalności były mało inwazyjne i tanie ścieżki rowerowe, *status quo* można było uważać za prawie nienaruszone. Ale kiedy kolejni samorządowcy zaczynają likwidować miejsca postojowe, ograniczać ruch samochodowy i wprowadzać buspasy, pojawił się opór. Walka o ulice wkroczyła w nową fazę.

Wracając do Sadik-Khan: to z jej książki wylania się obraz Nowego Jorku, w któ-

rym proces transportowej rewolucji znacznie się skrócił. Jej praca w magistracie trwała sześć lat, ale kiedy Michaela Bloomberg zastąpił Bill de Blasio i opuściła swoje stanowisko, to jej zmiany były kontynuowane. Trudno o lepsze świadectwo na to, że szły w dobrym kierunku.

Najciekawsze i być może najbardziej rewolucyjne w działaniu nowojorskiej ekipy Sadik-Khan było to, że wprowadzała swoje pomysły niewielkim kosztem. Ulice i place malowano różnymi kolorami, granice przestrzeni wyznaczano klombami, a funkcję oddzielającą ruch rowerowy od samochodowego pełniły... zaparkowane wzdłuż ulicy inne samochody. Żadnego zrywania asfaltu ani innych rzeczy, które wymagałyby dużych nakładów i byłyby trudne do odwrócenia. Potencjalna tymczasowość pomysłów nowojorskiej komisarzy okazała się strzałem w dziesiątkę. Gdyby zmiany nie przyniosły oczekiwanych skutków albo wywołały gwałtowny opór, zawsze można było przywrócić miejsce do poprzedniego stanu.

Oddajcie nam plac

To właśnie pozwoliło Khan na być może najbardziej spektakularną miejską transformację ostatnich lat – zmianę na Times Square.

Na początek trochę liczb. Przed kilkoma laty 89 proc. powierzchni jednego z najsłynniejszych placów świata zajmowały auta, choć 82 proc. ludzi (365 tys. dziennie) przechodziło tamtędy pieszo. Ofiarą wypadków padało o 137 proc. więcej pieszych niż na okolicznych ulicach, bo tłumy nie mieściły się na wąskich chodnikach i wchodziły na jezdnię. Times Square ma kształt nieregularnego trójkąta, bo na siatce prostopadłych ulic i alei Manhattanu nieco chaosu wprowadza wijący się między nimi niczym wstęga Broadway – z każdą z tych ulic i alei tworzący dziwaczne skrzyżowania. Właśnie na jednym z nich leży Times.

Zespół Khan przygotował projekt zwężenia odcinka Broadwayu, zamknięcia samego placu dla ruchu samochodowego i oddania powstałej w ten sposób przestrzeni pieszym i kawiarnianym ogródkom. Żeby uspokoić kierowców, na pobliskich ulicach wydłużono czas zielonego światła, i tak też PR-owo opakowano cały pakiet – „Zielone światło dla Midtown”. – Na początku pomyślałem, że w życiu nie słyszałem o większej głupocie. Ale po dziesięciu minutach dałem się przekonać – skwitował Bloomberg.

Opis ostatnich godzin przed wdrożeniem projektu budzi nie mniej emocji niż skandynawski kryminał. Zmiana została przyjęta przez nowojorczyków z entuzjazmem. Plac w naturalny sposób wypełnił się ludźmi, a wieszczące katastrofę tabloidy musiały skupić swoją krytykę na niewiele znaczącym detalu, czyli na kolorze zakupionych w ostatniej chwili przez urząd leżaków.

Bloomberg jednak, i to ważna lekcja dla urzędników w Polsce, nie entuzjazmował się samą radosną atmosferą nowego Times Square. Żądał danych dotyczących bezpieczeństwa, ruchu i obrotów przedsiębiorców. Dopiero kiedy po kilku miesiącach okazało się, że liczba wypadków z udziałem pieszych zmalała, płynność ruchu się poprawiła, a obroty firm i ceny nieruchomości wzrosły, mógł odtrąbić sukces.

Miasta niepolicezone

Twarde dane i rzetelna analiza skutków ingerencji w przestrzeń miejską to nasza pięta achillesowa. Polskie miasta są bardzo słabo „policezone”, zwłaszcza jeśli chodzi o wzajemne wpływanie na siebie transportu i lokalnej ekonomii. Coś, co policzył w Kopenhadze Jan Gehl, guru współczesnej urbanistyki, albo w Bogocie jej burmistrz Enrique Peñalosa, nie musi się jeden do jednego przekładać na Warszawę i Kraków.

Obrońcy *status quo* często ucinają dyskusje zdaniem typu: „Wrocław to nie Amsterdam”. Ale sami posługują się oklepanymi stereotypami: ulice są dla samochodów, miejsc postojowych powinno być jak najwięcej, najpierw parkingi podziemne, głównymi klientami sklepów są kierowcy, przez urzędników nie będziesz mógł odwieźć dziecka do przedszkola, a mamy do lekarza, rower to młodzieżowa fanaberia, a w ogóle to w Polsce jest za zimno.

Ruchy miejskie mają za sobą Jana Gehla, Charlesa Montgomery’ego, Gila Penalose i Janette Sadik-Khan oraz pisanie przez nich, naszpikowane danymi i przykładami książki. *Status quo* wciąż na tego typu postaci i publikacje czeka, ale ma za sobą klasyczny zestaw dla tych, którzy z definicji torpedują każdy wychodzący od władzy albo miejskich aktywistów pomysł. W najbliższych latach polskie miasta będą między tymi grupami rozpięte. ©

PIOTR KOZANECKI

Autor jest dziennikarzem Onet.pl.

Ostatni bastion Macierewicza

RAFAŁ ZYCHAL

A jednak eksplozja. Wszystko wskazuje, że w tę stronę zmierza podkomisja smoleńska. Dotychczas im większe problemy miała ona sama i jej polityczny patron, tym ostrzejsze stawiała tezy.

ANTONI, ANTONI!” – SKANDOWAŁ TŁUM podczas ostatniej miesięcznicy. Ale tym razem ich faworyta zabrakło w pierwszym szeregu. Ostatnim atutem, jaki mu został w ręku, jest piecza nad działającą w MON podkomisją smoleńską. Tą samą, którą tak uroczyście powoływał. Wtedy też obiecał prawdę o „największej tragedii w dziejach światowego lotnictwa”. Czy dziś znajdzie ona dowody uwiarygodniające jej ustalenia?

W stronę wybuchów

Teza o wybuchu, jako o przyczynie katastrofy Tu-154M, to nic nowego. W różnych odsłonach powraca od czasów zespołu parlamentarnego, którym również kierował Macierewicz. Zmieniała się ich liczba i umiejscowienie, ale stały jest – brak jednoznacznych dowodów.

Gdy podkomisja rozpoczynała pracę, skupiała się raczej na zaniechaniach poprzednich władz czy domniemanym fałszowaniu czarnych skrzynek. Przełom nastąpił w kwietniu 2017 r. Na specjalnej konferencji pokazano nagranie z eksperymentu, który miał dowodzić, że kadłub tupolewa rozerwała eksplozja. Zapanowała konsternacja. Po raz pierwszy jakaś część państwa oficjalnie opowiedziała się za taką wersją. Film stał się źródłem kolejnych pytań o wiarygodność badań, a członkowie podkomisji nie byli skorzy do odpowiedzi. Ograniczyli się do suchych komunikatów.

Chwilę później zaczęły się wewnętrzne problemy. Odchodzili eksperci powątpiewający w jej tezy, zmieniali się szefowie. →

→ Pierwszy z nich, Wacław Berczyński, zęgnął się w atmosferze, którą trudno określić inaczej niż śmieszno-straszną. „To ja wykończyłem caracale!” – pochwalił się w głośnym wywiadzie. MON stanowczo zaprzeczał. Nie minął jednak tydzień i Berczyński zniknął.

Jednocześnie kolejne komunikaty płynące z komisji pokazywały zaostrenie kursu. Dziś jej wiceszef Wiesław Binienda mówi wprost: to nie był wypadek, to był zamach. Kto więc podłożył ładunek? Binienda przekonuje, że mogli to zrobić tylko Rosjanie podczas remontu Tu-154M w 2009 r. Dowody? Na razie tylko słowa.

Trzoniem przetrzebionej podkomisji są dziś osoby, które przez lata stały u boku Macierewicza i jego sejmowego zespołu. Stąd nie może dziwić fakt, że zmierza ona w stronę potwierdzenia wniosków, które formułował on w kolejnych raportach. Również tych idących najdalej.

Ekspert z zagranicy

Lewe skrzydło zostało zniszczone w wyniku eksplozji wewnętrznej. Istniało kilka jej źródeł: w skrzydle, słocie i w centroplacie. Brzoza nie miała wpływu na pierwotne zniszczenie skrzydła – tak brzmią najnowsze ustalenia podkomisji. Ich autorem jest Frank Taylor i, jak czytamy w oświadczeniu, są one jedną z kluczowych konkluzji raportu technicznego. To na jego badania powoływał się Binienda. Kim jest Taylor? To jeden z nielicznych, o ile nie jedyny członek podkomisji, który w przeszłości brał udział w wyjaśnianiu katastrof lotniczych. Ale nie brakuje wokół niego pytań i wątpliwości. Jeszcze we wrześniu mówił dziennikarzom, że tak naprawdę nie zaczął na dobre pracy w podkomisji. Tuż na początku nowego roku ogłosił jednak, że na pokładzie Tu-154M doszło do eksplozji.

Niejasne są okoliczności, w jakich powstawała ta opinia. Nieoficjalne doniesienia mówią, że Taylor bazował na ustaleniach członków zespołu. Czy jedynie

uwiarygodnił on swoim nazwiskiem ich wersję? Zaprzecza temu Kazimierz Nowaczyk, poprzednik Macierewicza w fotelu szefa podkomisji. Szczegóły badań brytyjskiego eksperta być może poznamy przy okazji publikacji raportu końcowego.

Choć w przeszłości osoby skupione wokół Antoniego Macierewicza potrafiły diametralnie zmieniać swoje zdanie, to wszystko wskazuje, że tym razem korekty kursu raczej nie będzie. W reakcji na taką wersję zdarzeń byli członkowie komisji Millera przypominają, że żadne z przeprowadzonych przez nich badań nie potwierdziło, by na pokładzie samolotu doszło do eksplozji. I dodają, że nikt ze składu podkomisji nie badał wraku ani czarnych skrzynek. Czy zgodnie z zapowiedziami podkomisja zdecyduje się więc na wyjazd do Smoleńska? Nie wiadomo.

Śledczy pracują w ciszy

Od 2011 r. na zlecenie prokuratury pracuje ponad 20-osobowy zespół biegłych. Na jego czele stoi płk Antoni Milkiewicz. To doświadczony ekspert, w przeszłości badał m.in. katastrofę Il-62M, który w 1987 r. rozbił się w Lesie Kabackim. W zespole jest wielu uznanych badaczy wypadków lotniczych – związanych zarówno z wojskiem, jak i uczelniami technicznymi. Ich opinia trafiła na biurka śledczych w marcu 2015 r. Była później uzupełniana, ostatni raz w maju ubiegłego roku.

Choć po przejęciu władzy przez PiS doszło do wymiany praktycznie całego zespołu śledczych, to jednak ekipa biegłych pracuje w niemal niezmiennym składzie. Nieoficjalnie wiadomo, że kolejne uzupełnienia opinii nie zmieniły zasadniczych przyczyn, jakie ustalili eksperci. W olbrzymiej większości pokrywają się one z tym, co w swoim raporcie napisała komisja Millera. A w niektórych wątkach idą nawet dalej.

Ich zdaniem pierwszą i bezpośrednią przyczyną katastrofy było niewłaściwe

działanie załogi. Wskazali oni też na błędy rosyjskich kontrolerów lotu, którym śledczy zdecydowali się postawić zarzuty. Biegli opisali również nieprawidłowości w doborze załogi i funkcjonowaniu specpułku. Według nich aż do tragicznego finału lotu wszystkie urządzenia pokładowe działały sprawnie. Nie stwierdzili żadnych śladów wybuchów.

Co w śledztwie dzieje się dziś? Wokół pracy prokuratury zapanowała cisza. Według oficjalnych informacji wciąż analizuje ona opinie biegłych. Śledczy czekają też na kolejne ważne dla nich ekspertyzy. Pierwsza z nich powstanie po badaniach ciał wszystkich ofiar katastrofy. Do tej pory wykonano blisko 60 ekshumacji. Nieoficjalne doniesienia nie wskazują na to, by biegli stwierdzili ślady po wybuchach. Druga z ekspertyz będzie wynikiem badania próbek pobranych na miejscu katastrofy. Także pod kątem obecności śladów materiałów wybuchowych. Na te wyniki też czekamy.

Jedno jest pewne – to głos prokuratury, a nie podkomisji będzie istotniejszy. Jeśli ktoś ma przekonać nieprzekonanych, to prędzej zrobią to śledczy. A oni raczej nie podzielą wersji ekipy Macierewicza. Jej nie sprzyja także inny ważny czynnik – głos, jaki płynie z Nowogrodzkiej.

Prezes zamyka fronty

Niedawna rekonstrukcja pokazała, że PiS zmienia kurs i chce zakończyć część konfliktów, które rozpałyły emocje. Od kilku miesięcy swój ton w sprawie Smoleńska łagodzi też sam Jarosław Kaczyński. Jeszcze w kwietniu ubiegłego roku mówił: wiemy z bardzo wysokim stopniem pewnością, że doszło do wybuchu. W październiku przyznał zaś, że być może nie uda się do końca ustalić prawdy o katastrofie. Jeszcze bardziej zachowawczy są posłowie PiS. Z nielicznymi wyjątkami zajmują oni stanowisko wątpliwe wobec wcześniejszych ustaleń, ale i wyczekujące na ostateczne konkluzje.

PiS temat Smoleńska usuwa w cień. Przed nami ostatnie miesięcznice, sam prezes mówi, że ósma rocznica będzie czasem, w którym zapadną rozstrzygnięcia. Ale czy wszystkie? Mniej więcej taki sam horyzont czasowy wyznaczyła sobie prokuratura i podkomisja. Czy Antoni Macierewicz i jego ekipa, podgrzewający spekulacje, trafią w oczekiwania Nowogrodzkiej? Niekoniecznie. Nie zapominajmy też, że obie strony mają jeszcze w zanadrzu jeden wątek, który może je znów połączyć – kwestia odpowiedzialności Donalda Tuska. ©

RAFAŁ ZYCHAŁ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl.

POŻEGNANIE

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci

Lidii Ostałowskiej

wybitnej dziennikarki i wspaniałego Człowieka.

Rodzinie i Przyjaciółom składamy wyrazy głębokiego współczucia.

WYDAWNICTWO CZARNE



JACEK TARAN

Wizyta czeczeńskich dzieci i ich mam w Domu Spokojnej Starości, Radość k. Warszawy, 7 stycznia 2018 r.

Z dworca w Brześciu do Radości

JACEK TARAN

Na początku roku polska starość i czeczeńska trauma spotkały się w niezwykłym miejscu.

BŁĄDZIŁA PO DRODZE SZARA MYSZKA – szukała szczęścia, chciała być kimś innym. W końcu spotkała wróżkę, która spełniła jej prośbę i zmieniła ją w myszkę różową. Niestety na szarej drodze różowa myszka jest łatwą zdobyczą dla złego kota... Tak w skrócie brzmi historia, którą czeczeńskie Dzieci z Dworca Brześć wraz z opiekunami przedstawiają w podwarszawskim domu spokojnej starości.

Do Radości pojechałem razem z Mariną Hulią – energiczną Rosjanką mieszkającą w Polsce od 25 lat. Robi więcej dla uchodźców niż państwo polskie ze swoimi służbami i biurokacją. Podjęła się opieki nad czeczeńskimi mamami, które przez wiele miesięcy koczowały

na dworcu w Brześciu (jej sylwetkę przedstawiła Anna Dziewit-Meller w „TP” 24/2017, w reportażu „U siebie, czyli nigdzie”, czytaj powszech.net/brzesc). Teraz, kiedy część z nich jest już w Polsce razem ze swoimi dziećmi, Marina nadal troszczy się o nie, znajduje pomoc, organizuje, uczy języka polskiego, pomaga dzieciom w odrabianiu lekcji, a przede wszystkim pokazuje, jak wielu dobrych ludzi można w Polsce spotkać.

Osobisty kontakt

W położonym pośród bujnej zieleni domu w Radości czas płynie monotonnie. Zdawałoby się, że nic nie zdoła zakłócić rytmu odmierzanego przez kolejne pożegna-

nia. Średnia wieku mieszanek oscyluje w okolicach dziewięćdziesiątki.

Kameralny pensjonat okazał się jednak idealnym miejscem na działania, które podejmuje Marina z czeczeńskimi podopiecznymi. – Ta kameralność to wielka zaleta, dzięki niej możemy pracować bezpośrednio z naszymi babkami – mówi Marina. – W dużych placówkach nie ma miejsca na tak osobisty kontakt. Tutaj znamy wszystkie panie po imieniu: jest Tereska z temblakiem, jest Róża, Basia na wózku z kotem Murką, Stasia, Danusia, Fredzia. Wszystkie mają swoje historie, swój smutek i samotność, a my przychodzimy do nich z radością, z miłością. Czekają na to, rozpoznają nas.

Marina ze swoją ekipą przerywa ciszę pensjonatu jak szalony, ale dobry duch. Role z góry są wyznaczone, wszystko jak w zegarku. Kobiety – Heda, Madina, Milana – kroją ciasta, mężczyźni – Idris i Waha – rozpakowują samochód i znoszą pakunki z prezentami. Dzieci już przytulają i całują staruszki, a nastolatki oczywiście filmują wszystko telefonami. Najpierw poczęstunek, potem wielki finał, czyli przedstawienie.

W rolę Szarej Myszkę wciela się Idris. Ma 39 lat, jest ojcem trójki dzieci, mieszka w Polsce od blisko pięciu lat. Pracuje jako

→ monter w firmie instalującej klimatyzację w biurach. Kiedy dzień wcześniej siedzi przy kolacji w wynajmowanym przez niego mieszkaniu, pytam, co znajduje dobrego w spotkaniach ze starszakiem. – Ich dzisiaj to nasze jutro – odpowiada. – Kiedy będę w ich wieku, chciałbym, żeby dla mnie też ktoś robił takie święto. Jak inaczej mamy tego uczyć nasze dzieci?

Nie znamy naszych babć

Skąd pomysł, by połączyć te dwa tak odległe światy? Polską starość, często spędzaną w samotności i zapomnieniu, sklecić z czeczeńskimi traumami, z doświadczeniem piekła na ziemi i snami, których nie da się opowiedzieć? I to sklecić tak, aby obie strony wyszły z tego spotkania wzmocnione?

Marina wzięła na siebie trud budowania relacji, które wielu czeczeńskim dzieciom są po prostu nieznane, bo nie poznały swoich dziadków. – Do Radości jeździłam od kilku lat – wspomina. – Odwiedzałam tam pewną panią, której nikt nie odwiedzał. Zauważyłam, że za każdym razem, kiedy z nią rozmawiam, inne przysuwają się coraz bliżej. Zaczęłam więc jeździć do wszystkich. One nie potrzebowały wiele: potrzymania za rękę, trochę uwagi, przytulenia, czasami pomocy w posiłku. I wtedy zaczęła się historia z czeczeńskimi mamami. Pomyślałam, że te dwa światy można połączyć – i to się świetnie udało. Jeździmy tam, zawozimy prezenty, ale przede wszystkim siebie, nasz czas, nasze serca. Naszą miłość, która jest szczerą, bez fałszu, bo pensjonariuszki doskonale wychuwają fałsz.

Słowa Mariny potwierdza Madina. Ma 35 lat, jest matką trójki dzieci, na dworcu w Brześciu koczowała wraz z nimi ponad cztery miesiące. – Nie znałam swojej babci. To, co robimy w Radości, jest po prostu dobre. Jeździmy tam z naszymi dziećmi, które podobnie jak my też często nie znają swoich babć i dziadków. Śpiewamy piosenki, mówimy wiersze, tańczymy. Mam tam swoją ulubioną panią Basię. Od razu zapadła mi w serce, tak się cieszy, kiedy przyjeżdżamy, przytula mnie! Marina zastąpiła mi mamę, a pani Basia jest moją babcią.

Są kimś

Madina pracuje jako wolontariuszka w warszawskiej klubokawiarni Życie Jest Fajne. Jest jedną z nielicznych, które mają pracę. Jak większość czeczeńskich kobiet, nie chce mówić o swoim kraju. Nie zdążyła skończyć żadnej szkoły. Była w piątej klasie, kiedy zaczęła się pierwsza wojna. – Wtedy częste były porwania czeczeń-

Czeczeńskie kobiety

nie lubią, gdy mówi się o nich „uchodźcy”.

Zbyt wiele wiąże się z tym słowem wspomnień, od których chcą uciec.

skich dzieci, miałam czterech starszych braci, byłam jedyną córką. Ojciec zabronił mi chodzić do szkoły, bo bał się, że zostanie porwana, jak wiele moich rówieśników.

Madina jeszcze słabo mówi po polsku, rozmawiamy po rosyjsku. Jest nieufna, zamknięta w sobie. Za każdym razem, kiedy zaczyna mówić o Czeczenii, głos jej drży i staje się tak cichy, że trudno usłyszeć słowa. – Staram się nawet w myślach nie wracać do tego, co było tam. Ciągłe się boję, że i tutaj mogłabym jakoś zaszkodzić moim bliskim, moim braciom, którzy zostali w Czeczenii.

Wizyty w Radości są dla czeczeńskich uchodźców nie tylko okazją do spotkania przedstawicieli pokolenia, którego wielu z nich nigdy nie poznało. Mają też trudną do przecenienia wartość terapeutyczną. Pomagają uporać się z bólem wojennych wspomnień, wzmacniają poczucie własnej wartości. Wolontariusze mogą wreszcie dać komuś coś od siebie, a nie tylko korzystać z pomocy. – Większość mówi po polsku bardzo słabo albo wcale, często nie znają nawet łacińskiego alfabetu. Żyją na łasce opieki społecznej i darczyńców. To musi rodzić frustrację. Jedno z pierwszych pojęć, które im wpoilałam, to „wolontariat”. Są wolontariuszami, czyli nie byle kim! Nawet dzieci czasami mi teraz mówią: „Jak będę duży, to zostanę wolontariuszem”. A ja na to: „Już jesteś”? To dla nich niezwykle ważne – mówi Marina.

Dla starszych pań spędzających ostatnie dni może w komforcie, ale często w samotności, spotkania z czeczeńskimi gośćmi są odmianą od zabiegów pielęgnacyjnych, pozwalają na chwilę zapomnieć o dolegliwościach. Marina ze swoimi mamami i dziećmi stara się zawsze wymyślić coś nowego. Przybliża polskim seniorkom historię Czeczenek, opowiada, przez co przeszły w swoim kraju. – Kiedy pierwszy raz przywiozłam Czeczenów, zabrałam też zdjęcia z ich kraju i rzutnik. Oglądaliśmy nie tylko piękne górskie krajobrazy. Na jednym ze zdjęć była nasza Heda, stojąca nad grobem swojego dziecka. Jej syn Monsur zginął w Czeczenii w wieku 14 lat. Panie wi-

działały to zdjęcie i widziały płaczącą Hedę siedzącą teraz obok nich. Mogły ją potrzy- mać za rękę, przytulić. Mówiłam wtedy, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Boga.

Twarz uchodźcy

Działalność Mariny i jej podopiecznych można śledzić na facebookowym profilu „Dzieci z Dworca Brześć”. Profil jest wolny od internetowego hejtu. Marina wie, dlaczego: – Nigdy nie spotkaliśmy się tam z żadną przykrością, ze złym słowem, bo w tym nie ma polityki, tylko miłość. Pokazujemy twarz uchodźcy, a to przede wszystkim twarz matki i dziecka. Czeczeńskie kobiety nie lubią zresztą, kiedy się mówi o nich „uchodźcy”. W tym słowie tkwi ziarno goryczy, zbyt wiele wiąże się z nim wspomnień, od których chcą uciec. Wolą mówić o sobie Matki z Dworca Brześć.

Poniżające koczowanie na dworcowych ławach dało im ogromną siłę. Wiele z tych kobiet uciekało nie tylko przed wojną i prześladowaniami, ale i przed przemocą domową. W Brześciu też musiały podjąć walkę, ale już nie przeciwko katowi, który znęcał się nad rodziną. Musiały zawalczyć „o coś” – o przetrwanie. Wykazały się wielką determinacją i to właśnie tak bardzo je wzmocniło. – Zadanie dla mnie i dla nas wszystkich: nie pozwolić im zamknąć się w gettach – mówi Marina. – Nie może być tak, że przychodzimy do nich raz w tygodniu, pokazujemy im Polskę na zdjęciach, piękny Kraków, Wrocław, Tatry, Bałtyk. Ich trzeba tam zabrać, wyciągnąć z ośrodków i mieszkań socjalnych, pozwolić im dotknąć tej rzeczywistości.

Marina działa tak, jak mówi – zabiera podopiecznych na wycieczki po Polsce. W Katowicach, dokąd pojechali na zaproszenie jednej ze szkół, zwiedzili kopalnię węgla, tam też Mamy z Dworca Brześć pierwszy raz w życiu jeździły na rolnkach i grały w koszykówkę. We Wrocławiu dzieci tropiły krasnala. Była też wigilia u Gosi Augustyniak w Szczawie. – Pokazujemy im Polskę bez strażników w obozach dla uchodźców. Oni się uczą naszego świata. Musimy pamiętać, że przez wojnę mają duże braki edukacyjne i poznawcze, ale to nie powód, żeby się przed nimi zamknąć.

Po przedstawieniu jeszcze czas na prezenty. Panie z Radości dostają krakowskie czerwone korale i koce na chłodne dni. Dzieci i dorośli pomagają rozpakować podarunki, otulają paniom nogi nowymi kocami. Są uściski i łzy, bo nigdy nie wiadomo, czy następne spotkanie odbędzie się w takim samym składzie...

©

JACEK TARAN

ANNA

Dziewit-Meller:

Albo pakiet, albo wypad



TAKIE TO CZASY, ŻE STRACH SIĘ ODEZWAĆ. A już najgorzej to spontanicznie powiedzieć coś w poprzek i wbrew oczekiwaniom ludzi, którzy myślą, że się ze sobą we wszystkim zgadzamy. Jak niedawno napisał Szczepan Twardoch, tak się teraz porobiło, że sa-

modzielne myślenie nie jest za bardzo w modzie i żeby nie wypaść ze swoich kręgów przynależności, trzeba mieć całe pakiety poglądów. Czyli skoro masz pogląd A, to automatycznie musisz mieć też B, nawet jeśli myślisz w głębi serca, że C nie jest takie głupie. Inaczej jesteś najgorszą kategorią – zdrajcą własnej rasy, albo symetrystą, albo po prostu Twardochem.

Na przykład – jeśli nie cierpisz PiS, powinieneś automatycznie wspierać ideę relokacji i chlebem i solą witać uchodźców (a w każdym razie głośno twierdzić, że tak byś zrobił, jakby co). Jeśli nienawidzisz PiS, to musisz popierać liberalizację prawa do aborcji, nawet jeśli masz wątpliwość. Jeśli nienawidzisz PiS, to przecież jasne jest, że nie chodzisz do kościoła, i oczywiście widzisz szalenie dużo analogii pomiędzy dzisiejszymi czasami a latami 30. w Niemczech, no i ze stanem wojennym. Jeśli nigdy byś na PiS nie oddał głosu, to w pakiecie poglądów masz bezkrytyczną miłość do Unii Europejskiej, i na pewno nie jesteś Polakiem-cebulakiem, co pije piwo z puszki i grilluje kiełbasę. Albo pakiet, albo wypad. Jak wiadomo, od siedzenia okrakiem na płocie niejeden już sobie to i owo obtarł, a za przykład, dokąd prowadzi myślenie w duchu „no ale jednak z drugiej strony...”, niech posłużą losy Tewji Mleczarza. Otóż prowadzi donikąd.

Okazuje się, że prawo pakietu obowiązuje nie tylko w Polsce, o czym przekonała się niedawno pisarka Margaret Atwood, guru feminizmu, autorka wstrząsającej „Opowieści podręcznej”, dystopijnej powieści o świecie, w którym kobiety pozbawiono praw. I byłaby sobie guru nadal, gdyby nie zdecydowała się na ruch całkowicie spoza pakietu, który nazwała byciem „Good Feminist” (Dobrą Feministką).

W tekście opublikowanym niedawno w „The Globe and Mail” tłumaczyła, dlaczego stanęła w obronie kolegi profesora z University of British Columbia, po tym jak bez procesu sądowego został zwolniony z pracy wskutek oskarżenia go o molestowanie seksualne. Uniwersytet podał informację o zwolnieniu profesora do publicznej wiadomości, nim przeprowadzono jakiegokolwiek dochodzenie w tej sprawie, a oskarżony został zobowiązany do milczenia, nie mógł więc się nijak obronić. Przeciwno takim praktykom wystąpiła więc Atwood, pisząc o swojej niezgodzie na politykę „winny, bo oskarżony” i broniąc – jak sama pisze – jednego z podstawowych praw człowieka, jakim jest prawo do obrony i sprawiedliwego procesu oraz domniemanie niewinności. Profesora zresztą sąd ostatecznie oczyścił z wszystkich zarzutów.

Atwood, jako jeden z najsilniej wybrzmiewających feministycznych głosów ostatnich 50 lat, przywykła do ataków. Nie po to człowiek od pół wieku wali w patriarchy, żeby nie wiedzieć, czym się kończy wyrażanie własnego zdania. Tym razem jed-

nak cios przyszedł nie z tradycyjnej prawej strony, lecz od – jak to określają media śledzące sprawę – młodych feministek, które oskarżyły pisarkę o zdradę kobiecej sprawy, sprzeniewierzenie się feminizmowi i zignorowanie ofiary kobiet, doświadczających w przeszłości molestowania. A wszystko to w imię „obrony konserwatywnego status quo i interesów wpływowego mężczyzny”. Czyli całkiem poza pakietem.

Pisano: „Nigdy już nie przeczytam żadnej książki Margaret Atwood!”, „Bardzo żałuję, że ją spotkałam w ubiegłym roku, coś za stratę czasu, mam do oddania egzemplarz »Podręcznej« z autografem”. Zarzucano jej, że jest stara i nie ma pojęcia o dzisiejszym świecie, powinna zatem zamilknąć i posłuchać, co mają do powiedzenia młodsze od niej kobiety. Odmieniano słowo „zdrada” przez wszystkie przypadki.

Krótko mówiąc – w pakiecie jest teraz nieczytanie książek Margaret Atwood, proszę sobie koniecznie zapisać!

A swoją drogą – ta kolejna faza rewolucji, w którą najwyraźniej niedawno wkroczyliśmy, zaczyna mnie niepokoić nie tylko dlatego, że zawsze miałam poczucie, że mimo wszystko wolę Dantona od Robespierre’a, ale również z tego względu, że w najnowszej wersji walki „kobieta” zaczyna stanowić niepokojąco czysty i niewinny byt. Niezdolny nie tylko do działań niezgodnych z prawem, ale również pogrążony w wiecznym trwaniu w pozycji ofiary. Tymczasem wejście w rolę ofiary to nie to samo co bycie ofiarą. Trafnie zauważył to Jakub Janiszewski w swoim tekście dla „Dziennika Gazety Prawnej”, w którym pisał o Laurze Kipnis – kolejnej „starej” feministce, która podpadła „młodym” krytykując metodę „winny, bo oskarżony”.

Niemniej konieczność dziejowa najwyraźniej jest taka, że jakobini muszą wysłać na gilotynę żyrodystów, a walka klas zaostreza się w miarę postępu rewolucji. Szkoda, że i tym razem, bo walka o prawa kobiet zamienia się w walkę kobiet. Ci zaś, którym najbardziej zależy na zdyskredytowaniu sprawy #metoo, mogą spokojnie siadać na brzegu rzeki i czekać, aż im woda przyniesie nasze głosy. ©

Sąd Rejonowy w Tychach, Wydział I Cywilny, ogłasza, że pod sygn. I Ns 379/17 prowadzone jest postępowanie z wniosku Jerzego Jossé, Andrzeja Jossé oraz Doroty Pađło o uznanie za zmarłych Jana Riedel, ur. 5 maja 1882 r. oraz Aleksandra Ignacego Riedel, ur. 19 października 1889 r., synów Jana Adama Riedel i Marii Bibianny Riedel z d. Lewickiej, ostatnio stale zamieszkałych w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej nr 43, m. 8. Jan Riedel i Aleksander Riedel byli współwłaścicielami nieruchomości położonej przy ul. Wilanowskiej nr 10 w Warszawie. Jan Riedel był żonaty z Haliną Lilpop. Jan Riedel wyjechał do miejscowości Słomim w obwodzie grodzieńskim Białorusi, a Aleksander Ignacy Riedel wyjechał do Belgii, obaj nigdy nie powrócili.

Sąd wzywa Jana Riedel i Aleksandra Ignacego Riedel, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili się, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać uznani za zmarłych.

Sąd wzywa również wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o Janie Riedel i Aleksandrze Ignacym Riedel, a w szczególności informacji odnośnie miejsca pobytu tych osób w przypadku, gdy pozostają one przy życiu, lub też o miejscu i dacie ich śmierci, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ogłoszenia przekazały je Sądowi.

OGŁOSZENIE



AIZAR RALDES / AFP / EAST NEWS

Karnawał w boliwijskim Oruro, związany z obchodzoną 2 lutego świętem maryjnym, 2008 r.

KOŚCIÓŁ ZMIERZA W INNYM KIERUNKU

O. KASPER MARIUSZ KAPROŃ, FRANCISZKANIN PRACUJĄCY W BOLIWII:

W Polsce wielu zachwyca się stylem arcybiskupa Rysia.
Ale to znak, że coś jest nie w porządku,
skoro normalność staje się nadzwyczajnością.



PIOTR SIKORA: Ostatnia pielgrzymka Franciszka do Chile i Peru to przedsmak problemów, z którymi zmagać się będzie w 2019 r. Synod dla Amazonii. Niektórzy mówią, że może to być Synod przełomowy. Dlaczego?

O. KASPER MARIUSZ KAPROŃ OFM: Amazonia to specyficzny obszar, większy od Europy. Obejmuje kilka krajów: Brazylię, Peru, Kolumbię, Wenezuelę i Boliwię. Pierwszy z dwóch tamtejszych problemów to ochrona środowiska i żyjących w nim ludzi ubogich – czyli kwestia ludności rdzennej, inkulturacji, wszystkich tych czynników społecznych, które papież ujął w „*Laudato si*” pod hasłem ekologii integralnej.

Drugi problem to ewangelizacja przy niedostatecznej liczbie księży. Jak to ujął ktoś stamtąd: „przynieśliście nam wiarę, ale nie dajecie nam w niej wzrastać”. Świeccy liderzy organizują nabożeństwa czy katechezę. Ale problemem są sakramenty, zwłaszcza Eucharystia. Wiąże się z tym kwestia tzw. *viri probati*.

Czyli święcenia żonatych „wyprobowanych mężczyzn”. Czy rezygnacja z obowiązku celibatu coś by pomogła?

W tej kwestii głosy są na razie ostrożne. Poza słowami kard. Beniamina Stelli, prefekta Kongregacji ds. Duchowieństwa, z książki Fabia Marchese „Wszyscy ludzie Franciszka”, nie znajdziemy innych głosów hierarchów w tej sprawie. Ale ja uważam, że tak. Jeżeli liderzy wioskowi gwarantują, że chrześcijanie spotykają się na cotygodniowej Liturgii Słowa, łączą się we wspólnotę, rozważając Pismo Święte, czemu nie dać im władzy przewodniczenia całej Eucharystii?

Przypominałoby to pierwotne wspólnoty Kościoła.

To właśnie jeden z argumentów kard. Stelli, który mówi, że udzielanie sakramentu kapłaństwa osobom odpowiedzialnym za wspólnotę, chociaż żyjącym w małżeństwie, jest powrotem do tradycji Kościoła pierwszych wieków. Stella dokonuje rozróżnienia pomiędzy ministrami celibatariuszami (jak św. Paweł i inni) a ministrami odpowiedzialnymi za wspólnotę (jak starsi w Koryncie). Ci pierwsi są bardziej wędrownymi, ci drudzy stałymi.

Tym bardziej że wspólnoty w Amazonii są dynamiczne. W parafii Concepcion, gdzie pracowałem, jest np. wioska oddalona od tego miasta o 120 km. To wiele godzin podróży samochodem. Są tereny, gdzie można dotrzeć tylko łodzią. Tam kapłan pojawia się raz na kilka lat. Gdy przybywa do takiej wioski, chrzci wszystkich narodzonych od ostatniej wizyty, mają miejsce pierwsze komunie i udziela się innych sakramentów. Po czym kapłan zostawia wiernych, którzy przez kolejnych kilka lat wzrastają tylko dzięki działaniom świeckich liderów. A tak – byłaby możliwość sprawowania Eucharystii.

Mój pobyt w takich miejscach trwa ok. dwóch dni, w czasie których muszę zmierzyć się ze skomplikowanymi sytuacjami: np. pod moją nieobecność utworzyły się pary. Tych ludzi należałoby wypowiedzieć, ale oni nie mają świadomości, że żyją w grzechu. Więc trzeba by zrobić im katechezę – na którą jednak nie ma czasu. Albo, odprawiając mszę św., nie udzielić im ko-

munii. Tylko że przecież ja po to przyjechałem, by dać im dostęp do Eucharystii.

I co robisz?

Lawiruję na granicy tego, co tu w Polsce uznajemy za doktrynę. Trzeba, jak mówi papież, rozeznawać, i dać komunie, nawet jeśli spowiedzi nie było. To trudne do zrozumienia w Polsce, gdzie na każdej parafii jest ksiądz, często nie jeden, i nie istnieje problem dostępu do spowiedzi. Gdyby wyświęcony żonaty lider wspólnoty mógł spowiadać i sprawować Eucharystię – sytuacja byłaby inna. Ale czy Kościół dojrzał już do tego rozwiązania?

To miałyby wpływ też na całość Kościoła – pojawiałyby się pytania: dlaczego tam tak, a u nas nie?

Papież przygotowuje już do tego, mówiąc o decentralizacji Kościoła. Inna jest rzeczywistość Kościoła w Polsce, gdzie jest nadmiar księży, inna w Amazonii.

Czy pierwotne kultury indiańskie w Amazonii mają jakiś wpływ na to, jak Kościół tam funkcjonuje?

Tam, gdzie przetrwała rdzenna ludność indiańska, Kościół jest do niej nastawiony pozytywnie. Na uniwersytecie, na którym pracuję, wykłada teolog Roberto Tomicha, Indianin z plemienia Chiquitos, franciszkanin konwentualny, który propaguje „teologię india”, czyli teologię rdzennych kultur tamtego obszaru. Szuka „ziaren Słowa” w pierwotnej kulturze.

Jakie są konkretne wyniki tej pracy? W Afryce czy Azji pojawiają się specyficzne obrazy Jezusa – Chrystusa Przodek, Chrystus Mędrzec...

Uważam, że to jest akulturacja, a nie inkulturacja, gdyż jest nałożeniem czegoś z europejskiego rozumienia chrześcijaństwa na kulturę tamtych terenów. Typowy przykład: maluje się Matkę Bożą o wschodnich rysach twarzy – i to już ma być inkulturacja. Tymczasem inkulturacją jest wejście ziarna Słowa w rzeczywistość jakiejś kultury i jego wzrastanie w nowym systemie myślowym.

Ale jak to ma konkretnie wyglądać w Amazonii?

Najpierw przykład bardziej europejski: mamy doktrynę o dwóch naturach Chrystusa. Ale natura to pojęcie filozoficzne, wzięte z filozofii greckiej. Jak więc powiedzieć o tym samym w kulturze, która nie ma pojęcia natury?

Być może trzeba zanegować nasze dotychczasowe chrześcijańskie rozumienie. →

→ Nie można nauczać chrześcijaństwa w kulturach pierwotnych z całym bagażem filozofii grecko-rzymskiej, w której się ukształtowało. Trzeba naukę chrześcijańską przełożyć na kategorie ich systemów myślowych. To bardzo trudne.

Być może łatwiej to zrobić od strony praktyki. W Azji wykorzystuje się praktyki medytacyjne jako drogę chrześcijańskiej kontemplacji.

W Ameryce Łacińskiej czymś takim jest np. świętowanie – coś bardzo charakterystycznego dla kultur latynoamerykańskich. Oni bardzo głęboko przeżywają karnawał.

Jaki jest chrześcijański sens karnawału?

W tamtej kulturze rolnej jest to czas radości z otrzymywania pierwocin plodów ziemi – pełnia lata, inny klimat! – wiązany ze świętem Matki Bożej (2 lutego). U nas w Boliwii, w Oruro, jest to największe święto. Ludy andyjskie dzielą świat na trzy poziomy: podziemny, naszą sferę i sferę nadziemną: Haqay Pacha, Kay Pacha i Uku Pacha. Ale nie uważają, że świat podziemny zamieszkują siły nieczyste, a nadziemny aniołowie. Wszystko jest jednością. To od europejskich najeźdźców przejęto ideę, że pod ziemią mieszkają diabły, chociaż to nie znaczy, że są to duchy złe.

Oruro to region górniczy – przy wejściu pod ziemię zawsze stoi figurka diabła. Schodząc tam, Boliwijczycy ofiarują diabłu alkohol czy papierosy. Ale nie traktują go jako rzeczywistość negatywną. Jest po prostu władcą tej sfery. I w czasie karnawału, tygodniowej zabawy, Michał Archanioł, władca wszelkich duchów, prowadzi wszystkie diabły, aby się pokłoniły Matce Bożej. A procesję, w której ładne dziewczyny przebrane są za diabły i za anioły, prowadzi biskup. Stąd taniec *diablada*. Niektórzy ślubują, że np. przez trzy lata będą tańczyć dla Matki Bożej. A taki taniec to spory wysiłek fizyczny. Kościół z tym nie walczy, choć dużo w tym synkretyzmu.

Czyli nasz problem polega na tym, że narzucamy swoje kategorie na ich świat symboli i pojęć?

Tak. A to zupełnie inna kosmologia, w której fundamentalny jest też np. dualizm tego, co męskie i żeńskie – stąd nie-
możliwość przyjęcia bezzeństwa. Jeżeli wszystko jest podwójne: niebo i ziemia, słońce i księżyc, męczyzna i kobieta, to jedność istnieje tylko w połączeniu.

Dyscyplina celibatu jest przeciwna ich podstawowemu oglądowi świata?

W Amazonii
lawiruję na granicy
tego, co w Polsce uznajemy
za doktrynę. Trzeba,
jak mówi papież,
rozeznawać, i dać komunię
nawet bez spowiedzi.
Trudno to zrozumieć tam,
gdzie nie brakuje księży.

Tak. W mentalności ludów andyjskich osoba staje się pełna dopiero w zespoleniu z drugą rzeczywistością. Jak na Wschodzie: jing-jang. Oni nawet, gdy coś szyją – np. obrus czy poncho – zawsze zszywają razem dwa elementy. Tylko podwójność tworzy pełną jedność. Stąd tendencje, by postrzegać Matkę Bożą jako boginię – co jest trudnością z punktu widzenia doktryny chrześcijańskiej. Inkulturacja na poziomie doktryny stwarza trudności.

Wróćmy do praktyki. Wspomniałeś o religijnej roli tańca. Czy przejawia się to w liturgii? Czy istnieją jakieś tendencje do tworzenia innego rytu?

Nie. Oni dobrze się odnajdują w naszej, rzymskiej liturgii. Ale istnieje wyraźny podział na liturgię i pobożność ludową. Do tej drugiej należą te, dla nas trudne do przyjęcia, procesje z tańcem i diabłami. I karnawał jako rzeczywistość ściśle religijna. Może się to nam wydawać pogańskie, ale tam nie ma podziału na *sacrum* i *profanum*. Wszystko jest *sacrum*. Natomiast istnieje podział na pobożność ludową (mocno przeżywaną) i liturgię – którą wierni akceptują, nawet jeśli nie przeżywają jej tak mocno. Ale to też zależy od obszaru kulturowego.

Skąd się to wzięło?

U Chiquitos, wśród których pracowałem, jest to tradycja pojezuicka. W XVII i XVIII w. były to tereny tzw. redukcji jezuickich, gdzie ewangelizowano poprzez muzykę i sztukę, także liturgiczną. Gdy jezuici zostali stamtąd wypędzeni w 1767 r., księża diecezjalni, którzy mieli się nimi zajmować, docierali tam tylko sporadycznie. Do 1930 r., gdy my, franciszkanie, przybyliśmy na te tereny, oni przez 150 lat nieobecności duszpasterzy zachowali swoją wiarę poprzez muzykę: gromadzili się i śpiewali całą mszę po łacinie.

A teraz w jakim języku odprawiacie msze?

Często w trzech językach: większość modlitw po hiszpańsku, czytania w rdzennym języku tych plemion, a części stałe po łacinie. Wierni nie rozumieją łaciny, ale wiedzą, że jest to język sakralny. Liturgia jest często bardziej łacińska niż tu, w Polsce.

I nie kłóci się to z ich żywiołowością?

Nie. A ponieważ wszystko jest sakralne, to nawet kwestia, kto gdzie siedzi na mszy, się liczy: po jednej stronie mężczyźni, po drugiej kobiety. I gdyby jakiś ksiądz chciał to zmienić, nie da rady.

Kościół instytucjonalny w wielu krajach Ameryki Łacińskiej był związany z prawicowymi reżimami. Z drugiej strony – słyszymy wiele o teologii wyzwolenia, opcji na rzecz ubogich. Czy mamy tu do czynienia ze stałym napięciem wewnątrz Kościoła?

To zależy od kraju. Nie wszędzie Kościół był związany z prawicowymi reżimami. Np. w Boliwii czy Peru zawsze utożsamiano go z warstwami niższymi. I tu rodziła się teologia wyzwolenia, teologia ludu. Ciekawe, że Polacy mają wielki szacunek dla Reagana jako przyjaciela Jana Pawła II i polityka, który przyczynił się do upadku komunizmu, tymczasem w Ameryce Łacińskiej uznawany jest za kogoś, kto zniszczył Kościół katolicki, który „był z ludem” i jednoczył społeczeństwo. Reagan finansował działalność sekt protestanckich, by rozbić jedność Kościoła i społeczeństwa.

Jak wobec protestantyzacji chrześcijaństwa latynoamerykańskiego wygląda dialog ekumeniczny?

Mamy do czynienia bardziej z „pente-kostalizacją” chrześcijaństwa. W Ameryce Łacińskiej nie ma praktycznie wielkich Kościołów protestanckich, prężnie działają za to małe grupy zielonoświątkowe, gromadzące się zwykle wokół samowzających liderów. Z nimi praktycznie nie ma dialogu. Nie wiadomo nawet, z kim go prowadzić, jeśli przy jednej ulicy funkcjonują trzy-cztery niezależne wspólnoty.

Co więc robi Kościół katolicki?

Tu pojawia się problem słabości naszej ewangelizacji. Gdy w 2015 r. opuściłem parafię, na moje miejsce przyszedł starszy ojciec, który już miał pod opieką trzy inne parafie. Nie mógł poświęcić kolejnej zbyt dużo czasu. W 2016 r. zmarł – i przez rok nie było duszpasterza. Niemal natychmiast pojawiło się kilka sekt. Natura nie

znosi próżni – jeśli ktoś da ludziom wspólnotę, namiastkę liturgii – przyjdą.

Czy lepszą odpowiedzią na to zjawisko jest wysyłanie misjonarzy z Europy, czy formowanie na miejscu świeckich, którzy nawet bez duszpasterza byłiby w stanie sobie poradzić?

Jedno i drugie. Ale trzeba jasno powiedzieć: tam bez świeckich po prostu nie ma Kościoła. Mogłem zostawić parafię na tydzień czy dwa – a świeccy sami prowadzili Liturgię Słowa. Plan duszpasterski na dany rok jest opracowywany podczas wspólnego spotkania przedstawicieli całej diecezji lub wikariatu, na które z każdej parafii jedzie ksiądz z grupą świeckich, a oni mają realny udział w opracowaniu tego planu – a potem, pod koniec roku, w jego podsumowaniu i ewaluacji.

Istnieje jednak potrzeba kogoś umocowanego instytucjonalnie, z mandatem biskupa, kto będzie łącznikiem z diecezją i dalej – z Kościołem powszechnym. Gdy brakuje takiej instytucjonalnej postaci, przy dzisiejszej silnej mobilności i wymianie informacji sektom łatwiej rozbijać jedność Kościoła. Mamy też do czynienia z kryzysem tradycyjnych autorytetów społecznych, np. kacyków wioskowych. Świecka osoba, bez mandatu biskupiego, często nie jest w stanie przeciwstawić się działalności sekt.

Czy chrześcijanie latynoamerykańscy czują się bardziej zrozumiani przez Franciszka – pierwszego papieża stamtąd – niż przez Benedykta XVI czy Jana Pawła II?

Na pewno. Choć warto pamiętać, że Franciszek ma doświadczenie megapolis – miasta o ludności połowy Polski. Takich miast w Europie nie ma. Jednak jego bliski doradca, kard. Claudio Hummes, franciszkanin, świetnie rozumie rzeczywistość Amazonii.

W Polsce postrzegamy Franciszka jako reformatora zmieniającego Kościół. Czy z perspektywy latynoamerykańskiej też widoczna jest jakaś zmiana?

To, co robi Franciszek, jest tam normalne. My w Polsce zachwycamy się np. stylem abp. Grzegorza Rysia. Ale to znak, że coś jest nie w porządku, skoro normalność staje się nadzwyczajnością. Z papieżem jest podobnie: z amazońskiej perspektywy on nie robi nic nadzwyczajnego. Nas zadziwia jego bezpośredniość, bliskość – tam to jest normalne. Tam biskup nie jest żadnym „hierarchą” w znaczeniu kogoś, z kim się nie ma kontaktu.

Czego jeszcze, oprócz bezpośredniego sposobu bycia, możemy się uczyć od tamtejszego Kościoła?

Modelu funkcjonowania – braku hierarchizacji, akcentowania synodalności. Tego, że to nie biskup tworzy program Kościoła i narzuca go przez proboszczów. Najciekawsze inicjatywy pojawiają się oddolnie. Przykład? By propagować encyklikę „*Laudato si*”, pojawił się pomysł, by przez całą Amerykę peregrynowały ikony św. Franciszka i św. Klary. Jedna z południa, od Ziemi Ognistej, druga z północy, z Alaski – aby spotkać się na równiku. Ale nikt nie wie, kto to wymyślił.

Kolejna propozycja to otwarcie się na nowe prądy teologiczne: teologię ludu, teologię india, teologię feministyczną. Poszukiwania teologiczne w Ameryce są znacznie żywsze niż w Europie.

Czy chodzi Ci o konkretne idee, które mogą być dla nas inspirujące?

Na przykład myśl Franciszka. Jego język jest w Polsce niezrozumiały, bo nie jest językiem teologii systemowej, lecz teologią narracyjną, mówieniem poprzez przypowieści. Tzw. teologia majeutyczna nie narzuca przekazu z zewnątrz, lecz jest procesem, w którym to z samego człowieka ma urodzić się poznanie. Franciszek opisał to w swojej książce-rozmowie „Otwórzcie drzwi”. Gdy przyszła do niego kobieta rozważająca aborcję, nie mówił jej, dlaczego ma tego nie robić, lecz zaproponował: zastanówmy się nad wartością życia, wejdźmy razem w temat, niech w tobie samej zrodzi się odpowiedź na tę ważną kwestię.

A jeśli urośnie w innym kierunku, niż duszpasterz by się spodziewał?

Duch wieje, kędy chce – może ujawniło się coś, czego mi, duszpasterzowi, brakowało. Trzeba być otwartym. Teologia jest zgłębianiem Bożego objawienia, które jest żywe, dynamiczne. Objawienie zakończyło się w czasach biblijnych, ale jego odczytywanie jest procesem odnoszącym się do naszej rzeczywistości.

Nie sądzisz jednak, że ten ruch, który jest obecny w Kościele latynoamerykańskim, jest dla nas zbyt niepokojący? Że ten sposób odczytywania Ewangelii, Franciszkowe myślenie o Kościele, o doktrynie – w końcu zostanie porzucone?

To już zmiana nieodwracalna. Zaczęła się wraz z Soborem Watykańskim II, który był szczególnym otwarciem się na nową rzeczywistość. Jan Paweł II i Benedykt XVI

stali jeszcze „pomiędzy”: jakby jedną nogą w rzeczywistości przedsoborowej. Franciszek nie brał czynnego udziału w *Vaticum II*, jest pierwszym papieżem posoborowym, dzieckiem Soboru. Dlatego doskonale odczytuje tę nową rzeczywistość. Jaki będzie następny papież? To już zostawmy Duchowi Świętemu, ale już choćby zmiany w Kolegium Kardynalskim coś pokazują: Kościół idzie w innym kierunku, niż wielu by chciało.

Ale u wielu młodych ludzi, księży i świeckich, widać opór wobec Franciszka i zwrot ku bezpiecznemu, nawet przedsoborowemu poukładaniu wszystkiego.

Funkcjonować w sztywnych ramach jest o bezpieczniejsze. To zwalnia z myślenia. Pokazuje to dyskusja o przypisie z „*Amoris laetitia*” nt. dopuszczalności komunii dla rozwiedzionych. Wielu by chciało mieć odgórny przepis: dać rozgrzeszenie, nie dać. A papież nie daje jasnej odpowiedzi. Mówi: przyjąć, towarzyszyć, rozeznawać, integrować. Zmusza, by duszpasterz spotkał się z człowiekiem, wszedł w jego sytuację, był z nim. A to o wiele trudniejsze niż wysłuchanie spowiedzi i rozgrzeszenie bądź nie. Myślę, że z lęku przed odpowiedzialnością bierze się ucieczka w fundamentalizmy religijne i narodowe.

Ale jest też rzesza ludzi, którzy otwierają się na wizję Franciszka. Niedziela z mszą za uchodźców pokazała zmianę myślenia wśród ludzi świeckich, za którą poszli biskupi. Choć zaskoczyło mnie, że biskup krakowski, kiedy podczas spotkania z klerykami mówił o relacji Kościoła i świata, wzywał: słuchajmy Jana Pawła II i Benedykta XVI, oni są otwarci na świat, a jednocześnie dają bardzo klarowne odpowiedzi. Nic o Franciszku.

A obecny papież mówi: zmierz się z tym światem, spróbuj go zrozumieć, wspólnie dochodzimy do prawdy, nie rezygnując z unikatowości Objawienia, które jest darem dla świata. Zauważmy: praktycznie wszystkie dokumenty Franciszka mają w tytule „radość” albo „pochwałę”. To bardzo pozytywna wizja świata. ©P

Rozmawiał PIOTR SIKORA



O. KASPER MARIUSZ KAPROŃ jest franciszkaninem reformata, wykłada w Fakultecie Teologicznym Katolickiego Uniwersytetu św. Pawła w Cochabamba w Boliwii. Na misjach w tym kraju jest od

2011 r. W latach 2012-15 był proboszczem parafii Urubichá w boliwijskim tropiku.

Duch czy zaduch

MACIEJ MÜLLER

„Przynieś, wynieś” to obowiązki nie do przyjęcia dla współczesnej kobiety. Ona nie chce służyć Kościołowi w drugiej linii, jako pomocnica księdza.

RZUT OKA NA WYKRES WYSTARCZY, ABY dostrzec problem: do zakonów żeńskich czynnych zgłasza się coraz mniej kandydatek. O ile w 2000 r. welon nowicjuszek przyjęło 541 kobiet, to dwa lata temu tylko 121. Wykres kojarzy się wprawdzie raczej z architekturą gotycką niż równią pochyłą, najpewniej jednak dlatego, że postulat, poprzedzający nowicjat, trwa w jednych zakonach rok, w innych dwa. Tak więc co dwa lata do nowicjatu trafia *per saldo* większa liczba kandydatek. Tak czy inaczej: tendencja spadkowa jest oczywista.

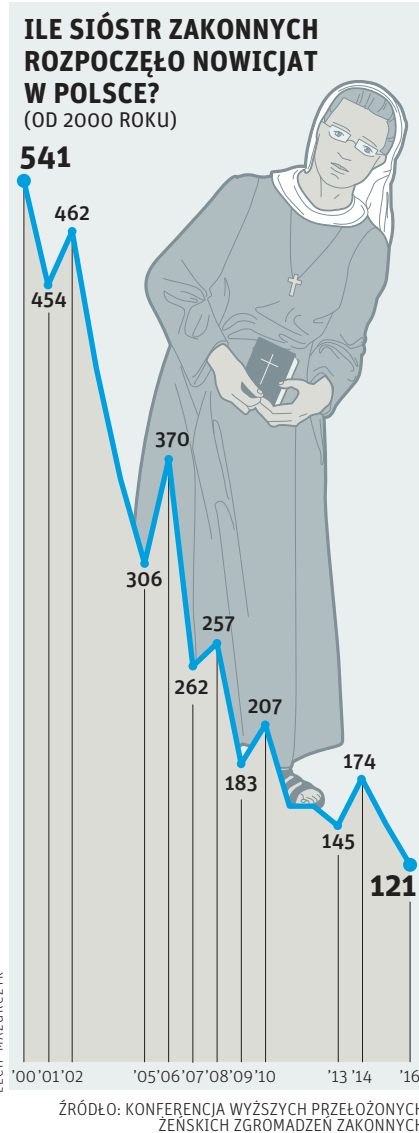
– Przygotowania do ślubów wieczystych trwają przynajmniej 10-11 lat – mówi s. Anna Bodzińska ze Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej z Syjonu (jedna z dwóch w nim Polek). Przed rozpoczęciem dwuletniego postulatu jej zakon proponuje jeszcze kilkumiesięczny okres tzw. *come-and-see*, w którym młoda kobieta mieszka w domu zakonnym i obserwuje jego życie. – Trzy lata temu w Jerozolimie spotkały się wszystkie formatorki. Ustaliłyśmy, że czas formacji trzeba zdecydowanie przedłużyć. W ten sposób odpowiadamy na zmiany zachodzące w społeczeństwie i rodzinach. Zanim zaczniemy kształtować kandydatkę do życia zakonnego, musimy pomóc jej dojrzeć jako osobie, żeby w późniejszym czasie potrafiła być szczęśliwa.

S. Bodzińska, jak większość jej sióstr (z wyjątkiem kontemplacyjnych), ubiera się po świecku, nosi modną fryzurę i także oprawki okularów. Jej zgromadzenie zajmuje się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim oraz popularyzacją wiedzy biblijnej. – Oczywiście to miło, kiedy dom zakonny tętni życiem. Ale jako biblistka z dystansem patrzę na dyskusję o kryzysie powołań – podkreśla. – Dobrze znamy historię króla Dawida, który został ukarany przez Boga za próbę policzenia swoich poddanych (1 Krn 21, 1-17). Tu doprawdy nie chodzi o ilość.

Utrzcć nosa młodym

W 2016 r. niemal wszystkie polskie media zainteresowały się zakonami żeńskimi po

tym, jak ukazała się książka Marty Abramowicz „Zakonnice odchodzą po cichu”. Reportarka zebrała 20 przejmujących świadectw kobiet, które po latach poniewierki za murami klasztoru zdecydowały się zrzucić habit. Nie chciały dłużej żyć w świecie bez ciepłych – ani w ogóle żąd-



nych – relacji, gdzie posłuszeństwo polegało na łamaniu charakterów, niebezpieczne było się zaśmiać, zapomnieć o ucałowaniu krzyżyka albo nie wyczuć nastroju matki przełożonej. Wniosek nasuwał się sam: zakony nie pozwalają kobietom się realizować, te ambitniejsze są prześladowane i uciekają. Nie ma się więc co dziwić, że coraz mniej kandydatek się do nich garnie (notabene statystyki odejść nie są wysokie, to kilkadziesiąt sióstr po ślubach wieczystych rocznie).

Druga strona medalu to od lat powtarzana – przez księży, biskupów i środowisko Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych w Polsce – teza o „kulturze antypowołaniowej”, o roszczeniowości i konsumpcjonizmie młodego pokolenia. Matka Jolanta Olech, wieloletnia przewodnicząca Konferencji, dziś Sekretarka Generalna, uważa, że „niski wskaźnik powołań wśród kobiet jest m.in. efektem promowania kariery i sukcesu jako jedynego stylu i sposobu na szczęśliwe życie”.

– Nie można problemu sprowadzać do roszczeniowości – mówi s. Barbara Chyrowicz ze Zgromadzenia Misyjnego Służebnic Ducha Świętego, wykładowczyni KUL, profesor filozofii, publicystka i autorka książek o etyce i bioetyce. – Starsze pokolenia, jak świat światem, krytycznie oceniały postawę młodszych. Wśród studentów nie obserwuję gremialnie wyścigu ambitną, pełną entuzjazmu i gotową poświęcić życie Bogu, ale mam wątpliwości, czy sposób, w jaki chce realizować swoje ewangelizacyjne posłannictwo, zmieści się w strukturze zgromadzenia. Nie mam na myśli żadnego konkretnego zakonu, raczej utrwalone szablony i gotowość starszego pokolenia na „nowe otwarcie”. W ciągu ostatnich 30 lat nastąpił skok w mentalności, który dla starszych sióstr może być trudny do przeskoczenia. Czy zatem nie zahamujemy zapału młodych ludzi? Czy zechcemy się od nich czegoś nauczyć?

Zostaw sprzątanie

Jakkolwiek książka Abramowicz była krytykowana – m.in. na łamach „TP”, piórem Zuzanny Radzik (powszech.net/milczenie) – za wywołanie nieuprawnionego wrażenia, że przedstawia *pars pro toto* życia zakonnego, to kwestia obowiązków sióstr w Kościele wydaje się kluczowa dla spadku powołań.

– Za komuny siostrom poodbierano szkoły, utrudniano pracę w szpitalach, na uczelniach; podejmowały więc taką,

jaka była dostępna – tłumaczy s. Chyrowicz. – Przez dwa pokolenia utrwał się stereotyp zakonnicy jako katechetki, pomocnicy księdza, urzędniczki posługującej w kuriach czy zakrystianki rozkładającej kwiaty na ołtarzu. Po 1989 r. pojawił się szereg nowych możliwości. Pytanie, na ile zgromadzenia potrafiły się w tym odnaleźć? Rozszerzenie działalności wcale nie jest łatwe, zważywszy na stereotypy przypisujące siostrą w Kościele z góry określone miejsce.

Jak zauważa, kandydat na księdza z grubsza wie, jaki będzie zakres jego obowiązków, ale w zgromadzeniu żeńskim nie jest tak prosto. – Młoda kobieta, wstępując do zgromadzenia, zna jego charyzmat i profil, ale nie wie, jaka konkretnie czeka ją praca. Nawet jeśli zakon prowadzi szkołę, szpital, względnie domy opieki nad dziećmi i osobami niepełnosprawnymi (Nobel dla sióstr dominikanek), nie oznacza to, że wszystkie siostry tam pracują. Do zgromadzenia przychodzi się z miłości do Boga i ludzi, to się nie zmieniało, ale współczesna młoda kobieta ma na ogół konkretne oczekiwania, nie obawia się ich formułować, chce twórczo włączyć się w pracę dla Kościoła i w Kościele.

Czyli jednak kultura sukcesu? S. Chyrowicz przyznaje, że tu zawsze będzie napięcie, ale oczekiwania to jednak nie to samo,

co roszczeniowość. Przełożone nikomu nie zagwarantują, i to na wstępie, pracy na uczelni, z młodzieżą czy wyjazdu na misję. – To nierealne, najpierw jest okres formacji, w którym rozstrzyga się, czy ktoś pozostaje we wspólnocie. To nie zmienia faktu, że do zgromadzeń przychodzą ludzie z różnorodnymi, danymi im przez Boga talentami. Jeśli w myśl ideału ascetycznego „nieważne co, ważne że dla Boga” zmusza się siostrę, by studiowała albo prowadziła katechezę, kiedy nie ma do tego serca i zdolności, nie pomagają to ani tej siostrze, ani zgromadzeniu, nie wspomniawszy już o dzieciach.

Efektom takim myślenia są przytoczone na początku statystyki. – Jeśli dzisiaj młoda kobieta przychodząca do zgromadzenia z realną, aczkolwiek ambitną wizją swojej misji w Kościele, nie znajdzie szansy na jej realizację, a w zamian proponuje się jej tylko prace natury służebnej, to poszuka sobie innego miejsca w Kościele, w którym nie będzie tylko pomagać księżom – zauważa s. Chyrowicz. – Nie deprecjonuję tych prac, wiele sióstr uświęciło się, wykonując je przez całe życie, ale nie sprowadzamy do nich zaangażowania sióstr w Kościele!

S. Bodzińska na samym początku formacji właśnie robiła porządki, kiedy usłyszała od przełożonej: „zostaw sprzątaninę i idź do

książek, tam jest twoje zadanie na dzisiaj!”. – Siostry proponowały mi kontynuowanie studiów teologicznych we Francji, ze specjalizacją biblijną (wcześniej skończyłam UKSW). W zgromadzeniu bardzo dbamy o rozwój intelektualny. Mamy możliwość wyboru drogi dalszego rozwoju: jeżeli ktoś nie chce robić doktoratu, może zając się np. opieką nad biednymi.

Tak zrobiła inna członkini zgromadzenia MB z Syjonu, słynna siostra Emmanuelle. – To przykład, że warto podjąć dyskusję z przełożonymi, aby zrealizować swoje powołanie – podkreśla s. Bodzińska. – Pracowała w liceum, i mając 62 lata oznajmiła, że zamiast uczyć bogate panienki, woli służyć najuboższemu. Zamieszkała na przedmieściach Kairu, w miejscu, do którego nie miała odwagi zaglądać policja. Zbudowała tam klinikę położniczą, przytułek dla starców, a nawet fabrykę kompostu. Zmarła w wieku niemal 100 lat. Przełożeni są odpowiedzialni za wyczuwanie powiewów Ducha Św. Jeżeli je zignorują, źle się będzie działo w takim zgromadzeniu.

„Jak chcesz, to studiuj” – tak przed laty odpowiedziała przełożona siostra Chyrowicz na pytanie, czy poza teologią może studiować filozofię. Sióstr-naukowców jest mało. Na uczelniach wyższych pracuje ich ok. 60, w tym 23 z habilitacją. →



ROBERT WOŹNIAK

Nie widzę dramatu

S. MAŁGORZATA BORKOWSKA, BENEDYKTYNKA, HISTORYK ŻYCIA ZAKONNEGO

DYSKUSJĘ ZWIĄZANĄ Z LICZBĄ powołań do zakonów kontemplacyjnych [tutaj liczba rozpoczynających nowicjat w ostatnich latach jest sta-

bilna – red.] słyszałam już wiele razy i zawsze ta sprawa traktowana była jako zjawisko badane naukowymi metodami od zewnątrz. Sama patrzę na powołania z nieco innej perspektywy – mam wrażenie, że mniejsze znaczenie mają w tym przypadku socjologia, psychologia czy statystyka. Po pół wieku w zakonie nadal widzę powołanie jako relację między Bogiem a stworzeniem. Osobiście jakieś 60 lat temu zdałam sobie sprawę, że taka relacja w ogóle jest możliwa, więc chwyciłam się tego jak życiowej szansy i do dziś jestem przekonana, że nic lepszego nie mogło mnie spotkać.

Historia zna przypadki, gdy klasztory pustoszały: starsze zakonnice umierały, a postulanki nie przychodziły. I nagle, po latach opustoszenia, znów zaczynały się

zgłaszać młode osoby, które przepelniała ta sama tęsknota, i które dostrzegały nawiązującą się relację między nimi a Bogiem. Dlatego najważniejsze pytania nie powinny dotyczyć statystyk albo psychologii, ale przede wszystkim tego, w jakiej kondycji jest relacja człowieka do Boga. My naprawdę służymy Panu Bogu – i gdyby On nie chciał takiej służby w jakimś domu i prowadził taki dom do wymarcia, to musimy z podaniem przyjąć Jego wolę. Znajdzie kogoś innego na to miejsce.

Dlatego nie widzę dramatu w różnicy między tym, jak liczne zgłoszenia zdarzają się teraz, a jak było kilkadziesiąt lat temu. Zawsze były wzloty i upadki, zawsze też na jakieś pięć dziewcząt zgłaszających się do klasztoru ostatecznie wstępowała jedna. Różnicy

psychicznej między dawnymi a nowymi kandydatkami nie widzę, żeby dopatrywać się w dzisiejszych zgłoszeniach nowego gatunku *homo sapiens*. Jakaś różnica? Dzisiaj młode dziewczyny trochę lepiej znają się na komputerach, więc to my, starsze zakonnice, przychodzimy do młodych po naukę. Zakonnica nie przychodzi do klasztoru, żeby „realizować siebie”. Oczywiście – jeśli przychodzi z talentami, to zostaną one wykorzystane dla funkcjonowania wspólnoty, ale gdyby chodziło tylko o samorealizację, to klasztor nie jest do tego odpowiednim miejscem. Tu się realizuje nie siebie, ale właśnie powołanie. Nie wiem, czy my jesteśmy od tego, żeby coś powiedzieć światu; my jesteśmy od tego, żeby powiedzieć coś Bogu. ©®

Not. BŁAŻEJ STRZELCZYK

→ S. Chyrowicz: – Nie wiem, na ile można mówić o problemie hamowania zapędów naukowych siostr. Wiem natomiast, że habit nikomu nie zapewni etatu na uczelni. Zatrudnia się tych, którzy się do tego nadają, a nie tych, którzy chcą.

Powiew Ducha

„Były oddane Kościołowi i ludziom, po ludzku szkoda, że odchodzą, ale Bóg ma plan” – powiedział proboszcz ks. Andrzej Margas na pożegnanie siostr szarytek, które w grudniu 2016 r. musiały opuścić placówkę w Jedlni-Letnisku k. Radomia ze względu na brak powołań. S. Bodzińska zna wiele takich sytuacji, i to na większą skalę. Z Francji, gdzie przez lata mieszkała. – Jesteśmy chyba rozpieszczeni XIX wiekiem, kiedy powstało mnóstwo zgromadzeń. Tylko że dzisiaj wiele z nich musi stowarzyszać się w instytuty, żeby przetrwać. Są przypadki starych wspólnot, o korzeniach sięgających XII w., które muszą opuścić wielkie opactwa. To smutne, że jakaś forma życia duchowego się kończy. Ale kiedy stare opactwo trapistów przejmuje wspólnota ekumeniczna Chemin Neuf, to w moim odczuciu znak działania Ducha Świętego.

Czy charyzmaty zakonne się wypalają? – Raczej zmienia się ich rozumienie – mówi. – Zakony, do których nikt się nie zgłasza, być może nie odpowiadają na potrzeby dzisiejszego świata, może zaniedbały formację stałą, może przestały poszukiwać nowych dróg do Boga. Nie popadajmy jednak w proste schematy: np. Karol de Foucauld po ludzku rzecz biorąc poniósł klęskę, zginął i nie zostawił uczniów. A przecież wkrótce wokół jego charyzmatu ukształtowały się zakony Małych Braci i Małych Sióstr Jezusa.

– Zgromadzenia zakonne powstawały, odpowiadając na wezwania konkretnych czasów, wiele z nich na pewnym

etapie kończyło swoją misję – wskazuje s. Chyrowicz. – Te, które przetrwały, potrafiły aktualizować swój charyzmat do potrzeb Kościoła. Moje zgromadzenie ma charyzmat typowo misyjny; dzisiaj stawiamy sobie pytanie, gdzie jest nasza pierwsza misja, czy nie jest nią laicyzująca się Europa, mówimy o wyzwaniu, jakim jest jej reewangelizacja.

Zakonom silnie międzynarodowym łatwiej wyczuć współczesne potrzeby. Zgromadzenie s. Bodzińskiej działa w 23 krajach, s. Chyrowicz w 49. – Każda nasza wspólnota raz na rok spisuje „Projekt życia” i wysyła do siostry generalnej, która się do niego odnosi. W ten sposób nieustannie uaktualniamy charyzmat – mówi s. Bodzińska.

Jako odpowiedzialna w Polsce za formację, martwiła się brakiem powołań. Kilka lat temu pojechała na spotkanie formacyjne ze swoimi odpowiednikami z innych zgromadzeń i odkryła, że zakony, które działają tylko w Polsce, mają pojedyncze nowicjuszki, tymczasem w międzynarodowym nowicjacie jej zgromadzenia w Izraelu niedawno składały pierwsze śluby młode kobiety z Brazylii, Kostaryki, Indonezji i Filipin. – To dużo mówi o tym, gdzie Kościół jest żywy – komentuje. – Gdzie wieje Duch.

S. Chyrowicz dodaje, że za większością powołań stoi inspiracja konkretną osobą. – Brak powołań powinien nas mobilizować do pytania samych siebie, czy nasze życie jest na tyle autentyczne, żeby pociągało. Kiedy dziewczyna odwiedzi konkretną wspólnotę i zobaczy grupę starszych, smutnych pań patrzących na siebie spod łba, to ucieknie stamtąd w te pędy. Może zatem zamiast ubolewać nad roszczeniowością, warto zrobić sobie rachunek sumienia? Bo w to, że Bóg wzbudza w sercach młodych ludzi pragnienie oddania życia w służbie Kościoła, nie wątpię. ©

MACIEJ MÜLLER

Raport z końca świata

DARIUSZ ROSIAK

215 milionów chrześcijan doświadcza prześladowań. Organizacja Open Doors opublikowała listę krajów, w których życie w imię wiary chrześcijańskiej wymaga ofiary – czasem najwyższej.

WUBIEGŁYM ROKU 3066 CHRZEŚCIJAN straciło życie z powodu wyznania, 1252 zostało porwanych, 1020 zgwałconych. Prawie 800 kościołów chrześcijańskich padło ofiarą ataków i zamachów. W styczniową niedzielę w miejscowości Linfen, w prowincji Shinxen na północy Chin, robotnicy zainstalowali materiały wybuchowe wewnątrz kościoła protestanckiego i zdetonowali je. Po wybuchu na teren kościoła wkroczyły zespoły robotników wyposażonych w kilofy i młoty pneumatyczne, które dokończyły dzieła zniszczenia.

Na papierze Chiny gwarantują swoim obywatelom wolność wyznania, ale w praktyce w zasadzie każdy aspekt działalności religijnej jest kontrolowany, a w ostatnich latach ściśle limitowany – zwłaszcza w odniesieniu do chrześcijan. Choć nie tylko – jedną z najbardziej prześladowanych grup religijnych w Chinach są muzułmanie, zwłaszcza Ujgurzy z prowincji Sinkiang. Chrześcijanie stanowią znaczącą, prawie stumilionową mniejszość w kraju, która zwłaszcza w ostatnich latach jest silnie prześladowana. Według listopadowego raportu Departamentu Stanu od 2014 r. zniszczono ponad 2 tysiące obiektów chrześcijańskich – głównie chodzi o prawie półtora tysiąca dużych, widocznych krzyży, które są w Chinach masowo niszczone, oraz o kilkadziesiąt kościołów i domów modlitwy, które spotkał los podobny do budynku kościoła w Linfen.

Podstawę działań władz można upatrywać w przemówieniu prezydenta

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Strzelcach Opolskich, Wydział I Cywilny, pod sygn. akt I Ns 12/17, toczy się postępowanie w wniosku Danuty Skurnog o stwierdzenie nabycia spadku po Jadwidze Kruczkowskiej, c. Michała i Heleny, zm. 4 listopada 2016 r. w Porębie, ostatnio zamieszkałej w Strzelcach Opolskich. W skład spadku wchodzi udział w nieruchomości położonej w Strzelcach Opolskich, objętej księgami wieczystymi Sądu Rejonowego w Strzelcach Opolskich – OP1S/00072053/9, OP1S/00027456/4.

Wzywa się spadkobierców Jadwigi Kruczkowskiej, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Strzelcach Opolskich i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



MOHAMED ABD EL GHANY / REUTERS / FORUM

Matka jednej z ofiar ataku na koptyjski kościół pw. Świętej Rodziny, do którego doszło w egipskim mieście Al-Minja w maju 2017 r.

Xi Jinpinga do działaczy partyjnych z maja 2015 r., w którym wzywał do „zarządzania sprawami religijnymi w zgodzie z prawem” i mówił o potrzebie „włączenia religii w budowę socjalistycznego społeczeństwa”. Już od lat 90. władze chińskie uważają, że kościoły i wspólnoty religijne są infiltrowane przez zagranicznych agentów, dlatego zakazana jest w tym kraju praca misyjna, a biskupi mianowani przez Watykan nie są uznawani przez władze. Do tego dochodzą prześladowania – aresztowania, tortury, zastraszanie, nakładanie dotkliwych kar finansowych wobec konkretnych księży i pastorów. Opiekunka kościoła w Linfen, pastor Yang Rongli spędziła siedem lat w więzieniu pod zarzutem „organizowania tłumu w celu utrudniania ruchu drogowego”. Od wypuszczenia z więzienia pod koniec 2016 r. przebywa pod nadzorem.

Problem chrześcijan w Chinach pogłębia fakt, że są oni również dyskryminowani przez muzułmanów i buddystów, którzy sami padają ofiarą antyreligijnej polityki rządu. W tych wspólnotach żyje stosunkowo niewiele chrześcijan, ale zwłaszcza konwertyci padają ofiarą prześladowań i donosów do władz.

Liga przemocy

W raporcie Open Doors Chiny zajmują stosunkowo odległe 43. miejsce na liście 50 krajów, w których chrześcijanom grożą największe prześladowania, ale świadczy to tylko o tym, że w ostatnich latach ich sytuacja utrzymuje się mniej więcej na podobnym poziomie. Miejsce zajmowane przez dane państwo w tej „lidze przemocy” nie jest jedynym miernikiem tragedii chrześcijan.

Na przykład Egipt z około 10-milionową populacją chrześcijan (głównie Koptów, a także protestantów i katolików) plasuje się na 17. miejscu, a jednak poziom prześladowań w ubiegłym roku przybrał skalę niespotykaną w ostatnich latach. W ubiegłym roku aż 128 chrześcijan zostało zabitych, a 200 straciło dach nad głową. Open Doors uznaje, że najważniejszym powodem przemocy wobec egipskich chrześcijan jest „rozlanie się terroryzmu islamskiego z Iraku i Syrii na teren Egiptu”.

Autorzy raportu nie mają wątpliwości: głównymi sprawcami aktów przemocy wobec chrześcijan na całym świecie – zwłaszcza najokrutniejszych: gwałtów i morderstw – są muzułmanie. 38 z 50 krajów umieszczonych na liście to miej-

sca z większością muzułmańską. Zjawisko określane przez autorów raportu jako „islamska opresja” jest głównym powodem prześladowań chrześcijan w ośmiu z pierwszej dziesiątki krajów na liście. Nie ma znaczenia, czy chodzi o bogate kraje muzułmańskie (Arabia Saudyjska zajmuje 12. miejsce na liście, Katar – 27., Kuwejt – 34.) czy biedne (tu jeszcze gorzej: Afganistan jest 2., Somalia – 3., Jemen – 9.). Na liście znajdują się również kraje uznawane powszechnie za radykalizowane (Pakistan na 5. miejscu), jak i umiarkowane i pokojowo nastawione do świata (Malediwy, ulubiony cel wakacyjny wielu bogatych Europejczyków, na 13. miejscu, Malezja na 23., Indonezja na 38.).

Co również znaczące, jedynymi państwami postsowieckimi, w których w dalszym ciągu dochodzi do prześladowania chrześcijan, są państwa Środkowej Azji z większością muzułmańską: Uzbekistan (16. na liście), Turkmenistan (19.), Tadżykistan (22.), Kazachstan (28.) i Azerbejdżan (45.).

W imię zasad

Drugim istotnym wnioskiem płynącym z raportu Open Doors jest wykorzystywanie nacjonalizmu do marginalizowania chrześcijan i innych grup etnicznych czy religijnych. Dotyczy to zwłaszcza krajów hinduistycznych (Indie – miejsce 11. na liście, Nepal – 25.) i buddyjskich (Mjanma na 24. miejscu, Sri Lanka na 44.).

Znaczącym przykładem połączenia prześladowań chrześcijan na tle religijnym ze strony muzułmanów, ale także autorytarnego rządu, który wykorzystuje różnice religijne do dzielenia społeczeństwa, jest szósta na liście Erytrea. W tej jednej z najokrutniejszych współczesnych dyktatur połowa z 5,5-milionowej ludności to chrześcijanie. Znajdują się pod presją zarówno władz, które traktują chrześcijan jak obcych agentów, jak i muzułmańskich sąsiadów radykalizowanych przez władzę, której zależy na pogłębianiu podziałów społecznych.

Zaskakujące może się wydawać umieszczenie na liście krajów o ustalonej chrześcijańskiej tradycji, takich jak np. Etiopia (29.), a nawet Meksyk (39.) czy Kolumbia (49.). W przypadku Etiopii sprawcą prześladowań są nie tylko autorytarne władze ograniczające wolność wyznania, ale także hierarchia i wyznawcy Etiopskiego Kościoła Ortodoksyjnego, którzy nie akceptują odstępstw od wiary, zwłaszcza odchodzenia do wspólnot ewangelickich. W Meksyku i Kolumbii sprawcami przemocy wobec chrześcijan są głównie gangi narkotykowe, ale także grupy rdzennych Indian, które

→ starają się odzyskać od Kościołów chrześcijańskich ziemie oraz nie godzą się na pracę misyjną na swoich terenach.

Dramatyczna sytuacja chrześcijan utrzymuje się w Iraku (8. na liście) i w Libii (7.). W Syrii (15. na liście) poza terenami kontrolowanymi przez armię Asada chrześcijanie praktycznie nie mają szans na przeżycie, więc ich tam nie ma. W tych trzech krajach dramat chrześcijan nie skończył się mimo zakończenia wojny z tzw. Państwem Islamskim. W Iraku chrześcijanie padają ofiarą przemocy ze strony oddziałów rządowych i milicji szyickich, w Syrii ciągle na sporej części terytorium trwa wojna z islamskimi fundamentalistami, Libia w 2017 r. stała się praktycznie państwem upadłym, kontrolowanym przez gangsterskie organizacje wyrastające zarówno spośród byłych zwolenników, jak i przeciwników Kaddafiego.

Upadki reżimów

Przy kompilowaniu statystyk opartych na tak ulotnych kryteriach jak poziom prześladowań społecznych jednym z częstych błędów jest mylenie skutków z przyczynami i podobne niebezpieczeństwo może wiązać się z badaniem Open Doors. Na czele listy Open Doors znajduje się Korea Północna, „najgorsze miejsce na ziemi dla wyznawców Chrystusa”, gdzie „chrześcijanie uznawani są za elementy wrogie, które należy usunąć”. Jak wiadomo, Kim Dzong Un nie ma nic wspólnego z islamem. Czy zatem wysoka pozycja ateistycznego reżimu w Pjongjangu nie sugeruje wyraźnie, że przemoc i dyskryminacja chrześci-

Prześladownicy chrześcijan pochodzą z różnych krajów, środowisk, ras, kultur i religii. Jednak olbrzymią grupę sprawców przemocy wobec chrześcijan łączy islam.

jan są produktem dyktatorskich reżimów w stopniu co najmniej równym radykalizacji islamskiej?

Tak zapewne jest i świadczy o tym obecność w zestawieniu nieislamskich reżimów dyktatorskich. Jednak jest zasadnicza różnica między dyktaturami ateistycznymi, takimi jak Chiny czy Korea Północna, a Syrią czy Irakiem. Historia uczy, że upadek reżimów ateistycznych wiąże się z zakończeniem prześladowań chrześcijan, czego najlepszym przykładem jest Związek Radziecki i jego dawne państwa satelickie. W Rosji chrześcijaństwo rozwija się obecnie przy wsparciu państwa (jaka jest treść tego chrześcijaństwa, to odrębny problem), w krajach takich jak Polska, Czechy czy Węgry panuje wolność wyznania.

W przypadku upadku reżimów w krajach islamskich rzadko polepsza się położenie chrześcijan, czego ostatnie lata są najlepszym potwierdzeniem. Dzieje się

wręcz przeciwnie – upadek świeckich dyktatur Saddama, Mubarak, Kaddafiego spowodował wzrost prześladowań chrześcijan ze strony muzułmanów. Za czasów dyktatorskich chrześcijanie byli lepiej chronieni i mieli większy udział w życiu społecznym, politycznym czy biznesowym swoich ojczyzn, co zresztą zostawało zwykle wykorzystywane przeciwko nim po upadku satrapów.

Warto nieustannie przypominać, że nie wszyscy muzułmanie prześladowają chrześcijan, a ofiarą radykalnego islamu politycznego padają co roku tysiące muzułmanów – w liczbach bezwzględnych jest ich więcej niż chrześcijan. Jednak z raportu Open Doors wypływa nieco inny wniosek. Prześladownicy chrześcijan pochodzą z różnych krajów, środowisk, są przedstawicielami różnych ras i kultur oraz religii. Jednak olbrzymią grupę sprawców przemocy wobec chrześcijan łączy właśnie islam. Jeśli kiedykolwiek upadnie reżim Kim Dzong Una, bardzo prawdopodobne jest, że ustaną prześladowania tamtejszych chrześcijan. Tymczasem w Iraku upadł Saddam, w Libii Kaddafi, w Egipcie Mubarak, a w Syrii być może wkrótce odejdzie Asad. Wraz z nimi odchodzą z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej chrześcijanie, a garstka, która decyduje się zostać na miejscu, robi to za cenę ogromnego poświęcenia i z narażeniem własnego życia. O tych nieprzyjemnych faktach warto pamiętać, jeśli chcemy sensownie zmierzyć się z przyczynami wrogości wobec chrześcijaństwa na świecie i próbować mu przeciwdziałać. ©

DARIUSZ ROSIAK

Kluby „Tygodnika Powszechnego” zapraszają

GRUDZIĄDZ

Spotkanie „Klucz do korytarza humanitarne w Polsce”. **Piątek, 2 lutego, godz. 17.30**, Kontynenty Café Bistro&Bar (ul. Starorynkowa 12/14).

KRAKÓW

Spotkanie „Obrazy reformacji”. Gościem będzie prof. Piotr Krasny (Instytut Historii Sztuki UJ). **Niedziela, 4 lutego, godz. 18.00**, sala konferencyjna HERBEWO (ul. Lubelska 29).

GLIWICE

Spotkanie „Czy wolna wola jest wolna?”. Gościem będzie ks. prof.

Józef Bremer, rektor Akademii Ignatianum. **Poniedziałek, 5 lutego, godz. 17.30**, Klub Pracowników Politechniki Śląskiej (ul. Banacha 3).

POZNAŃ

Kawiarenka klubowa. Gościem będzie Stanisław Zasada, dziennikarz. **Wtorek, 6 lutego, godz. 19.00**, Restauracja Pod Niebieskiem (Stary Rynek 64/65).

ZIELONA GÓRA

Spotkanie „Dziennikarska rzetelność”. Krótki wykład, jako wstęp do rozmowy, wygłosi Konrad Stanglewicz, dziennikarz.

Wtorek, 6 lutego, godz. 18.00, Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

WARSZAWA

Spotkanie „Rewolucja w Kościele” wokół pierwszej części rozmów „Tischner czyta Katechizm”. Gościem będzie o. Paweł Gużyński. **Czwartek, 8 lutego, godz. 19.00**, sala KIK (ul. Freta 20/24A).

LIPSZ

Spotkanie „Polska-Niemcy. Dialog kultur”. **Czwartek, 8 lutego, godz. 18.30**, Kirchencafé-Café3KLANG (Nonnenmühlgrasse 2).

KRAKÓW

Wspólna lektura i dyskusja nad książką „Tischner czyta katechizm”. **Piątek, 9 lutego, godz. 18.00**, Instytut Myśli Józefa Tischnera (ul. Stawkowska 14, I piętro).

LONDON, KANADA

Spotkanie ze Stanem (Stanisławem) Skrzyszewskim, historykiem i poetą. **Sobota, 10 lutego, godz. 18.00**, sala parafialna Kościoła Matki Boskiej Częstochowskiej (419 Hill Street, London, Ontario, Kanada).

Spór o Święte Miasto

JÓZEF MAJEWSKI

Problem Jerozolimy musi być odpolityczniony, należy proklamować ją stolicą trzech religii monoteistycznych – oświadczył patriarcha Aram I, ormiańsko-apostolski katolikos Cylicji, podczas konferencji poświęconej przyszłości Świętego Miasta.

IZRAELSKA OKUPACJA JEROZOLIMY I polityka zmiany jej statusu prowadzą do demograficznych zmian, w wyniku których znacząco spada tam liczba chrześcijan i muzułmanów – dodał zwierzchnik Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego podczas konferencji w Kairze (17-18 stycznia). – Legitymizacja okupacji jest wbrew prawu międzynarodowemu.

Arabskie korzenie Al-Quds?

Przesłanie do obradujących wystosował papież Franciszek, apelując o powrót do rozmów między Żydami i Palestyńczykami: „Celem dialogu musi być pokojowe współistnienie dwóch państw w granicach wzajemnie uzgodnionych ze sobą i uznanych przez wspólnotę międzynarodową, z pełnym poszanowaniem szczególnej natury Jerozolimy, której znaczenie wykracza poza wszelkie kwestie terytorialne. Tylko specjalny status, także gwarantowany międzynarodowo, może zabezpieczyć jej tożsamość”.

Konferencja, zorganizowana w odpowiedzi na decyzję prezydenta USA Donalda Trumpa o przeniesieniu amerykańskiej ambasady z Tel Awiwu do Jerozolimy, odbyła się w murach Uniwersytetu Al-Azhar, najważniejszej szkoły wyższej islamu sunnickiego, do którego należy 90 proc. wyznawców tej religii. Media arabskie poinformowały, że w spotkaniu, na zaproszenie rektora, wielkiego szajka Ahmada al-Tayyeba, uczestniczyło ponad 300 muzułmanów i chrześcijan z 86 krajów.

Spśród duchownych do Al-Azhar przybyli m.in. koptyjski patriarcha Tawadros II, patriarcha maronicki kard. Bechara Rai, grecko-prawosławny metropolita Bejrutu Elias Audi, sekretarz generalny Światowej Rady Kościołów ks. Olav Fykse Tveit i wielki mufti Libanu szajk Abdel-Latif Derian. Watykan reprezentował nuncjusz apostolski w Egipcie abp Bruno Musarò. Przesłanie Franciszka po arabsku zaprezentował Yoannis Lahzi Gaid, ksiądz



Stare miasto w Jerozolimie, styczeń 2018 r.

katolicki obrządku koptyjskiego z osobistego sekretariatu papieża.

Z polityków w obradach udział wzięli m.in. prezydent Egiptu Abdel Fattah al-Sisi, który patronował konferencji, sekretarz generalny Ligi Arabskiej Ahmad Abu al-Ghajt i prezydent Palestyny Mahmud Abbas. Wystąpienie tego ostatniego agencja Arutz Sheva-Israel National News zatytułowała: „Historia Jerozolimy według Abbasa”. Polityk ten uznał Al-Quds, jak po arabsku brzmi nazwa Świętego Miasta, za „odwieczną stolicę Palestyny”. Dodał, że prawo Palestyńczyków do niego opiera się na historii, bo pierwotni założyciele Jerozolimy – Kananejczycy – byli Arabami. W komentarzu do tych słów Arutz Sheva, przywołując opinię prof. Nissina Dana z Uniwersytetu Ariel na Zachodnim Brzegu, stwierdziła, że teza o arabskich korzeniach jest nie do utrzymania, „ponieważ Kanaanejczycy byli pogańskimi czcicielami bożków, którzy zniknęli na stulecia przed na-

rodzinami islamu, a hordy arabskie opuściły Półwysep Arabski w VII wieku”.

Ahmad al-Tayyeb przypomniał, że „niesprawiedliwą decyzję prezydenta USA o przeprowadzce ambasady” odrzuciło 128 krajów. Izrael, nazywany przez szajka „syjonistycznym tworem”, „nie ma nic na usprawiedliwienie swojej uzurpacji tej ziemi”. Duchowny dodał, że „współcześnie syjonistyczni chrześcijanie, wspierający ów twór, opierają się wyłącznie na fałszywych religijnych interpretacjach, które są odrzucane przez duchownych i chrześcijańskich uczonych, żydowskich rabinów i mnichów”. Al-Tayyeb wyraził przekonanie, że Arabowie, muzułmanie, chrześcijanie i intelektualiści całego świata łączą się w sprawie konieczności oporu wobec „barbarzyńskiego zepsucia syjonizmu w XXI w.”.

Kwiat pośród miast

Pastor Olav Fykse Tveit stwierdził, że Jerozolima nie może być wyłączną własnością jednej religii ponad innymi czy jednej religii przeciwko innej. To miasto – podkreślił – „jest i musi pozostać miastem trzech religii i dwóch narodów. Jako ci, którzy wierzą we wszechmoc Boga, winniśmy razem zastanowić się, co to znaczy okazywać miłość Bożą w tym konflikcie, w który są zaangażowane i którym są dotknięte trzy religie monoteistyczne i ich wspólnoty”.

Tawadros II, zwierzchnik Koptyjskiego Kościoła Prawosławnego, powiedział: „Tym, co nas jednoczy, jest to święte miasto, kwiat pośród miast. Jerozolima to nie tylko miejsce pomników, ale także symbol spotkania z Bogiem. To święta kraina, gdzie niebo spotyka się z ziemią, na której Bóg powiedział więcej niż gdzie indziej. Jeśli Jerozolima reprezentuje historię dla Izraela, to jest tak również w przypadku chrześcijan i muzułmanów”.

Kard. Bechara Rai przypomniał, że Stolica Apostolska nigdy nie ingerowała w terytorialne spory między Palestyną i Izraelem, ale nie uznała izraelskiej aneksji Wschodniej Jerozolimy (1967 r.). Watykan poparł natomiast rezolucję Rady Bezpieczeństwa ONZ z 20 sierpnia 1980 r., potępiającą dokonaną przez Izrael proklamację Jerozolimy jako jego „jednej i niepodzielnej” stolicy.

W maju 2017 r. Rada Wykonawcza UNESCO przyjęła – zaproponowaną przez kraje arabskie – rezolucję nazywającą Izrael „państwem okupującym” Jerozolimę. ©

Korzystałem z: Arutz Sheva, AsiaNews, KAI, NNA, PAP, RV, „Vatican News”



„TP” 3/2018

Lepiej zrozumieć

Sugestia papieża Franciszka, by podjąć weryfikację językowych tłumaczeń Modlitwy Pańskiej i rozważyć wprowadzenie zmian do tekstów liturgicznych, wzbudziła żywe reakcje. Od lat, a może i wieków, fraza „nie wódz nas na pokuszenie” budziła wątpliwości co do prawidłowego tłumaczenia i właściwego zrozumienia intencji Jezusa, a i samego Boga wobec człowieka. Nawiasem, na ten fakt przed laty zwracał uwagę również Benedykt XVI – kard. Joseph Ratzinger, np. w książce „Jezus z Nazaretu” (część pierwsza).

Idąc za myślą Benedykta, warto przypomnieć, iż faktycznie w tym przypadku mamy do czynienia z dwoma znaczeniami leksykalnymi tłumaczenia frazy „nie wódz nas...”. Natomiast w przypadku podejścia hermeneutycznego fraza „nie wódz nas na pokuszenie” ma jedno i takie samo znaczenie: „nie dopuść, abyśmy ulegli pokusie”. Istota rzeczy i wątpliwość zasadza się tylko w ukrytej formie *quasi*-czasownikowej, bo zna-

czeniowo dotyczy tej samej materii, którą jest sam Bóg i Bóg w swoim działaniu. U podstaw hermeneutycznego podejścia do tej frazy leży samo pojęcie i słowo „Bóg”, które w tamtych czasach powszechnie kojarzyło się z mitologicznymi bogami i bożkami. Bogowie w mitologii greckiej i rzymskiej dla ówczesnego człowieka byli jakby „pod ręką” i „do użytku codziennego”. Rodziło to pewne konsekwencje dla wierzeń i wiary samej w siebie. Zapewne liczył się z tym Jezus, nauczając i przekazując słowa modlitwy Pańskiej.

Dalej na osi czasów różnym tłumaczom przekazu zapewne chodziło o to, by wierni jednemu Bogu, którego niewymowne imię JHWH, nie traktowali Go jako narzędzia do załatwiania spraw własnych – do czego właśnie służyli bogowie mityczni. Żeby Bóg, o którym nauczał Jezus, a któremu mają wierzyć, nie stał się kolejnym mitologicznym bóstwem, z którym można prowadzić negocjacje, przekupywać itd. Żeby jedyny Bóg Jezusa swą postacią i swoją mocą „nie kusił”, czyli właśnie nie wodził (*sic*) człowieka mającego różne prozaiczne i codzienne potrzeby do ich rozwiązywania na sposób magiczny. Od pokusy „wystawiania mocy Boga na próbę” już tylko krok do bałwochwaltwa i pogańskiej filozofii. Tym samym Bóg chrześcijan mógłby się okazać mało skuteczny i może przegrywałby w rywalizacji z innym, szanowanym wówczas mitycznym

bogiem czy bożkiem. Przed tym chciał nas przestrzec sam Jezus i... tłumacze przekazu ewangelicznego.

Zatem fraza „nie wódz nas na pokuszenie” *de facto* zawiera o wiele głębszy sens metafizyczny, niż jesteśmy skłonni sądzić w powierzchownym i powszechnym odczytywaniu. Zwłaszcza wówczas, kiedy ograniczamy rozumienie „nie wódz nas na pokuszenie” do tego czy innego grzechu w sumieniu i rozumieniu Katechizmu KK. Idąc tym tropem, dobrze widać, że jak dotąd ta modlitewna fraza w swym podtekście zawiera ważne przesłanie: Nie wystawiaj Boga na próbę.

Może zatem warto przyjąć za pewnik, iż tłumacze Pisma Świętego dobrze zdawali sobie sprawę z tego problemu. Nie można podawać w wątpliwość ich wiedzy w tej materii. Dlatego niechże znaczenie i rozumienie „nie dopuść, abyśmy ulegli pokusie” będzie tożsame z „nie wódz nas na pokuszenie”.

JAN BIELA

„TP” 4/2018

Hierarchia wartości

Chcę wyrazić ogromną wdzięczność za publikację tekstu „Oskarżam” ojca Ludwika Wiśniewskiego. Czytając go, z trudem powstrzymywałam łzy, bo w końcu kapłan powiedział głośno, odważnie i rzetelnie to, co widzi i o czym mówi tak wielu świeckich. Ta diagnoza jest bolesna, ale jakże praw-

dziwa. Pewnie od tego, czy hierarchowie odczytają ten tekst jako wyraz troski o Kościół, czy jako atak, na który należy odpowiedzieć obroną lub kontratakiem, będzie zależało, czy zaczną leczyć nasz Kościół, czy zamkną oczy na problem i pozwolą na dalsze oddalanie się od Chrystusa.

Ja także ze smutkiem obserwuję to, co dzieje się w Kościele. Widzę, że świątynie pustoszeją. Często myślę też, jak bardzo obecny Kościół różni się od tego, który pamiętam. Wychowałam się na słowach Jana Pawła II, na tekstach księży Malińskiego, Bonieckiego, Tischnera. Wpływał na mnie ruch „Światło-Życie” i wydawnictwa księży werbistów. Czytałam Biblię i powtarzałam sobie przykazanie miłości. Tak też starałam się żyć i przekazywać wartości chrześcijańskie moim dzieciom.

Dziś coraz ostrożniej wybieram kościół, do którego idę na mszę świętą. Nie chcę czuć złości ani wstydu, gdy słucham słów księdza, bo przecież przychodzę, aby spotkać się z Chrystusem. Wiele razy zastanawiałam się, czy to dziwne przemierzanie wiary i polityki nie jest przekroczeniem przykazania: „Nie będziesz brał imienia Pana, Boga swego, nadaremnie”. Trudno było mi zrozumieć, dlaczego Kościół w tej sprawie milczy.

Mam wielką nadzieję, że artykuł ojca Wiśniewskiego przyczyni się do zmiany.

CZYTELNICZKA

(nazwisko do wiadomości redakcji)

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Dzierżonowie, z wniosku Waldemara Borowczyka, sygn. akt I Ns 335/17, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Bronisławie Jasnocha, c. Jana i Agaty z d. Fura, ur. 19 grudnia 1905 r. w Bratkowicach, zm. 20 marca 1956 r. w Bielawie, ostatnio stale zamieszkałej w Bielawie. W skład majątku pozostałego po spadkodawczyni może wchodzić udział w gospodarstwie rolnym położonym w Bielawie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Dzierżonowie, sygn. akt I Ns 449/17, w sprawie z wniosku Dariusza Kochanowskiego, zam. 58-260 Bielawa, ul. Wolności 133/2, toczy się postępowanie o uznanie za zmarłego Józefa Kochanowskiego, syna Antoniego i Marianny z domu Pluta, urodzonego 20 lipca 1894 r. w Żeleźnicy, ostatnio zamieszkałego w Józefowie, żonatego z Władysławą Kochanowską z domu Kalkowska, który przed 1945 rokiem opuścił miejsce swojego zamieszkania i prawdopodobnie wyjechał do USA.

Sąd wzywa Józefa Kochanowskiego, aby w terminie 3 miesięcy od chwili ukazania się ogłoszenia zgłosił się do tut. Sądu, gdyż w przeciwnym wypadku może zostać uznany za zmarłego. Ponadto Sąd wzywa wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o Józefie Kochanowskim, aby w terminie 3 miesięcy od chwili ukazania się ogłoszenia przekazały je Sądowi.

SZYMON

Hołownia:

Dziwne strony roku



NIE ZDRADZĘ CHYBA WIELKIEJ TAJEMNICY warsztatu, gdy powiem, iż z pisanem felietonu jest tak, że gdy człowiek złapie jakąś myśl, musi poczekać, aż mu się trafi druga, którą w jakiś autorski sposób da się połączyć z pierwszą. Generalnie autorskie pisanie polega przecież na tym, że ze wspólnego

dla wszystkich zasobu słów wyławia się te, a nie inne, i łączy się je w takie łańcuchy, w jakie nikt ich jeszcze nie połączył (patrz tytuł jednego z tomów wierszy Piotra Sommera „Nowe stosunki wyrazów”). W felietonistycznej robocie bierze się zaś historię, newsa, zdarzenie, i oplata myślą z podobnej albo zupełnie innej parafii, łączy składniki i bada, cóż to powstaje za koktajl.

Są jednak i takie momenty, gdy pierwszy składnik ma taką moc, tak wali cię w czaszkę, że nie masz ani sił, ani motywacji, by szukać drugiego. Na którymś z afrykańskich lotnisk kupiłem sobie ostatnio książkę autorów kultowego podcastu „No Such Thing as a Fish” Jamesa Harkina, Andrew Huntera Murraya, Anny Ptaszynski i Dana Schreibera, zatytułowaną „The Book of The Year. The Weirder Side of 2017” („Książka roku. Dziwniejsza strona 2017 roku”), z nadzieją, że znajdę w niej choć parę koralików, które wplotę kiedyś w swoją pisaninę. A gdzie tam. Przeczytałem rzecz od deski do deski i gdybym mógł, teraz bym ją przepisał.

Autorzy, jak sami się chwala, wykonali gigantyczną pracę, przeglądając w ciągu roku wszystkie dostępne media od „Washington Post” po bloga poświęconego oliwie z oliwek. Efekty poszukiwań układają w mieniące się tysiącami barw pryzmy, od których kontemplacji nie można się oderwać. I z każdą stroną utwierdzają w przekonaniu, że gdyby Pan Bóg z jakichś powodów nie stworzył człowieka, to w końcu i tak musiałby go stworzyć, bo nikt – nawet On – nie byłby w stanie pominąć takiej okazji do popadania na przemian w zachwyt i stupor przeżalenia przy patrzeniu na meandry, jakimi może podążać ludzka myśl, układanie spraw i relacji, ogólna kreatywność.

Tak, pójdę na łatwiznę. Nie, nie będę zakraplał teraz przez najbliższe miesiące po jednej historyjce, tak by wystarczyło na dłużej. Wrzucę ich Państwu, ile na stronie się zmieści – naraz, bez owijania w pozory przemyśleń, bez pointy. Bo nad czym tu przemyślać? Tu trzeba patrzeć. W osłupieniu kontemplować drugi i trzeci plan zdarzeń, niemogący się przebić w świecie, w którym głos ma Trump, Kaczyński tudzież inne przygody i katastrofy. Sprawy poważne, które mam do omówienia w tym tygodniu (rozbudowa parku samochodowego Radia Maryja przy pomocy wygrywających na loteriach bezdomnych, wstrząsająca historia z pobieraniem narządów na przeszczepy od psów schroniskowych na rzecz psów z zamożnych rodzin, szczegółowy opis przyjmowania przez Polskę niewidzialnych uchodźców z Ukrainy), to wszystko musi poczekać. Bo czy wiedzieli Państwo, że:

– Brytyjski urząd skarbowy wydaje rocznie ok. 3 tys. funtów na bukiety przeprosinowe dla podatników, którym źle naliczył podatek.

– Główny ekonomista Banku Światowego odmówił podpisania dorocznego raportu World Development Report, jeśli wartość słowa „i” („and”) w tym dokumencie będzie większa niż 2,6 proc. (do tej pory było to średnio 3,4 proc.; w przemówieniu inauguracyjnym Donalda Trumpa było to 5,2 proc.). Podobno nadużywanie „i” to jeden z powodów, dla których – jak także wyliczono – ledwie 32 proc. raportów Banku Światowego ktoś w ogóle czyta.

– Portal Roskomnadzoru, rosyjskiej agencji nadzorującej internet i publikującej listę stron, którą dostawcy internetu zobowiązani są blokować, została zablokowana po tym, jak ktoś wykupił kilka mniej popularnych domen z zakazanej listy i powiązał je ze stroną Roskomnadzoru.

– Nowy model pralki Panasonic przeznaczony na rynek indyjski ma dostosowane do tamtejszego rynku specjalne programy: wywabianie plam z curry, usuwanie śladów oleju do układania włosów oraz do prania sari.

– Światowa Federacja Taekwondo (World Taekwondo Federation) zmieniła w 2017 r. swoją nazwę na World Taekwondo, bo miała już dość kpín związanych z akronimem swojej pierwotnej nazwy (WTF; kto zna angielski, ten wie, o co chodzi, kto nie zna – ma szczęście, że uniknął kontaktu ze szpetnymi wulgaryzmami).

– Książd Juan Carlos Martínez z miejscowości Cuntis w hiszpańskiej Galicji miał wystąpić na miejscowej karnawałowej paradzie przebrany za Hugh Hefnera, baraszkującego z dwoma facetami (przebranymi za króliczki Playboya). Książd przeprosił za swoje zachowanie, a biskup odesłał go po tym na poprawcze rekolekcje.

– Muzułmański sędzia w Palestynie odmówił przyjmowania wniosków rozwodowych w okresie ramadanu (gdy za dnia trzeba powstrzymać się od jedzenia), motywując to tym, że ludzie zazwyczaj podejmują złe decyzje, gdy są głodni.

– W 2017 r. na emeryturę po 30 latach pracy przeszedł autor wróżb umieszczanych w ciasteczkach z wróżbą, pracujący dla potentata na tym rynku, firmy Wonton Food Inc. (produkuje 4,5 mln ciasteczek dziennie). Pan Lau jako powód odejścia podał wypalenie zawodowe: „Kiedyś pisałem sto wróżb rocznie, teraz jestem w stanie pisać 2-3 miesięcznie” (w 2005 r. pan Lau podał w swojej wróżbie sześć liczb, z których pięć okazało się być szczęśliwymi liczbami w loterii. Wygraną podzieliło się 110 konsumentów ciasteczek z twórczością pana Lau).

– W Bhutanie rozkręca się radykalna ultrapravicą, której głównym postulatem jest motywowany względami religijnymi wegetarianizm (Bhutan to państwo wyznaniowe, w którym szef buddyjskiego episkopatu, Central Monastic Body, jest *de facto* równy rangą królowi). W tej chwili w Bhutanie zakazane jest zabijanie zwierząt (sam widziałem, że krowy czy psy czują się tam równoprawnymi obywatelami), można jednak importować ich mięso, z czego wielu Bhutańczyków skwapliwie korzysta.

– Przy okazji politycznego mariażu, który Theresa May zmuszona była poczynić z Demokratyczną Partią Unionistyczną (DUP), prasa przypominała wiele pysznych wypowiedzi działaczy tego ugrupowania. Wiele radości dostarczyło mi zwłaszcza freudowskie przejęzyczenie niejakiego Davida Simpsona, który wypowiadając się przeciwko małżeństwom gejów chciał powiedzieć, że „w raj u byli Adam i Ewa, nie Adam i Stefan” („It was Adam and Eve, not Adam and Steve”), ale – tak jest zawsze, gdy człowiek przygotowuje sobie *bon mot* i powtarza go, żeby broń Boże nie pokręcić – powiedział to niestety odwrotnie. ©

DŁUGI KONIEC PEWNEJ EPOKI

Cztery miesiące po wyborach okazuje się,
że Niemcami znów może rządzić koalicja CDU/CSU i SPD.
Żmudne klejenie rządu ujawnia napięcia w polityce.
I sugeruje, że nie będzie to spokojna kadencja.

GRZEGORZ SZYMANOWSKI Z BERLINA



NA KONIEC TRZEBA JEDNAK RĘCZNIE LICzyć głosy. Jest niedziela, 21 stycznia, tuż po szesnastej. Na nadzwyczajnym zjeździe w Bonn socjaldemokraci decydują, czy podjąć rozmowy koalicyjne z chadekami z CDU/CSU. Po głosowaniu, w którym delegaci podnieśli ręce, nie jest jasne, czy większość mają zwolennicy, czy też przeciwnicy ponownego wejścia do rządu.

Przez wcześniejsze pięć godzin ponad 600 delegatów spierało się, atmosfera była napięta. W partii wszyscy wiedzą, że dalsze współzrządzenie z Angelą Merkel osłabi tracącą poparcie partię, bo powoli coraz trudniej odróżnić ją od chadeków. Ale jeśli zjazd nie zgodzi się na rozmowy, Niemcy czekają nowe wybory.

Martin Schulz, przewodniczący SPD, przez niemal godzinę wymienia wszystkie drobne osiągnięcia ze wstępnych rozmów z chadekami. Ale do delegatów lepiej trafia Andrea Nahles, szefowa frakcji SPD w Bundestagu, gdy mówi, że „wyborcy stukną się w czoło”, jeśli SPD jeszcze raz

wyśle ich na wybory. „To głupota!” – podnosi głos.

„Powstanie krasnali”, jak prześmiewczo zwany jest ruch przeciwników negocjacji, napędza partyjna młodzieżówka Juso (skrót od Jungsozialisten). „W sumie nie chcemy, ale jednak i tak musimy, i to jest ta niekończąca się pętla, w której jesteśmy od lat, a którą trzeba w końcu przerwać” – apeluje przewodniczący Młodych Socjalistów Kevin Kühnert. I zbiera aplauz.

Tuż przed głosowaniem występuje jeszcze raz Schulz. „Nie my doprowadziliśmy do tej sytuacji, ale musimy jej sprostować. – mówi. – Nie trzeba rządzić za wszelką cenę. Ale nie można nie chcieć rządzić za wszelką cenę” – dodaje i schodzi ze sceny.

Głosy są już policzone. 365 „za”, 279 „przeciw”. To niewielka większość, „za” było tylko 56 proc. delegatów. Ale jednak większość.

W ten sposób 119 dni po wyborach dowiedzieliśmy się, że dwie największe partie, które rządziły wspólnie przez osiem z ostatnich dwunastu lat, podejmą rozmowy o ponownej koalicji. W najlepszym wypadku, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Niemcy będą mieli rząd przed Wielkanocą – w pół roku po wyborach.

Jamajka nie leży nad Szprewą

A przecież miało być inaczej. „Jest jasne, że otrzymaliśmy od wyborców mandat do bycia w opozycji” – ogłosił Schulz już w wyborczy wieczór, 24 września 2017 r. Tego dnia SPD zdobyła tylko 20,5 proc. głosów. O pięć procent mniej niż przed czterema laty – i najmniej w powojennej historii.

Błyskawiczna odmowa dalszego udziału w koalicji z partią Merkel (obie formacje rządzą wspólnie od 2013 r.) miała być ucieczką do przodu: okazją na wypracowanie lewicowego programu, odróżnienie się od „centrowej” Angeli Merkel i zatrzymanie wyborców. A dla Schulza szansą na pozostanie w fotelu przewodniczącego.

Wszak gdy w lutym 2017 r. wrócił z Parlamentu Europejskiego do niemieckiej polityki i ogłosił, że poprowadzi SPD do wyborów, i partia, i media ogłosiły go zbawicielem dla tracących od lat poparcie socjaldemokratów. Sondażowe słupki skoczyły. Ale na krótko. „Efekt Schulza” zbladł jeszcze na długo przed wyborami: walka o sprawiedliwość społeczną jako główny temat kampanii nie porwała wyborców,

a Schulz nie przekuł chwilowych emocji w trwałe poparcie.

Nowa SPD miała się zatem wykuć w opozycji. Tym bardziej że większość mogła mieć także inna partyjna konstelacja: koalicja „jamajska”, nazwana tak od tradycyjnych kolorów czterech partii – CDU/CSU (chadeacy, „czarni”), FDP (liberałowie, „żółci”) i Zieloni. Byłby to pierwszy taki rząd w historii Republiki Federalnej. Byłby, gdyby nie szef FDP Christian Lindner, który po trwających niemal miesiąc rozmowach zdecydował się je przerwać. „Lepiej nie rządzić, niż rządzić źle” – ogłosił pod koniec listopada.

Do dziś spekuluje się o powodach jego decyzji. Ostatnie cztery lata FDP spędziła poza parlamentem. W kampanii Lindner zapowiadał ogólną „zmianę trendów” w politycznym Berlinie: krytykował politykę migracyjną, niechętnie wypowiadał się o reformie strefy euro. Wejście do rządu Angeli Merkel nie pasowałoby do tej narracji, a Lindner nie ukrywał niechęci wobec pani kanclerz. Nie po drodze było mu też z lewicowymi Zielonymi.

Gdy wtedy Schulz potwierdził, że SPD nadal nie zamierza wchodzić do rządu, Angeli Merkel pozostały dwie opcje: rząd mniejszościowy lub nowe wybory. Takiej sytuacji w powojennej niemieckiej polityce jeszcze nie było. Tym bardziej że nowe wybory być może niewiele by zmieniły, bo sondaże niemal nie drgnęły od września. Na pewno zaufanie obywateli do systemu politycznego byłoby wystawione na próbę, a wiatru w żagle nabrałaby antysystemowa Alternatywa dla Niemiec (AfD, która po raz pierwszy weszła do Bundestagu).

Dlatego prezydent Frank-Walter Steinmeier, który na czas urzędowania zawiesił członkostwo w SPD, zaangażował się w szukanie kompromisu. Presja na SPD rosła. Do tego stopnia, że w grudniu zarząd partii zmienił zdanie i zgodził się na rozmowy z chadekami.

Nie chcą, ale muszą

Żeby całkiem nie stracić wiarygodności, postawiono jednak warunek: na wejście do rządu muszą się zgodzić członkowie SPD. I to na każdym kroku: w grudniu kongres delegatów musiał wydać zgodę na rozmowy sondujące, a w styczniu w Bonn na właściwe negocjacje. Na koniec wynegocjowaną umowę koalicyjną będzie musiała zatwierdzić większość z 440 tys. członków SPD w partyjnym referendum. Między wyborami a powstaniem rządu SPD zgłasza zatem aż trzy razy – tak jakby bardzo chciała pokazać, jak bardzo tego nie chce.



HANNIBAL HANSCHKE / REUTERS / FORUM

Lider SPD Martin Schulz podczas spotkania parlamentarnego klubu swojej partii. Berlin, 22 stycznia 2018 r.

→ Po doświadczeniu nieudanych rozmów wokół koalicji „jamajskiej” tym razem obie strony sondowały tylko pięć dni. To właśnie nad efektem tych rozmów, 28-stronowym dokumentem, debatowali w Bonn socjaldemokraci. Delegaci byli niezadowoleni, bo SPD nie udało się przeforsować żadnego ze sztandarowych postulatów: ani tzw. ubezpieczenia obywatelskiego (znoszącego podział na publiczne i prywatne ubezpieczenie zdrowotne), ani podniesienia podatków dla najbogatszych, ani ograniczenia czasowych umów o pracę.

Dla wielu członków partii, tych przychylnych przyjmowaniu uchodźców, problematyczne są też decyzje w sprawie imigracji. Bawarskiej CSU, która walczy o utrzymanie władzy w swoim tradycyjnie konserwatywnym landzie, udało się bowiem wynegocjować w umowie zapis o „górną granicę” – zgodnie z nim Niemcy przyjmą rocznie nie więcej niż „od 180 tys. do 220 tys.” uchodźców. To poziom podobny do 2017 r., gdy o azyl wystąpiło w Niemczech 198 tys. osób (dla porównania: w latach 2015–2016 było to prawie 1,2 mln).

Jednym z głównych punktów spornych podczas tych rozmów było prawo azylantów do sprowadzenia małżonków i dzieci pozostających za granicą. Jest to zgodne z europejskim i niemieckim prawem. Ale w trakcie kryzysu migracyjnego duża liczba uchodźców zamiast pełnego prawa do azylu otrzymywała status tzw. ochrony uzupełniającej, dający im mniej praw – w latach 2016–17 było to 250 tys. ludzi, głównie z Syrii i Iraku. I właśnie dla tej licznej grupy zawieszono w 2016 r. na dwa lata prawo do sprowadzenia najbliższych.

Ten zakaz upływa w marcu, a szacunki mówią o kilkudziesięciu tysiącach osób, które mogłyby złożyć wniosek o przyjazd do Niemiec. Kompromis z rozmów jest więc taki, że Niemcy będą przyjmować miesięcznie tysiąc członków rodzin. SPD chce teraz utworzenia specjalnej komisji, która pozwoli przyjąć więcej rodzin „w ciężkich przypadkach”.

Z drugiej strony, liderzy SPD zwracają uwagę na swoje osiągnięcia: poziom emerytur ma być zagwarantowany na dzisiaj-

Wygląda to na
koniec pewnej epoki:
w Niemczech zachodzą
głębokie zmiany, ale na
tyle powoli, że jeszcze
nie wiadomo, jak będzie
wyglądać nowy porządek.

szym poziomie do 2025 r., a rząd federalny będzie miał więcej wpływu na system edukacji (teraz to kompetencja krajów związkowych, co prowadzi do dużych różnic w poziomie edukacji). Wstrzymano już także eksporty broni do krajów, które biorą udział w wojnie w Jemenie, m.in. do Arabii Saudyjskiej.

Poza tym SPD, CDU i CSU zapowiedziały gotowość wpłacania więcej do unijnego budżetu po Brexicie i ostrożną zgodę na stworzenie budżetu strefy euro, co jest odpowiedzią na plan reformy Unii autorstwa francuskiego prezydenta Emmanuela Macrona. Także wzmocnienie roli Parlamentu Europejskiego jest zgodne z agendą Schulza, który był jego przewodniczącym.

Problemy lewicy są głębiej

Teraz ten dokument będzie podstawą do dalszych negocjacji. A na koniec umowa koalicyjna zostanie – jak powiedziano – poddana pod osąd 440 tys. członków SPD.

– Nasz okręg jest podzielony mniej więcej pół na pół – opowiada „Tygodnikowi” o nastrojach w partii Michael Biel, przewodniczący lokalnego okręgu SPD w berlińskiej dzielnicy Tempelhof-Schöneberg. – Trzeba będzie wynegocjować coś więcej, żeby przekonać ich do koalicji. Brakuje nam jednego dużego osiągnięcia, tak jak to było z wprowadzeniem przepisów o płacy minimalnej w poprzednim rządzie.

Na Schönebergu problemem są mieszkania: ceny wynajmu rosną szybko, ciężko znaleźć tu lokum. Biel życzy sobie, aby następny rząd rozwinął budownictwo społeczne. Zaznacza, że jest zwolennikiem rozmów z chadekami: – Demokraci muszą ze sobą rozmawiać – mówi.

Jednak problemy SPD leżą głębiej. Ostatni raz partia miała swojego kanclerza w latach 2002–05, gdy Gerhard Schröder rządził wspólnie z Zielonymi. Ówczesne reformy, nazwane „Agendą 2010”, uelastyczyły rynek pracy i zraziły do SPD dużą część jej socjalnego i robotniczego elektoratu.

– Ostatni rząd SPD przeprowadził niepopularne reformy, a potem partia nie miała okazji wypracować nowego profilu. Gdy była młodszym partnerem w koalicji z CDU/CSU, jej zasługi szły raczej na konto Angeli Merkel – mówi „Tygodnikowi” politolog Christoph Nguyen z Wolnego Uniwersytetu w Berlinie.

Nie wiadomo jednak, czy przejście do opozycji oznaczałoby automatycznie odnowę partii. Gdy w latach 2009–2013 socjaldemokraci byli poza rządem, odzykali jedynie półtora procent poparcia.

– To generalny problem starych partii socjaldemokratycznych w Europie – twierdzi Nguyen. – Stare linie podziału nie są już tak wyraźne, przywiązanie do partii maleje, a tożsamość robotnicza nie jest już tak ważna jak w przeszłości i cała idea socjaldemokratyczna potrzebuje reinterpretacji. Próby podejmowane przez Schrödera czy Tony’ego Blaira w Wielkiej Brytanii nie były zbyt udane.

Agonia SPD więc trwa. Dzień po kongresie w Bonn jej sondaże spadły do 17 proc. Już tylko cztery punkty procentowe dzieli SPD od Alternatywy dla Niemiec. „Era SPD jako partii masowej minęła. To epokowa zmiana. Zwycięzcą jest AfD. To ona zastąpi SPD jako partia masowa dla prostego człowieka” – ocenia lewicowy komentator Jakob Augstein. Argumentuje, że w konflikcie między zwycięzcami i przegranymi globalizacji, SPD nie trafia do żadnej ze stron. AfD zaś zwraca się do tych, którzy nie korzystają z neoliberalizmu i otwierania granic: robotników, przeciwników imigracji, bezrobotnych.

Pojawiają się głosy sugerujące zmiany po lewej stronie politycznej sceny. Do powołania nowego ruchu wzywa Sahra Wagenknecht, liderka frakcji Partii Lewicy w Bundestagu. Tej, która powstała z fuzji postkomunistów z dawnej NRD i grupy rozłamowców z „lewego skrzydła” SPD. Jej pomysł odrzucają inni liderzy.

Stare się kończy, nowego nie widać

Rekordowo długi proces budowania rządu wskazuje na większe problemy niemieckiego systemu partyjnego. Wprawdzie teraz uwaga skupia się na SPD, która w świetle kamer liże rany. Ale ostatnie miesiące pokazały słabość wielu aktorów tutejszej polityki.

Od zerwania rozmów na temat koalicji „jamajskiej” mnożą się głosy o słabnącej pozycji Angeli Merkel. W porównaniu z wyborami w 2013 r. jej partia straciła ponad 8 proc. głosów (czyli więcej niż SPD), a „na prawo” od CDU/CSU do Bun-



GRZEGORZ SZYMANOWSKI będzie gościem Tomasza Stawiszynskiego w „Popołudniu Radia TOK FM” w środę 31 stycznia o godz. 15.20.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce
www.tokfm.pl

destagu weszła Alternatywa dla Niemiec, która na krytyce polityki europejskiej i migracyjnej rządu Merkel zebrała 12 proc. głosów i stała się trzecią siłą w parlamencie. A ponieważ zarówno AfD, jak też Partia Lewicy nie mogą być partnerami do rządzenia, budowa koalicji jest trudna jak nigdy dotąd.

Merkel stała się zakładniczką SPD. Gdyby jej starzy koalicjanci nie zechcieli znów wejść do rządu, prawdopodobnie musiałaby ustąpić ze stanowiska. Tym bardziej że w chadecji wielu ma jej za złe, że swoją centrową polityką – szczególnie podczas kryzysu migracyjnego – dopuściła do tego, że Alternatywa dla Niemiec urosła w siłę. Na głównego krytyka Merkel w CDU wyrasta 37-letni Jens Spahn, który mówi, że chadecy muszą wrócić do konserwatywnych korzeni i walczyć o odzyskanie wyborców AfD. Podobne nastroje są w Bawarii.

Do tego nowa wielka koalicja zwiększa ogólne zniechęcenie do polityki wśród Niemców. – Przekonanie, że nie ma dużych różnic między dwiema głównymi partiami, wzmocni się, jeśli znów utworzą wspólnie rząd – mówi Nguyen. – Szczególnie wśród sfrustrowanych wyborców pojawia się wrażenie, że nieważne, na kogo głosują, na koniec i tak rządzą chadecy i SPD – dodaje. To także wzmacnia przekaz antysystemowców z AfD.

Jeśli stara-nowa koalicja powstanie, raczej nie będzie stabilna, skoro pozycja dwóch głównych partii słabnie. W 2013 r. SPD i CDU/CSU zebrały łącznie 67 proc. głosów, a po ostatnich wyborach już tylko 53 proc. To wystarczająco mało, aby widzieć, że ta koalicja wzajemnie się osłabia. Ale nadal wystarczająco dużo, aby być do niej zmuszonym.

Wygląda to jak długi koniec pewnej epoki: widać, że w Niemczech zachodzą głębokie zmiany, ale na tyle powoli, że jeszcze nie wiadomo, jak będzie wyglądać nowy porządek. Martin Schulz zapowiedział już wpisanie do umowy koalicyjnej klauzuli o jej „przeglądzie” po dwóch latach, w połowie kadencji. Przy spadającym poparciu i rosnących napięciach w obu formacjach nad nowym rządem będzie wisieć ryzyko przyspieszonych wyborów.

Oczywiście pod warunkiem, że stara-nowa koalicja w końcu powstanie.

©

GRZEGORZ SZYMANOWSKI



Tatiana, matka Saszy: „Nikt poza matką nie zrozumie, co to znaczy usłyszeć syna po ponad tysiącu dniach”.

Zwolnieni do życia

TEKST I ZDJĘCIA **MONIKA ANDRUSZEWSKA** Z KIJOWA

O rodzinie powie tylko, że wszystko się zmieniło, bo nie każda kobieta gotowa jest czekać. „Tylko matki zawsze czekają” – mówi ten, który po trzech latach wyszedł z rosyjskiej niewoli. Wielu Ukraińców jest w niej nadal.

WYCHUDZONY, ŁYSY, W WOJSKOWYM dresie. Nerwowo pali papierosa.

– Niewola... to brzmi jakoś tak... archaiczne – zastanawia się, szuka słów. – Jak z filmów historycznych. Trudno człowiekowi w dzisiejszej Europie wytłumaczyć, jak to jest być jeńcem. Nikt nas ani naszych rodzin do tego nie przygotował. Nasze żony wychodziły za mąż za programistów, budowlanców, rolników, a nie za żołnierzy. A potem przychodziły wezwania do armii... – mężczyzna milknie, dopala. – Wiedzieliśmy, że jeśli zrobimy nam pokazowy proces przed rosyjskim sądem, możemy dostać 15-20 lat. To tak, jakbyś dla wszystkich umarł. Takie zawieszenie, między być a nie być.

W stołowie wojskowego szpitala w Kijowie takich jak on jest około trzydziestu. Byli w grupie 74 Ukraińców, którzy 27 grudnia 2017 r. odzyskali wolność, w ramach wymiany za 233 prorosyjskich separatystów.

Mężczyźni, którzy w wieczór prawosławnej wigilii zasiedli w tej stołowie, są wynędzniali. Szarzy, z zapadnięty-

mi oczami. Niektórzy ukrywają okaleczone ręce. Większość ma wybite zęby. Obok rozemocjonowane, szczęśliwe rodziny. Choć są i tacy, do których nikt nie przyjechał. Może było daleko. A może przez dwa, czasem trzy lata nieobecności w domu zmieniło się więcej, niż mogą sądzić.

– To nasze prawdziwe bohaterki! – byli jeńcy wskazują na żony i matki.

Faktycznie, to ich upór i determinacja przyczyniły się do sfinalizowania największej od półtora roku wymiany jeńców. Dogając się od ukraińskiej reprezentacji w Mińsku skuteczniejszych działań, kobiety prowadziły głodówkę. Demonstrowały pod siedzibą prezydenta i ministerstwem obrony. Spotykały się z europosłami i przedstawicielami misji międzynarodowych. Kilka jesiennych nocy spędziły przed parlamentem. Chciały, by ukraińscy politycy, idąc do pracy, widzieli zdjęcia ich bliskich, przetrzymywanych w Doniecku i Ługańsku. Żeby poczuli, że sprawa ratowania jeńców to nie kolejny punkt do politycznych targów, ale tragedia konkretnych ludzi.

→

Matki zawsze czekają

→ Ma pergaminową skórę i wielkie, podkrążone oczy. Wychudzony, jakby wyszedł z gułagu. Na froncie Iwan walczył mniej niż dobie. A w niewoli był trzy lata, bez trzech tygodni.

Jego batalion czołgów posłano na pomoc otoczonym na donieckim lotnisku. To był jego pierwszy i ostatni bój. Nie pamięta, jak trafił do niewoli. Tyle, że został ranny w głowę zaraz po tym, jak opuścił unieruchomiony czołg.

Lewą skroń przecina mu blizna. Na miejsce ubytku w czaszce lekarze mają wstawić kilkunastymetrową płytkę. Dziwią się, że przeżył z taką raną. Gdyby jeszcze wiedzieli, że na początku zasztyło ją zwykłą igłą i nitką... Tamtym było żal nici chirurgicznych.

Trafili w ręce ludzi nazywających się Kozackim Sojuszem Dońskiego Wojska – rosyjskich ochotników, przybyłych do Donbasu. Ci na początku wrzucili go do klatki dla psów. Gdy nie mógł już oddychać, dopuścili lekarza, który zrobił mu zastrzyk, przez kraty. Polali benzyną głowę Bohdana, jego dowódcy. Chcieli spalić jego kozacki czub. Zapalniczka nie odpaliła. Wtedy najbardziej się bał.

Martwi się, bo Bohdan wciąż jest w niewoli. Miał także być wymieniony, ale dzień wcześniej skreślono go z listy.

On w niewoli nauczył się rosyjskiego. – Pochodzę z wioski pod Równem, tam nikt nie mówi po rosyjsku – opowiada. Uczyl się, by przetrwać. Żeby nie bili. Bo pierwszy raz zaczęli bić, gdy, zapytany o datę urodzenia, powiedział „lipiec” po ukraińsku.

Poza językiem nauczył się dwóch innych zasad przetrwania. Raz: gdy biją, nie należy się zasłaniać. – Jak chronilem ręką ranę na głowie, bili mocniej – mówi. – Im mniej się opierasz, tym szybciej im się nudzi. Bo bicie czy rażenie paralizatorem to ich rozrywka.

A druga zasada? – Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Opowiada: – Na początku reagowaliśmy paniką na brzęk kluczy. To był znak, że przyjdą nas bić. Potem zaczęliśmy traktować bicie jako rutynowy element dnia.

Po trzech miesiącach jeńców przejął inny rosyjski oddział. Odtąd warunki były lepsze, przypominały zwykłe więzienie. W piwnicy w Doniecku, w dawnej siedzibie Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, a potem w kolonii karnej w Makijiwce spędził prawie trzy lata. – Nie chcę, żeby ktoś się litował. Przecież żyję – wzrusza ramionami.

W szpitalu nikt go nie odwiedza. – Dla matki do Kijowa za daleko – tłumaczy.

– Przyjechała raz, gdy mnie wypuścili, ale nie może tu ze mną siedzieć. W domu jest młodsze rodzeństwo.

Żałuje, że nie spotka już ojca. Umarł, gdy on był w niewoli. Kiedy dostał wezwanie, ojciec nie próbował go zatrzymać. Był dumny, że syn ma walczyć za kraj, bo, powiedział, to obowiązek. Więc gdy puszcza go już ze szpitala, odwiedzi także tatę na cmentarzu. Opowie, że wszystko zrobił jak trzeba.

O własnej rodzinie Iwan nie chce mówić. Wszystko się zmieniło. Wystarczy powiedzieć, że nie każda kobieta gotowa jest czekać trzy lata. – Tylko matki zawsze czekają.

Rodzinny stres pourazowy

– Wypuściłam syna z domu 2 sierpnia 2014 r., a wraca do mnie 27 grudnia 2017 r. Już nigdzie go nie wypuszczę! – zapowiada drobna 60-latką o krótkich blond włosach.

Tatiana jest matką Saszy. Jej syn, zwiadowca, w ręce żołnierzy Federacji Rosyjskiej trafił podczas wychodzenia z „kotła debalcewskiego”. Udział regularnych jednostek rosyjskich, zwłaszcza pancernych i artylerii, zdecydował o klęsce Ukraińców w tej bitwie, w lutym 2015 r.

Gdy syn zadzwonił do matki, zaraz po wymianie, Tatiana straciła przytomność. – Nikt poza matką nie zrozumie, co to znaczy usłyszeć syna po ponad tysiącu dniach. Oglądałam raz po raz, jak moje dziecko leży zakrwawione w śniegu, a oni je biją. To był taki ból serca, jakby ktoś mi je ciął nożem.

Chodzi o materiał filmowy, który nagrali rosyjscy dziennikarze. Trafił do internetu. Kilku rannych Ukraińców leży na śniegu. „Swoi?” – pyta któryś z nich słabo. „Da, swoi... Rosjanie!” – ironizują mężczyźni w mundurach, kopiąc rannego.

Teraz Tatiana nie odstępowała syna na krok. Choć Sasza ma ponad 30 lat, gdy tylko wyjdzie gdzieś na dłużej niż kwadrans, od razu się niepokoi. Gdzie mój syneczek? Dzwoni do niego, sprawdza, czy wszystko w porządku. On się wtedy denerwuje: – Mamo, daj spokój. Dorosły jestem, dam sobie radę.

Ale zaraz przeprosza: – Mamusiu, nie chciałem. Wszystko rozumiem, zaraz przyjdę.

Sasza czytał o psychologii stresu pourazowego. – Wiem, że ten problem dotyka nie tylko nas, ale też nasze rodziny. Mama przez trzy lata prawie nie spała. Potrzebuje psychoterapii tak samo jak ja.

Gdy do Saszy przychodzi inni byli jeńcy i zaczynają wspominać niewolę, Tatiana wyjmując białą chusteczkę z materiału. Ociera oczy. – Nie mogę słuchać, co wyście, dzieci, przeżyli!

– Mamo, nie płacz, już jestem w domu – obejmuje ją syn.

– To nagranie to jeszcze nic – mówi, gdy matka nie słucha. – Potem było gorzej.

Jak wtedy, gdy na przesłuchanie przyszedł też jeden Ukraińiec. – Miał może z 18 lat. Myślałem, że to też jeniec, z batalionów ochotniczych. A ten dzieciak wyceLOWAŁ mi w głowę z pistoletu. Tamci powiedzieli, że to ich człowiek od rozstrzelowań. Już byłem pewien, że to koniec. Ale zmienili zdanie. Potem przychodził pod celę, zadawał pytania. Pewnie myśleli, że powiemy mu więcej niż im. Mówił bez przekonania, jak robot. „Mały, co z tobą?” – próbowałem jakoś do niego dotrzeć. Patrzył nieobecny wzrokiem. Ot, co mogą zrobić z człowiekiem. Dzieciaka złamali. Nie wiem, co się z nim stało.

Co dalej? – Podreperuję zdrowie i będę chciał wrócić na front. Chcę zemsty. Będę z nimi walczył, za cały ten ból, za łzy mamy, ale też za tego dzieciaka.

Święto uwolnionych

Stół wigilijny, w sobotę 6 stycznia, zapelnia to, co przynieśli do szpitala mieszkańcy Kijowa. Prawie każda potrawa z innego domu. Po stolicy rozeszło się, że większość jeńców straciła w niewoli zęby. Dlatego wśród wigilijnych potraw są banany, kefir, mus jabłkowy.

Toasty wznoszą w plastikowych kubkach z sokiem. Za zwycięstwo. Za kolegów, którzy zostali w niewoli. Za poległych.

Obok Andrija Bessaraba siedzi żona Natalia i dwaj synowie. Założyła odświętną wyszywankę. – Jaka piękna rodzina! Wszyscy tacy czarnoocy, o tatarskiej urodzie – zachwycają się pielęgniarci.

Natalia: – Jeszcze nie było pewności, czy męża wypuszczą, a już kupiłam sukienkę, nowe buty, sweterek. Planowałam, w co się ubiorę, gdy wróci... Myślałam sobie, że jeśli go nie wypuszczą, to podrę to wszystko! 585 dni bez Andrija. Nie przeżyłabym już chyba ani dnia więcej.

– Przyzwyczaiłam się, że wszystko robię sama – mówi żona. – Tyle czasu byłam dla dzieci jednocześnie matką i ojcem. A on się denerwuje: już wróciłem, pozwól mi się sobą zająć, to ja jestem mężczyzną... On musi się przyzwyczaić, że jest wolny. A ja, że nie muszę już o niego walczyć. Wciąż trudno mi uwierzyć, że wrócił. Miałam nadzieję, że będziemy w domu na święta. Ale nie wypisali go jeszcze. To nic, najważniejsze, że jesteśmy razem.

Drzwi do stołówek ciągle się otwierają. Niektórzy z odwiedzających przyjechali z innych regionów kraju, żeby, jak mówią,



„Jeszcze nie było pewności, czy męża wypuszczą, a już kupiłam sukienkę. Planowałam, w co się ubiorę, gdy wróci, jak się mu pokażę...”. Natalia i jej mąż Andrij na spotkaniu wigilijnym.

podziękować i uściskać ręce bohaterom. – Bohaterami są ci, co zginęli – odpowiadają wtedy.

Trzymają się razem. Jeszcze nie przyzwyczaili się do wolności. Wokół dziennikarzy, wolontariuszy, dziesiątki obcych ludzi. – Okropnie tu. Tylu ludzi, tyle gadania. Wróciłbym już do pokoju – mruczą, raz po raz wychodząc na papierosa.

– Nasze słoneczka, nasi obrońcy! Mam małeńkie wnuki, wiem, że wychowują się spokojnie dzięki wam – tulą ich starsze panie. Wciskają w ręce siatki z wypiekami.

– Mój syn walczył w Szczastii – mówi jakaś kobieta. – Zaginął we wrześniu 2014 r. Jego dowódca mówi, że poległ. Ale wierzę, że żyje. Może ktoś z was go widział? Przypuszczam, że przeszkadzam, i tak chciałam do was zajrzeć... Ale pomyślałam, że zapytam. Może ktoś tu mojego syna pamięta? – pokazuje zdjęcia w telefonie.

Telefon krąży z rąk do rąk. Oglądają zdjęcia, choć niektórzy walczyli daleko od podługańskiej Szczastii. Oglądają ci, którzy do armii dołączyli dwa lata później. Nikomu nic się nie przypomina. Przykro im, ale syna nie widzieli.

Dowód na istnienie

– Ta wymiana jeńców była jak gra w „gorące krzesła” – mówi Natalia. – Liczba krzesła jest mniejsza od liczby graczy. Wiedzieliśmy, że ktoś musi zostać. Każdy modlił się, żeby trafiło na kogoś innego.

Listą do wymiany miała 74 miejsca. Oficjalnie w niewoli jest 172 ukraińskich jeńców. Niemal stu musiało więc zostać. Ale faktyczna ich liczba może być nawet dwa razy większa. Bo poza listą oficjalną jest jeszcze nieoficjalna. Jedynym dowodem na istnienie wielu jeńców, trzyma-

nych w piwnicach gdzieś w DNR albo LNR (tj. „republice” donieckiej lub ługańskiej), są ich zrozpaczeni bliscy.

– Mój mąż jest w LNR. Ale Rosja nie potwierdza, że ma go w niewoli – mówi Wiktor Iwańczuk. – Nie przysługuje mu prawo do korespondencji, nie przychodzą do niego paczki. Jest odcięty od świata. Pewnie nawet nie wie, że tu o niego walczę. A ja biegam po organizacjach międzynarodowych i błagam je o pomoc. Przecież Czerwony Krzyż powinien się tym zajmować.

Ze względu na to, że na Ukrainie oficjalnie nie ma wojny, a jedynie „operacja antyterrorystyczna”, jeńców nie chroni konwencja genewska. Nie są jeńcami wojennymi, lecz zakładnikami. – Czy to znaczy, że nie ma znaczenia, czy męża porwał dla okupu jakiś mafioso, czy wojsko Rosyjskiej Federacji? Przecież to absurd! – denerwuje się żona.

Bohdan Pantiuszenko, dowódca czołgu Iwana, wciąż jest w niewoli. – Trudno się cieszyć wolnością, gdy pamiętasz o tych, którzy zostali – mówią zwolnieni.

Nie wymieniono też Aleksandra Korinkowa, który na wojnę pojechał tuż ze swojego miesiąca miodowego. Z żoną umówili się, że na prawdziwy miesiąc miodowy pojedą, jak wróci z wojska. Żona czeka od trzech lat.

Na liście nie było też Siergieja Glondara. Jego czteroletnia córka próbuje pisać koślawymi literami: „Tato, wracaj do domu”.

– Nowy Rok to było moje ulubione święto – mówi Katia, żona jeńca. – Teraz nienawidzę świąt. To już trzecie święta, jak wyjaśniam dzieciom, że tata chce być z nami, i że gdy tylko będzie mógł, przyjedzie do domu.

„A gdzie tata? Czy będzie na Nowy Rok? A czemu Dziadek Mróz nie może przynieść taty pod choinkę? Prezenty może, to czemu taty nie?” – pytają ją dwie córki. Niespełna trzyletniej Ani ojciec jeszcze nie poznał. – Tej rany czas nie uleczy. Z każdym dniem boli bardziej – mówi. – Kto odda nam ten czas?

Drugie życie

– Ofiara żołnierza, który idzie na wojnę, aby bronić kraju, jest ofiarą Chrystusową, chłopcy! – przemawia brodaty wojskowy kapelan. – Nie chodzi mi tutaj o śmierć za ojczyznę. Chodzi o gotowość do poświęcenia się za to, żeby inni mogli żyć bezpiecznie. To jest dokładnie to, co uczynił Jezus. Każde wyjście w bój to dla żołnierza pogodzenie się ze śmiercią za swoich towarzyszy broni. Wasze wyjście z niewoli to prawie zmartwychwstanie, drugie życie.

Na razie trudno im się otrząsnąć z tego, co przeżyli w pierwszym.

Każdy ma teraz grubą teczkę dokumentacji medycznej. A tam: wylewy krwi do mózgu na wskutek bicia, zniszczone stawy, zmiany w narządach wewnętrznych, wrzody. 29-latek utyka, tamci zatrzasnęli mu drzwi na kolanie. U innego wykryto gruźlicę. U jeszcze innego – żółtaczkę. Kręgosłupy niby dwudziestoparoletnie, a jak u emerytów. No i zrujnowane nerwy. Kulą się, gdy machnąć przy nich ręką.

– To drugie życie będzie gorsze. Wracamy do niego jak kalecy – mówią.

Tych, którzy byli zawodowymi wojskowymi, niepokoją plotki, że zwolnionych jeńców nie przyjmują znów do armii. Podobno dowództwo boi się, że Rosjanie mogli któregoś zwerbować.

Iwan nie ma pomysłu na to drugie życie. Ale woli się nad tym nie zastanawiać. – Co dalej? Nie wiem. Chciałbym kiedyś kupić traktor, uprawiać ziemię. Moją, ukraińską, w końcu za nią walczyłem. Ale na razie najważniejsze, żeby wszyscy nasi wrócili. O tym myślę.

Wspólnie, bo tak raźniej, dzwonią do żony Bohdana. Tego, który wciąż jest w Doniecku. Składają życzenia. Każdy takie same: żeby spełniło się jej marzenie. Wiadomo, jakie.

– Niech wie, że o jej mężu ktoś pamięta – mówi Sasza.

– Na każdej wojnie jest strefa ziemi niczyjej, taki pas pomiędzy, którego nikt nie kontroluje – dodaje. – Na tej wojnie mamy ludzi niczyzych. Niby jeńcy, a bez żadnych praw. Nie zostawimy Bohdana i jego rodziny. On nie jest niczyj. Jest jednym z nas. Dopóki nie wyjdzie, dla nas drugiego życia nie będzie. ©

MONIKA ANDRUSZEWSKA



Dezynfekcja – kadr z filmu „Chauka, proszę, powiedz nam, która godzina”

Gdy śpiew ptaka odmierza godziny

PATRYCJA BUKALSKA

Mieli nadzieję na nowe życie w Australii. Trafili do jednego ze słynnych obozów na wyspach na Pacyfiku. Ich los zwrócił uwagę świata na australijską politykę imigracyjną. Szczególną politykę.

CO TO ZNACZY – STRACIĆ PONAD CZTERY lata życia? Lata spędzone na czekaniu, na udręczeniu poprzez czas, który płynie, ale donikąd nie prowadzi.

W styczniu w Cambridge pokazano film „Chauka, proszę, powiedz nam, która godzina”. Pokazuje on, czym jest czas dla imigrantów przetrzymywanych w australijskim tzw. obozie przejściowym na wyspie Manus na Pacyfiku. Wcześniej film pokazywano na wielu festiwalach, w marcu będzie można obejrzeć go w Berlinie. Jego autor, kurdyjski uchodźca Behrouz Boochani, wciąż nie jest wolny.

Chauka z Manus

Chauka to ptak z rodziny miodojadów, rząd wróblowych. Jest mały, ale bardzo głośny. Żyje tylko na Manus i jest symbolem wyspy. To według jego śpiewu mieszkańcy określają porę dnia. Jego imię nosiła też wyizolowana część obozu dla uchodźców na wyspie. Oraz film, zrobiony przez jednego z nich.

Behrouz Boochani spędził w obozie już ponad cztery lata. Jest kurdyjskim poetą i dziennikarzem, rodem z Iranu, z którego musiał uciekać w 2013 r. Próbował dostać się do Australii – i utknął na wyspie

Manus. Stąd niestrudzenie wysyłał informacje do światowych mediów, m.in. do brytyjskiego dziennika „Guardian”. Wysyłał w szczególny sposób: były to fragmenty informacji i zapisków, przekazywane telefonem. Stopniowo, po kawałku, składały się na teksty – bo całości wysłać nie mógł.

Tak samo powstał film: nakręcony telefonem komórkowym i we fragmentach przesyłany do Arasha Kamali Sarvestaniego, mieszkającego w Holandii producenta i współreżysera.

Oboz na Manus – to było ponad tysiąc mężczyzn, trzymany tam przez miesiące i lata. Nie mogli pracować, nie mogli się uczyć. Mogli tylko trwać. W obozie była przemoc, nadużycia, czasem śmierć. Ale Boochani nie chciał epatować brutalnymi scenami. Chciał opowiedzieć, jak boli czas – ten czas, który nic nie wypełnia, i który nie ma końca.

Obozy na wyspach

Dziś obozu na Manus już nie ma. Sąd Najwyższy Papui-Nowej Gwinei – państwa, któremu Australia płaciła za to, że mogła na jego terenie utrzymywać obóz „swoich” internowanych – uznał, że ograniczenie swobody poruszania się ludzi, którzy nie

popelnili przeciw żadnego przestępstwa, jest niezgodne z konstytucją kraju.

Oboz został zlikwidowany w listopadzie 2017 r. Towarzyszyły temu protesty przetrzymywanych tam mężczyzn, w tym Boochaniego. Nie odzyskali oni bowiem wolności, ani ich prawna sytuacja się nie zmieniła – z obozu mieli zostać przeniesieni w inne miejsce, na innej wyspie, w ich odczuciu gorsze i mniej bezpieczne.

Protestującym odcięto prąd i wodę, pozbawiono żywności, potem wkroczyła policja z metalowymi prętami. Rząd Australii – mimo trwającej od lat krytyki ze strony ONZ czy organizacji pozarządowych, jak Amnesty International – nie zamierza zmienić zdania co do swojej szczególnej polityki wobec uchodźców, którzy usiłują przybyć do państwa-kontynentu nielegalnie drogą morską.

Polega ona głównie na odstraszeniu. Ci, którzy usiłują dotrzeć do Australii, np. łodziami z Indonezji, mogą być pewni tylko jednego: raczej nigdy nie staną na australijskiej ziemi. Jeśli ich łodzi nie zawróci lub nie odholuje okręt australijskiej marynarki wojennej, to trafią właśnie do eksterytorialnych obozów dla imigrantów – na Nauru czy do niedawna na Manus.

Nie ma żadnego terminu, w którym ich wnioski o azyl miałyby zostać rozpatrzone. Ale nawet jeśli zostanie on uznany za zasadny, to będą mogli osiedlić się jedynie w Papui-Nowej Gwinei czy Nauru. Albo w Kambodży. Rząd Australii płaci tym krajom za to, że chcą przyjmować tych, których nie chciała Australia.

Tak zwany program „Pacific Solution” trwa już od lat. Władze australijskie podkreślają, że chodzi im o zwalczanie przemytu ludzi, odebranie zarobku szmuglerom i zniechęcenie imigrantów do niebezpiecznej morskiej przeprawy.

Imigracja tak, ale...

Kilka tygodni temu Komitet Praw Człowieka ONZ opublikował raport dotyczący Australii, w którym wyraził zaniepokojenie warunkami panującymi w obozach w Papui-Nowej Gwinei i na Nauru. Na liście założeń jest m.in. rozważenie wstrzymania dalszych transferów uchodźców do tych miejsc, zamknięcie ośrodka internowania na Wyspie Bożego Narodzenia oraz ograniczenie maksymalnego czasu internowania.

Ale nie wydaje się, by australijski rząd zmienił swoją politykę. Bo jeśli chodzi o jej cele – czyli kontrolę nad imigracją i odstraszenie uchodźców, którzy próbują dostać się do kraju nielegalnie, drogą morską – jest ona bardzo efektywna.

Opinia społeczna państwa-kontynentu jest co do niej podzielona: mniej więcej połowa Australijczyków uważa, że imigrantom z eksterytorialnych obozów nie należy pozwolić na osiedlenie się w Australii – i niemal tyle samo jest przekonanych, że należy ich przyjąć. Jednak nawet ci przeciwni sprowadzeniu ich do kraju są zaniepokojeni warunkami w obozach.

I to jest sedno całej sprawy: chodzi o sposób traktowania imigrantów próbujących dostać się do kraju nielegalnie. Państwo australijskie przyjmuje chętnie imigrantów – lecz tylko tych, których zechce przyjąć.

Dwa miliony w dziesięć lat

„Co roku Australia, kraj liczący 24 mln ludzi, przyjmuje ok. 200 tys. imigrantów. To,

ujmując rzecz inaczej, dwa miliony w ciągu 10 lat” – mówi „Tygodnikowi” australijski pisarz Richard Flanagan [rozmowę z nim publikujemy na str. 48 – red.].

To ci, którzy starali się o prawo pobytu oficjalną drogą i otrzymali stałą wizę, w ramach legalnego programu migracyjnego. W ramach tego programu, zakrojonego na wielką skalę, Australia dobiera sobie tych, których chce przyjąć. Kryterium doboru mogą być umiejętności zawodowe lub więzi rodzinne. Część z tych 200 tys. nie musi zresztą przybywać na kontynent – oni mogą już tutaj od jakiegoś czasu mieszkać, w oparciu o inne wizy, np. studenckie. Nie są to nowi przybysze, lecz ci, którzy przyjechali tu czasowo, a postanowili zostać na stałe.

→



Behrouz Boochani, autor filmu (z lewej). Nagrane komórką sceny z obozu przesyłał we fragmentach do producenta w Holandii.



Oboz na Manus zlikwidowano w listopadzie 2017 r., ale osadzeni mężczyźni nie odzyskali wolności – przeniesiono ich na inną wyspę.

→ Coroczna liczba przyjmowanych w ten sposób, a także dobór zawodów, jakie powinni posiadać (bo czasem bardziej potrzebni od chirurgów mogą być np. hydraulicy), czy też odsetek tych, którzy aplikują, powołując się na australijskich krewnych – wszystkie te czynniki mogą się zmieniać. Jeszcze kilkanaście lat temu bywało więc, że kraj przyjmował około 100 tys. imigrantów rocznie, potem ta liczba rosła. Teraz oscyluje wokół około 200 tys. rocznie. Najwięcej imigrantów, przyjmowanych tą drogą, pochodzi ostatnio z Indii, Chin i Wielkiej Brytanii.

Australia ma też osobny program humanitarny, w ramach którego co roku przyjmuje oficjalnie kilkanaście tysięcy uchodźców. Np. ze względu na wojnę trwającą w Syrii, w 2015 r. zadeklarowała przyjęcie dodatkowych 12 tys. uchodźców z tego kraju.

Jak premier z prezydentem

Dlaczego więc problemem okazuje się niewiele ponad tysiąc uchodźców przetrzymywanych na Manus albo w innych wyspiarskich obozach? To przecież liczba bez znaczenia w skali całej imigracji do Australii...

Chodzi o zasadę: za nieustępliwością australijskich władz stoi przekonanie, że danie jakiegokolwiek nadziei ludziom z obozów spowoduje, że w ślad za nimi poprzez morze ruszą kolejni. W ten sposób im gorszy staje się wizerunek Australii w sprawie obozów, tym lepiej dla jej polityki odstrasza... I tutaj nic się chyba nie zmieni.

Historia kurdyjskiego poety Behrouza Boochani stała się znana, bo jest on artystą i dziennikarzem. To sprawiło, że jego głos został usłyszany. Mówiono o nim w australijskim parlamencie, wstawili się za nim intelektualiści – w tym Richard Flanagan.

Jednak jego los jest taki sam jak innych internowanych, tych, o których nie mówi się na świecie. To, kim są, jest bez znaczenia. „Jeśli dopłyniesz do Australii łodzią, nawet jeśli myślimy, że jesteś najlepszą osobą na świecie, że jesteś geniuszem z Nagrodą Nobla, nie wpuszczymy cię” – tak premier Malcolm Turnbull miał przed rokiem wyjaśniać prezydentowi Trumpowi założenia australijskiej polityki imigracyjnej.

„Jesteś gorszy niż ja” – miał stwierdzić Trump.

©P

PATRYCJA BUKALSKA

Dwa oblicza Australii

RICHARD FLANAGAN, AUSTRALIJSKI PISARZ:

Celowe okrucieństwo, widoczne w działaniach naszego rządu, stoi w sprzeczności z ostatnimi 70 latami w naszej historii, które stały pod znakiem tolerancji.

PATRYCJA BUKALSKA: Kryzys w obozie na Manus skłonił Pana do napisania komentarza krytycznego wobec rządu Australii, który opublikował brytyjski „Guardian”. Co Pana skłoniło, by zabrać głos?

RICHARD FLANAGAN: Gdy usłyszałem, że Behrouz Boochani został zatrzymany przez pomocniczy oddział policji z Papui-Nowej Gwinei, znany jako „Lotna Drużyna”, zacząłem się bać o jego bezpieczeństwo. Ten oddział jest znany z naruszania praw człowieka. Za swoje usługi przy utrzymywaniu „bezpieczeństwa” w obozie na Manus jest opłacany przez australijski rząd.

Boochani to kurdyjski poeta, który przez ostatnie cztery lata z wielką odwagą informował o tym, co się dzieje na Manus. Czasami jego opowieści miały formę fragmentarycznych wiadomości, wysyłanych z telefonu. To było oczywiste, że stał się celem. Pomyślałem, że jeśli coś napiszę, może go to trochę ochroni. I przypomniał Australijczykom oraz ludziom z innych krajów, że to, co się dzieje na tej wyspie, to łamanie prawa.

Kryzys na Manus to jeden z wielu problemów australijskiego systemu imigracyjnego. W innych obozach, np. na Nauru, też dochodziło do nadużyć. Co o tym myślą sami Australijczycy? Oficjalnie takie operacje jak „Pacific Solution” prezentowane są jako sukces, skoro zmniejsza się liczba ludzi próbujących dostać się do Australii.

Wielu Australijczyków się wstydzi. Ale są i tacy, którzy nie mają nic przeciwko prześladowaniu uchodźców. Oraz tacy, którzy wolą o tym nie wiedzieć i nie myśleć. Ale nie mam wątpliwości, że większość Australijczyków byłaby oburzona, gdyby tylko wiedziała więcej. Problemem nie są Australijczycy, lecz jadowita polityka, która rozwinęła się w kraju, a w której kwestia uchodźców to narzędzie do zdobywania głosów. Im bardziej ta kwestia staje

się toksyczna, tym bardziej zwiększają się wysiłki rządu, by wypaczyć debatę na ten temat i ukryć prawdę o obozach. Tak, aby Australijczycy nie mogli się dowiedzieć, co się robi w ich imieniu.

Od końca lat 90. XX w. obie główne partie odeszły od wcześniejszej polityki, bardziej przyjaznej uchodźcom, na rzecz polityki w duchu Machiavellego. Odwołują się do ksenofobii skrajnej prawicy, by zdobyć trochę więcej głosów. To krótkoterminowe strategie, by wygrać wybory i powstrzymać skrajną prawicę, ale skutki będą długotrwałe. W ten sposób nasi przywódcy przyczynili się do rozpalenia nietolerancji i nienawiści, które zostały wzmocnione po 11 września 2001 r. przez demonizowanie muzułmanów w krajach zachodnich.

Wzrost populizmu i nacjonalizmu, czerpiącego z kryzysu uchodźczego, widać w wielu krajach, nie tylko w Australii. Nawet w Polsce, gdzie właściwie nie ma uchodźców. Ludzie boją się tego, co nieznane, i politycy wykorzystują ten lęk. Ale Australia to przecież kraj założony przez imigrantów – czy jej historia nie wpływa na nastawienie ludzi?

Z pewnością. Moja żona jest córką uchodźców z Jugosławii, którzy opuścili swój kraj jeszcze pod koniec lat 50. XX w. Moje trzy córki są zatem wnuczkami uchodźców. Paradoks Australii – który jest rzadko rozumiany nawet u nas w kraju – polega na tym, że jej polityka prześladowania uchodźców przybywających na łodziach jest sprzeczna z jednym z największych na świecie – licząc na głowę mieszkańca – programów imigracyjnych. Nadal jesteśmy krajem imigrantów. Co roku Australia, kraj liczący 24 mln ludzi, przyjmuje ok. 200 tys. imigrantów [chodzi o liczbę osób dostających stałą wizę w ramach legalnego programu imigracyjnego; patrz tekst Patrycji Bukalskiej – red.]. To, ujmując rzecz inaczej, dwa miliony w ciągu 10 lat. Prawie poło-

wa Australijczyków urodziła się gdzieś indziej lub ma przynajmniej jednego rodzica spoza tego kontynentu. Procent ludzi, którzy urodzili się poza granicami kraju, jest w Australii wyższy niż w jakimkolwiek państwie z wysoką imigracją. To aż 26 proc., prawie dwa razy więcej niż w USA, gdzie takich ludzi jest 14 proc. I ci ludzie w zasadzie się zakorzenili. Australia ma też jeden z najwyższych w świecie wskaźników małżeństw mieszanych, między różnymi grupami etnicznymi.

Jak więc to wszystko rozumieć?

Celowe okrucieństwo, widoczne w działaniach naszego rządu, stoi w sprzeczności z ostatnimi 70 latami naszej historii, które stały pod znakiem tolerancji. Ale reżuuje z czasami dawniejszymi, nietolerancji i przemocy. W pewien sposób odbijają się tu dwie historie naszego kraju. Jedną to represyjna, rasistowska wersja historii, sięgająca czasów inwazji kontynentu i wojny przeciw Aborygenom. Druga historia ukształtowała się po II wojnie światowej i jest opowieścią o przyjęciu i zaakceptowaniu imigrantów oraz uchodźców z całego świata. W obu historiach chodzi o triumf politycznej wizji: jednej rasistowskiej, drugiej tolerancyjnej. Ta druga sprawiła, że nasz kraj odniósł sukces. Teraz ten sukces i harmonia są zagrożone.

W „Guardianie” pisał Pan: „Kiedyś wydawało się, że możemy stać się światłem przewodnim wolności i tolerancji, krajem ludzi, którzy przyjęli wypędzonych, tak jak sami kiedyś byli przyjmowani”. To się zmieniło?

Australia jest już inna?

Zmieniła się, bo politycy igrali z rasizmem dla politycznych zysków, a teraz nie wiedzą, jak to piekło ugasić. Ludzie chcą, aby ten problem rozwiązać, ale polityka nie może już dostarczyć rozwiązania. Podstawowym obowiązkiem polityków wobec społeczeństwa jest zbliżenie ludzi do siebie nawzajem. Nienawiść, ukryta w politycznych działaniach, prowadzi tylko do podziałów i – jeśli nie jest kontrolowana – do katastrofy. W latach 80. spędziłem wiele czasu w Jugosławii i widziałem, jak harmonijne i tolerancyjne społeczeństwo zostało doprowadzone do ludobójczej wojny przez garstkę polityków, wykorzystujących nienawiść do zdobycia i utrzymania władzy.

Manus to dla Pana symptom głębszych problemów z demokracją i prawami obywatelskimi. Nie tylko prawami uchodźców, ale też samych Australij-



WOJCIECH WANDZEL / CONRAD FESTIVAL

RICHARD FLANAGAN (ur. 1961) jest australijskim pisarzem pochodzącym z Tasmanii. Uważany za najwybitniejszego przedstawiciela swojego pokolenia, jest autorem powieści. Publikuje też artykuły prasowe, eseje, scenariusze, reżyseruje filmy. Laureat wielu nagród, w tym prestiżowej Nagrody Bookera, którą otrzymał w 2014 r. za powieść „Ścieżki Północy”. Jego książki tłumaczono na wiele języków. W lutym w Polsce nakładem Wydawnictwa Literackiego ukaże się jego książka „Nieznana terrorystka”.

czyków, skoro nie wpuszczano tam dziennikarzy. Podstawowe prawa człowieka są dziś w świecie zagrożone? Czy rezygnujemy z nich, w zamian za pozory bezpieczeństwa i stabilności?

Wszędzie na świecie zbyt szybko zapomnieliśmy, że prawa obywatelskie to nie puste słowa, lecz nasza ochrona przed tyranią. Nawet jeśli nie mamy szacunku dla uchodźców, dla ich godności i praw, ale szanujemy samych siebie, jeśli cenimy własną godność i wolność, to nie powinniśmy pozwalać na to, jak oni są traktowani. Jeśli społeczeństwo raz przyjmie, że niektórzy ludzie są warci mniej niż inni, zaczyna iść mroczną drogą.

Boochani pisał: „Chodzi o wolność, a często się o tym zapomina. Nie należy komplikować rzeczy, aby je zrozumieć. To proste i jasne”. Czy w tej masie szczegółów, o których dyskutuje się w kwestii uchodźców, zapominamy, jak ważna jest wolność? Pan pisał, że prawda i wolność są jedynymi istotnymi celami. Można dodać jeszcze: godność.

Godność jest dowodem wolności. To wolność w działaniu. Protesty na Manus były takim domaganiem się uznania ludzkiej godności przez uchodźców, którzy byli tam trzymani przez cztery lata. Swo-

im pokojowym protestem chcieli powiedzieć, że w sercach nadal są wolnymi ludźmi. Boochani miał rację, chodzi o wolność. Dlatego australijski rząd tak bardzo starał się zagłuszyć prawdę o tym, co się dzieje na Manus i Nauru. Gdyby Australijczycy się dowiedzieli, co wyczynia się w ich imieniu, nie byłoby to już możliwe. Australijski rząd tak bardzo boi się prawdy, że przez pewien czas wprowadził zapis prawny, iż każdy pracownik medyczny i edukacyjny, pracujący z uchodźcami w tych obozach, który publicznie poinformowałby o aktach przemocy, samobójstwach, samookaleczaniu, gwałtach czy seksualnym wykorzystywaniu dzieci – a wiemy, że do takich rzeczy dochodziło – mógł trafić do więzienia na dwa lata. W ten sposób nie tylko odmawia się wolności uchodźcom, lecz także sprawia, że wolność w moim kraju jest zagrożona.

W trudnych czasach pisarz ma szczególne obowiązki?

Pisarz nie ma innego obowiązku i innej odpowiedzialności, niż dobrze pisać. Niektórzy z największych, jak Kafka, nie napisali nic bezpośrednio o swoich czasach, ale pisali proroczo. Reszta to sprawa każdego z nas, mnie i mojego sumienia. Chcę żyć w wolności, nie w strachu, więc czasem piszę nie tylko powieści, ale też eseje i artykuły. Przez swoje eseje dowiedziałem się, że ludzie odczuwają głód prawdy, który jest tak samo realny jak głód fizyczny. Dlatego prawda będzie usłyszana, ponad kłamstwami, ponad płatną propagandą. Dlatego rozmawiamy teraz o prawdzie, jaką jeden człowiek, taki jak Boochani, może przemycić z obozu internowania, nawet jeśli jest poskładana z krótkich wiadomości tekstowych. Jedyłą jego siłą jest siła prawdy.

Niedługo w Polsce ukaże się Pana książka „Nieznana terrorystka”, będąca gorzką diagnozą świata. Nie wiele chyba się tu zmieniło od jej pierwszego wydania w 2006 r. Jakież są dziś wyzwania dla całego świata, nie tylko dla Australijczyków?

Żebyśmy zrozumieli, że to my sami wybieramy, czy będziemy wolni, czy zniewoleni. Na świecie pojawiają się tyrani, ale pojawiają się też tysiące ludzi poddających się niewoli. Jeśli mamy żyć jak wolni ludzie, to musimy każdego dnia postępować jak ludzie wolni. Jeśli każdy z nas będzie żył w tej prawdzie, możemy zacząć wzmacniać walące się fundamenty naszej wolności. Mam nadzieję, że tak się stanie. ©P

Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

Tyrani tak, idioci nie

ANNA ŁABUSZEWSKA

Rosyjskie Ministerstwo Kultury nie zgodziło się, aby na ekrany kin trafiła komedia „Śmierć Stalina”. Dyskusja, która potem wybuchła, wiele mówi o współczesnej Rosji.

JEDNI WOŁAJĄ: „A NIEDOCZEKANIE WASZE! Nie będziecie sobie stroić żartów z naszego wielkiego wodza, najważniejszej postaci w rosyjskiej historii współczesnej. To bluźnierstwo, świętokradztwo, rzecz niedopuszczalna!”. Inni ripostują: „Cóż za brednie! Film to film, dlaczego minister kultury wprowadza cenzurę?”.

Tak można streścić argumenty, które krążą w rosyjskich mediach w związku z wycofaniem przez Ministerstwo Kultury zezwolenia na dystrybucję filmu „Śmierć Stalina”. Ważne polityczne czynniki uznały, że ta brawurowa komedia francusko-brytyjska w reżyserii Armanda Iannucciego – ukazująca sytuację, która powstała po śmierci Stalina w marcu 1953 r. – nie zasługuje na to, aby pokazywać ją w Rosji.

Premiera „Śmierci Stalina” miała odbyć się w Rosji w miniony czwartek, 25 stycznia. Tydzień wcześniej ministerstwo wydało zezwolenie na dystrybucję – i choć od kilku tygodni przedstawiciele partii komunistycznej toczyli pianę, że film ich obraża, miał on trafić do kin.

Stało się inaczej. Komisja społeczna przy Ministerstwie Kultury, zapoznawszy się z filmem na specjalnym pokazie, orzekła, że obraz ten nie jest wybitnym dziełem ani w sensie historycznym, ani artystycznym. A na dodatek obraża jak leci: hymn i flagę Związku Sowieckiego, marszałka Żukowa (jednego z dowódców Armii Czerwonej podczas II wojny światowej, zdobywcy Berlina) i w ogóle pamięć wielkich czasów i wielkich czynów. Poza tym – uznała komisja – na ekranie rozgrywają się sceny przemocy, obrażany jest człowiek sowiecki, poniża się jego wartość, wzbudza nienawiść na tle przynależności klasowej, a to są jawne oznaki ekstremizmu. Jednym słowem: nie godzien jest ten film, by go rosyjski widz oglądał. Głosom członków komisji



Plakat francusko-brytyjskiego filmu „Śmierć Stalina”

przysłuchał się minister kultury Władimir Medinski i przychylił się do jej negatywnej opinii. Choć wcześniej nie miał nic przeciwko filmowi, teraz rzekł za innymi: basta. Premierę odwołano.

WIELKI TYRAN, WIELKA EPOKA W rosyjskich mediach zawrzało. Natychmiast uformowały się dwa obozy: za i przeciw. „Toż to walka ideologiczna przeciw naszemu krajowi. Film obraża pamięć naszych weteranów. Premiera takiego filmu nie może się odbyć w przeddzień 75-lecia bitwy stalingradzkiej” – dowodził przewodniczący wspomnianej komisji. Wtórował mu dyrektor towarzystwa wojskowo-historycznego: „Obrzydliwość, ten film obraża rosyjską historię. Bohaterowie naszej historii przedstawieni są jak idioci. Oni mogli być tyranami, ale nie byli idiotami”.

Także obecny na komisyjnym pokazie reżyser Nikita Michajłow oznajmił, że to paszkwil na rosyjską historię, a nie żaden tam film. Tak, to ten sam Michajłow, który jakiś czas temu zdecydował, że jego drugą część filmu „Spaleni słońcem” (obraz, nawiasem mówiąc, niezbyt udany) otworzy znakomita scena: bohater filmu Kotow, grany zresztą przez samego Michajłowa, chwytą za czuprynę

Stalina i wciska mu twarz w gigantyczny tort. Natomiast deputowana Jelena Drapko, w przeszłości znana aktorka, z trybuny Dumy Państwowej wezwała, aby odtworzyć istniejące ongiś w Związku Sowieckim komisje ds. etyki i moralności, które wyznaczałyby wzorce i pilnowały odpowiednich treści w utworach teatralnych i filmowych.

Z kolei w drugim obozie panuje przekonanie, że zakazy na nic się nie zdadzą – to po pierwsze. A po drugie, że Rosja daje powód, aby cały świat śmiał się z jej przewrażliwienia i braku poczucia humoru. Krytyk Andriej Archangielski uważa, że film powinien trafić do dystrybucji: „Opinia rosyjskiego widza o tamtych czasach została uformowana przez seriale, a te na ogół są słabe i wypaczają pogląd o epoce stalinowskiej. W myśl tego przekazu – a twórcy dbają tylko o to, aby nikogo nie obrazić – epoka była wielka, tyran był wielki i wszystkie czyny jego takież”.

Tymczasem, twierdzi Archangielski, w przypadku „Śmierci Stalina” nie ma podstaw, by się obrażać: „To czarna komedia, a to całkowicie zmienia punkt widzenia, nie można tego traktować poważnie. Ale urzędnicy nie chcą dopuścić do dystrybucji. Być może dlatego, że władze odbierają wszelką krytykę sowieckich wodzów



MATERIAŁY PRASOWE

jako krytykę pod swoim adresem i dlatego jej nie chcą i nie chcą kpiarskich filmów”.

ZOBACZYĆ ŚMIERĆ PRZYWÓDCY W istocie, Ministerstwo Kultury pod wodzą Medynskiego produkuje „właściwą” wersję historii, w odpowiednich utworach o odpowiednich wydarzeniach. Prawda historyczna rozjeżdża się w nich z prawdą ekranu? Nie szkodzi. Za to przekaz jest właściwy, krzepi skolatanę rosyjskie dusze. I o to chodzi.

W szczególnie sposób reakcje na film Iannucciego komentuje pisarz Aleksiej Cwietkow: „Dlaczego przeciw dystrybucji tego filmu protestują putiniści wszelkiej maści i patriotyczni miłośnicy silnego państwa? Dlatego, że putinizm proponuje nie polityczne, ale administracyjne podejście do historii, czyli: gdy rządzą silni liderzy, jest dobrze, a jak rządzą słabi, to jest kiepsko. Państwo w ideologii putinizmu to samodzielna siła i wartość (...), dlatego putinista wielbi i cara, i Stalina, i obecnego prezydenta – i nie widzi między nimi różnicy”. Cwietkow konstatuje, że film po prostu obraża Kreml – i że stąd protesty, a na końcu zakaz.

Dalej poszła blogerka Tata Gutmacher: „We współczesnej Rosji rządzi nie tyle tyran, ile tchórzostwo tego tyрана. I jego wiara w zabobon. Przecież on nie może pozwolić narodowi, aby ten zobaczył śmierć innego tyрана, swojego poprzednika. Na dodatek w przeddzień wyborów”. Chodzi o wybory prezydenckie – te odbędą się wkrótce, w marcu.

Losy filmu komisja złożyła w ręce prokuratora generalnego, który teraz ma przeświecać obraz na okoliczność imputowanego ekstremizmu. A po rosyjskim internecie rozlewa się dyskusja o swobodzie wypowiedzi (tj. jej braku), o miejscu Stalina w historii i wykorzystywaniu wizerunku Stalina dla celów politycznych obecnej ekipy.

Tymczasem ośrodek badań socjologicznych WCIOM ogłosił rezultaty sondażu, kogo Rosjanie uważają za głównych idoli XX stulecia. Pierwsze miejsce zajął kosmonauta Jurij Gagarin, drugie poeta i bard Władimir Wysocki. Za nimi uplasował się marszałek Żukow, pisarze Lew Tolstoj i Aleksander Sołżenicyn. A zaraz potem: Józef Stalin. Wódz, którego śmierci Rosjanie nadal nie chcą. Kult kultu jednostki ma się dobrze. ©

TYGODNIK CZYTELNIKÓW



Sprawa polska w styczniu 1918

Zaskoczyło mnie stwierdzenie w tekście Tomasza Targańskiego („Pierwszy styczeń roku osiemnastego”, „TP” 1-2), że 1 stycznia 1918 r., „Polski nie było i nic nie wskazywało, aby powstała”. Potem zresztą znajdujemy w tekście tezę przeciwną, gdy mowa jest o Królestwie Polskim „administrowanym (...) z mocy państw centralnych”, i gdy cytowana jest rezolucja ludowców, mówiąca o państwie polskim nie jako o bycie przyszłym, ale już istniejącym. Potem znów czytamy, że dopiero po listopadzie 1918 r. trzeba było budować strukturę państwa i wojska nieomal z niczego. Jak w legionowej

piosence: „Ni z tego, ni z owego / była Polska na pierwszego”... Tymczasem tak nie było. Królestwo Polskie – przywrócone w 1916 r. przez Niemcy i Austrię na okupowanych przez nie ziemiach Cesarstwa Rosyjskiego – nie było państwem niepodległym, ale było państwem. Można zastanawiać się, czy Polska Siła Zbrojna była wojskiem polskim – ale była wojskiem Królestwa Polskiego. Za kilka dni, 8 stycznia 1918 r., prezydent Woodrow Wilson ogłosił preliminarium pokoju z Niemcami, zawierające postulat niepodległości Polski. Więc jak to „nic nie wskazywało”? Od schyłku 1917 r. polonizowano stare struktury administracyjne, od października Królestwem rządziła (prawda, że w wąskich granicach) Rada Regencyjna. Kładziono fundamenty, które pozwoliły szybciej i łatwiej ugruntować owoce Drugiego Powstania Listopadowego (bo tu zgadzam się z Targań-

skim: wydarzenia z końca 1918 r. miały w całości, a nie tylko w Wielkopolsce, charakter powstania). Cenna okazała się zwłaszcza Siła Zbrojna: załazek wszystkich rodzajów broni, kwatermistrzostwo, gotowe regulaminy po polsku etc. Bez niej Piłsudskiemu byłoby trudniej. Ale było coś jeszcze, co rzadko dostrzegamy. Zaborcy nie utworzyli Królestwa Polskiego, ale je przywrócili. To samo Królestwo, które ustanowił sto lat wcześniej kongres wiedeński, a któremu car odebrał potem autonomię, ale nigdy formalnie go nie zniósł. W świecie, w którym obowiązywała zasada legitymizmu (prawa do istnienia formalnie uznanych państw), był to istotny atut. Choć proklamowanie (przez Wilsona) zasady samostanowienia narodów osłabiło jego znaczenie. I jeszcze jedno, na marginesie tekstu Marcina Napiórkowskiego z tego samego numeru: życie codzienne, stosunki społeczne

etc. od wieków rozwijają się w ramach tworzonych przez państwa. Badając ich historię, nie możemy od tych ram abstrahować. A gdy je uwzględnimy, zobaczymy np., że w listopadzie 1918 r. wszyscy Polacy, kobiety i mężczyźni na równi, uzyskali powszechne i równe prawo wyborcze (wcześniej obowiązywały systemy wyborcze państw zaborczych, a w Pierwszej Rzeczypospolitej prawo wyborcze jeszcze nie istniało). I że dla elit budujących Drugą Rzeczpospolitą równość praw wyborczych także w tym aspekcie musiała być oczywistością, skoro decyzja ta była jednym z pierwszych aktów nowego państwa. Warto przypomnieć stulecie także tego wydarzenia – ale nie warto przeciwstawiać go rocznicy odzyskania niepodległości, odbudowy państwa polskiego. To był jeden z jego elementów.

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI
Warszawa

Jak czytać przyszłość

RADOSŁAW ZYZIK

Nie ma dowodów na to, by w trafnym prognozowaniu pomagała kryształowa kula. Ani nawet dostęp do tajnych materiałów agencji wywiadowczej.

RZĄDY, INSTYTUTY BADAWCZE, THINK-tanki, agencje wywiadowcze, wojsko przeznaczają ogromne środki na przewidywanie przyszłych wydarzeń istotnych dla bezpieczeństwa państwa, interesów ekonomicznych i politycznych. O ile łatwiej byłoby podejmować decyzje, gdyby dało się odgadnąć, kiedy nadejdzie kolejny kryzys ekonomiczny, czy Rosja zaatakuje państwa bałtyckie, co się stanie ze strefą euro, czy i jak Unia Europejska rozwiąże problem nielegalnej imigracji...

Niestety, przewidywanie nawet bliskiej przyszłości z reguły wychodzi nam słabo. Niewielu ekspertów ostrzegało przed wywołaniem przez Rosję wojny hybrydowej z Ukrainą, katastrofalnym kryzysem ekonomicznym z 2008 r., wygraną Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich w USA, puczem w Turcji czy wreszcie Brexitem.

Za eksperta zwykło uważać się człowieka posiadającego wiedzę, wykształcenie, czasem afiliację, lub uważanego w środowisku za osobę, która wie więcej od innych. Od takich ekspertów aż roi się w telewizji, gdzie nie tylko wyjaśniają, co się stało lub dzieje, ale także formułują przewidywania. A gdybyśmy zaczęli mierzyć stopień trafności ich prognoz?

Szympanś z lotkami

Philip Tetlock, profesor prestiżowej Wharton School of the University of Pennsylvania, od 1984 r. prowadzi studia nad trafno-

ścią przewidywań ekspertów. W 2005 r. opublikował „*Expert Political Judgement*”, dziś już bestseller zaliczany do klasyki nauk społecznych.

Prawie trzystu analityków miało oceniać prawdopodobieństwo tysięcy prognoz, wśród których były np. pytania o to, czy bańka internetowa na rynkach finansowych pęknie, czy Kanada się rozpadnie, albo czy dojdzie do puczu w Arabii Saudyjskiej. Pojawiały się również pytania o wzrost emisji CO₂ na jednego mieszkańca czy o wzrost PKB w danym roku w wybranym państwie. Wyniki nie były zachwycające – do historii przeszło powiedzenie, że statystyczny ekspert ma taką samą szansę na trafne przewidzenie przyszłości, jak... rzucający lotką szympanś na trafienie w środek tarczy.

Są jednak wyjątki.

Lisy i jeże

Tetlock, pożyczając metaforę od filozofa Isaiaha Berlina, umieścił wszystkich ludzi na osi, na którego jednym końcu znajdują się lisy, a na drugim jeże.

Jeże patrzą na świat przez pryzmat jednej czy dwóch wielkich idei dotyczących ludzkiej natury, gospodarki czy państwa i dzięki temu porządkują fakty oraz na ich podstawie prognozują. Takimi ideami mogą być niezachwiana wiara w wolny rynek, przekonanie o imperialnym charakterze polityki rosyjskiej, wizja człowieka jako istoty słabej i z gruntu niezaradnej, którą należy prowadzić za rękę. Jeże są pewne siebie, swoje poglądy wypowiadają stanowczo, nie zapuszczają się w niuanse, a złożoną rzeczywistość – prawną, gospodarczą czy międzynarodową – sprowadzają do prostych wniosków. Jeśli cenisz prostotę przekazu, stanowczość i przywiązanie do jednej koncepcji – prawdopodobnie jesteś jeżem.

Lisy z kolei nie ufają wielkim ideom, myślą indukcyjnie, koncentrują się na szczegółach. Jeśli jeże znają dobrze jedną czy dwie duże teorie, to lisy wiedzą niewiele o wielu kwestiach. Jeśli chodzi o trafność prognoz politycznych i ekonomicznych, lisy biją jeże na głowę. Lepiej przewidują wydarzenia tak w bliskiej, jak i w odległej przyszłości. Jeże im więcej wiedzą, tym gorzej adaptują się do rzeczywistości i tym słabiej wykorzystują zmieniającą się sytuację do korekty swoich przewidywań.



HUGO PHILPOTT / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

U lisów zdolności adaptacyjne są znacznie wyższe. Jedną z ważnych cech ekspertów-lisów jest brak wiary w analogie z przeszłości. Programowo wątpią w powiedzenie, że historia jest nauczycielką życia.

Łatwo uznać, że to lisy powinny częściej gościć w mediach informacyjnych. Niemniej goście, którzy często używają słów „nie jestem pewien, ale...”, „istnieje prawdopodobieństwo, że...”, albo, co gorsza, tacy, którzy zgadzają się z innymi mimo różnych afiliacji ideologicznych, nie są idealnymi uczestnikami telewizyjnych dyskusji. Znacznie lepsze – bo bardziej efekciarskie – jest zaproszenie jeży, które zdecydowanie zwalczają oponenta z niezachwianym przekonaniem o własnej nieomyślności.

Turniej dla jasnowidzów

W 2011 r. Tetlock rozpoczął kolejny projekt badawczy: *Good Judgement Project* (GJP), w ramach którego kilka tysięcy zwykłych ludzi próbowało przewidzieć takie wydarzenia jak wybuch wojny na Półwyspie Koreańskim, krach na rynku złota czy wybuch rewolucji w Rosji. Celem badania było sprawdzenie, które czynniki pomagają zwiększyć celność prognoz, w jakim okresie następuje dobra zmiana i czy zmiany takie mogą kumulatywnie poprawiać trafność przewidywań.

GJP był jednym z pięciu projektów, które wzięły udział w turnieju zorganizowa-



Zakłady bukmacherskie w Londynie, 2008 r.

Zawodne algorytmy

W USA decyzje o m.in. przedterminowym zwolnieniu więźniów podejmuje się często na podstawie prognoz recydywy, które wykonuje program komputerowy. Jak jednak wykazali ostatnio Julia Dressel i Hany Farid, popularny program COMPAS (od 2000 r. ocenił ponad milion sprawców) radzi sobie z takim zadaniem na poziomie przeciętnego człowieka pozbawionego doświadczenia (ok. 65-67 proc. skuteczności). Co więcej, COMPAS, który bierze pod uwagę 137 cech skazańców, nie osiąga większej skuteczności niż algorytmy, które prognozują na podstawie zaledwie dwóch cech.

nym i sponsorowanym przez Intelligence Advanced Research Projects Activity. IARPA to instytucja mająca poprawiać jakość pracy agencji odpowiadających za bezpieczeństwo w Stanach Zjednoczonych. Powstała w 2006 r. w odpowiedzi na największy błąd w historii wywiadu, którym był raport z listopada 2002 r., stwierdzający że Saddam Husajn posiada broń masowego rażenia. W 2002 r. przemysł wywiadowczy w USA zatrudniał prawie sto tysięcy pracowników, a ich wspólny budżet wynosił (podobno) ponad 50 mld dolarów. A jednak cała ta armia analityków, specjalistów, informatyków i szpiegów popełniła błąd, który kosztował 1,7 bln dolarów (na rok 2013) oraz tysiące zabitych i okaleczonych żołnierzy.

Każdy zespół uczestniczący w turnieju IARPA miał odpowiadać na ponad pięćset pytań i każdego dnia od września 2011 do czerwca 2015 r. o godzinie dziewiętej rano przysyłać swoje prognozy. W pierwszym roku prognozy zespołu Tetlocka były trafniejsze o 60 proc. niż prognozy grupy kontrolnej. W drugim roku jego grupa była lepsza od grupy kontrolnej o 78 proc., była również lepsza od projektów afiliowanych przy prestiżowych uczelniach w USA o 30 a nawet 70 proc. GJP był lepszy nawet od analityków agencji wywiadowczych mających dostęp do tajnych informacji. Sukces Tetlocka i jego projektu był

tak duży, że IARPA podziękowała innym drużynom i skoncentrowała się na GJP.

Superprognozowanie

W projekcie Tetlocka celność prognoz była mierzona tzw. wskaźnikiem Brier. Jeśli jesteś w stanie idealnie przewidzieć przyszłość, to osiągasz wskaźnik 0. Jeśli mówimy o idealnie losowym przewidywaniu przyszłości, to uzyskujemy 0,5 według Brier. A jeśli nie mamy pojęcia, co się wydarzy, i zawsze się mylimy, to uzyskujemy wskaźnik Brier na poziomie 2,0.

Najlepszy wynik uzyskał emerytowany programista Doug Lorch, który uzyskał trafność na poziomie 0,14. Emeryt mieszkający w Santa Barbara, nieposiadający ani specjalistycznej wiedzy, ani doświadczenia, ani dostępu do tajnych informacji, samodzielnie zdominował turniej już w drugim roku jego trwania.

Takich jak on superprognozistów było aż 58 – wśród nich inni emerytowani programiści, pracownicy biurowi, gospodynie domowe. Każdy otrzymywał na koniec roku kupon Amazona o wartości 250 dolarów. Roczne koszty osobowe wszystkich superprognozistów wyniosły więc 14 500 dolarów, a ich zespół był lepszy w przewidywaniu przyszłości niż dwadzieścia tysięcy analityków pracujących w różnych agencjach wywiadowczych. Superprogności potrafili przewidywać na trzysta dni do

przodu z takich samym prawdopodobieństwem, jak zwykli progności przewidywali wydarzenia najbliższych stu dni.

Poradnik dobrego analityka

W napisanej razem z dziennikarzem Danem Gardnerem książce „Superprognozowanie” Tetlock podsumował projekt GJP i zamieścił kilka porad dobrego analityka.

Na przykład warto „szerzej kadrować problem”. Pytać, jak często dane zdarzenia w ogóle występują, a następnie dostosowywać prognozę do aktualnej sytuacji. Innym rozwiązaniem jest rozłożenie problemu na czynniki pierwsze i postawienie dodatkowych pytań. Zamiast wprost przewidywać, czy do 2020 r. wybuchnie wojna pomiędzy USA a Koreą Północną, lepiej zwrócić uwagę na takie kwestie jak prawdopodobieństwo wystąpienia rakiet dalekiego zasięgu czy konfliktu na morzu pomiędzy statkami północno- i południowokoreańskimi, a potem dostosowywać prognozę pod wpływem kolejnych faktów. Przywiązanie do detali sprawi, że twoje szanse na występ w telewizji zmaleją, ale trafność prognoz wzrośnie. Jak bardzo? Według Tetlocka, jeśli zastosujesz się do wszystkich jego porad, nawet o 10 proc. ©

Autor jest doktorem prawa, wicedyrektorem Instytutu Nauk o Polityce i Administracji w Akademii Ignatianum w Krakowie.

MÓJ KONTYNENT

WOJCIECH JAGIELSKI, REPORTER:

W Indiach zorientowałem się,
że Trzeci Świat to jest mój świat.
Nieogarniony, ten, o którym chcę opowiadać.

ADRIAN STACHOWSKI: Pana też Indie prawie na amen wciągnęły, prawda? W połowie lat 80., jeszcze zanim został Pan dziennikarzem.

WOJCIECH JAGIELSKI: Bardzo. Nic innego mnie tak nie wciągnęło jak Indie. Za żadnym innym krajem – może jeszcze RPA – nie tęsknię jak za Indiami. To fizyczna tęsknota.

Jak się Pan tam znalazł?

Żona mnie zabrała. Tego samego dnia, którego się poznaliśmy, powiedziała, że jedzie z grupą ludzi do Indii; jechała po raz kolejny. Zapytała, czy bym nie pojechał z nimi. Dla mnie Indie były poza światem, to było tak, jakby ktoś zaproponował mi lot w kosmos. Trochę już jeździłem, ale po Polsce, autostopem, jeśli za granicę, to na saksy do Wielkiej Brytanii. A oni zaplanowali całą podróż: Tajlandia, Malezja, Singapur i dopiero Indie. Zdecydowałem się ze względu na Grażynę. Gdyby chciała pojechać do Sochaczewa, tobym pojechał do Sochaczewa. Ale wybrała Indie.

W Delhi odłączyliśmy się od grupy i na własną rękę pojechaliśmy na wschód, do Waranasi, Bhubaneswaru, Orissy, później na południe do Mahabalipuramu, Madrasu, Madurai, do Karnataki, Goa... Jeździliśmy miesiąc. Intensywnie, często na gapę.

To był chyba wtedy mało popularny kierunek?

Było tam wielu Polaków, przyjeżdżali głównie na handel. Bezpośredni lot

z Warszawy kosztował trochę więcej niż sto dolarów. Wystarczyło kupić whisky i parę elektronicznych drobiazgów na lotnisku i sprzedać na miejscu, żeby się zwróciło. Kiedyś zabrałem zegarek, który potem chciałem sprzedać pewnemu hotelarzowi. Targowaliśmy się i powiedziałem mu, że ten zegarek wiele dla mnie znaczy, bo dostałem go na osiemnaste urodziny od ojca, co oczywiście nie było prawdą. Tylko wzruszył ramionami i powiedział, że nie rozumie, dlaczego chcę mu tak drogo sprzedać taki stary zegarek. Chciał koszulę, ale miałem tylko jedną.

Teraz myślę, że pewnie byśmy tam jeździli dużo częściej i na dłużej, ale dostałem pracę w Polskiej Agencji Prasowej i zachorowałem na dziennikarstwo.

Co te Indie Panu zrobiły, że tak wciągnęły?

Trudno powiedzieć. To jak miłość od pierwszego wejrzenia. Nie da się tego racjonalizować. Zresztą, wróciliśmy z Grażyną z tych Indii i zaraz się pobraliśmy. Później byliśmy tam wielokrotnie. Za kilka dni znów jedziemy. Tym razem z synem, pokazać mu tę część świata, zanim przestanie chcieć jeździć z rodzicami.

Nadal nie rozumiem.

I pewnie tak powinno zostać, bo nie wszystko na szczęście da się wytłumaczyć.

Chodzi o widoki, zapachy, atmosferę?

O wszystko. Swoją drogą w tych widokach nie ma nic fajnego. To, za czym tęsknię, to zaułki Pahargandzu, biednej i brudnej dzielnicy przydworcowej Delhi, z tanimi hotelami i tanimi knajpami. Zalatuje tam wszystkim, życiem po prostu. A mnie to się podoba. Myślę, że gdzieś tam trzeba szukać początku mojego dziennikarstwa związanego z tamtą częścią świata. Wcześniej myślałem o Afryce, o Trzecim Świecie, chociaż bardzo nie lubię tego określenia, ale to w Indiach zorientowałem się, że ten Trzeci Świat to mój świat, ten, o którym chcę opowiadać. Chociaż już wtedy wiedziałem, że to, czego mogę dowiedzieć się o Indiach, to nic wobec prawdziwej

GRAŻYNA MAKARA





Raju Baba, sadhu z Waranasi, Indie, lipiec 2014 r.

o nich wiedzy. Indie to kontynent sam w sobie i to tylko przypadek, że nie jest oddzielony od reszty Azji.

Na przestrzeni lat napisałem stamtąd kilka tekstów, ale to były proste artykuły relacjonujące bieżące wydarzenia. Coś takiego napisze każdy dziennikarz, który wie, jak zdobywać informacje. Ale pisać o Indiach głębiej, o biedzie, o duchowości... to coś zupełnie innego. Podczas jednej z podróży spotkałem profesora Marię Krzysztofa Byrskiego, jednego z najlepszych indologów na świecie, wielki autorytet. To mnie zabezpieczyło przed mądrzeniem się. Wiedziałem, że jak coś napiszę, muszę się liczyć z tym, iż profesor może to przeczytać.

Znalazłem jeden z tych tekstów. Oto „Pocztówka z Delhi”, z roku 1995: „Wieczorami po Pahargandżu snują się długowłosi, poubierani w fantastyczne stroje wędrowcy i poszukiwacze przygód z Europy i Ameryki. W kafejkach na ulicy nad wieloma stolikami unosi się słodki zapach marihuany. Dziewczyna z kołczykiem w nosie i paciorkach na szyi gra na gitarze »Light my fire«, frazując jak Jim Morrison”. Wygląda na to, że temat nowej książki, „Na wschód od zachodu”, chodził za Panem ponad 20 lat.

Albo i dłużej. Hipisi to byli fascynujący ludzie. Wcześniej tylko o nich słyszałem, a poza tym słuchałem ich muzyki. Fascy-

nowali, bo uwolnili się od oczekiwań innych ludzi, powiedzieli sobie, że to oni się liczą, a nie to, czego chcą od nich inni. Fascynowali, bo oni to zrobili, tak naprawdę. Myślę, że jest w nas rodzaj podziwu dla tych, którzy robią coś radykalnego. Byłem ciekaw, jak to jest być kimś takim, co to znaczy zerwać z tym tak zwanym normalnym życiem, z konwenansem. Fascynowała mnie ta nienormalność, skrajność. Tak, myślę, że nosiłem w sobie tę książkę, odkąd zacząłem tam jeździć jako dziennikarz. W końcu uświadomiłem sobie, że jeżdżę po tych samych krajach co oni, tylko że jako korespondent wojenny, i widzę tam nieustanne wojny, morze krwi, krainę zbrodni.

→

→ A oni szukają tam spokoju ducha i oświecenia.

Jak można było nie widzieć tego, co ja widziałem? Liczyłem na to, że te podróże do Indii kiedyś złożą mi się w coś, co będę mógł opowiedzieć. Sądziłem, że to będzie może ostatnia książka, którą napiszę już na końcu, kiedy wszystko pozbieram. To nie był nawet pomysł na książkę, ale luźna myśl, podkład muzyczny, który porbrzmiewa gdzieś w tle. W końcu uznałem, że wezmę się za porządną dokumentację. Ale wtem natrafiłem na trudności. Nie do końca wiedziałem, o czym ma być ta książka i jak ją napisać. Nie miałem fabuły, bohaterów.

Znaczenie swoich poprzednich książek czasami zamykał Pan w zgrabnych sentencjach. „Wieże z kamienia” były o szaleństwie niezbędnym do odważnych czynów, „Wypalanie traw” o rozczerwaniu rewolucją, „Trębacz z Tembisy” opowiadał o pasji, która nadaje życiu sens. A „Na wschód od zachodu”?

Skoro mnie pan przypiera, powiem, że o tęsknocie i marzeniach. I o złudzeniach, które pielęgnujemy, bo tak wygodniej nam żyć. Nie da się żyć bez wyobrażenia o ideałach, bez celu. Ta książka jest o tęsknocie za czymś wielkim.

Próbowałem różnych pomysłów, by o tym napisać. W końcu Grażyna przypomniała mi o Kamal. Kamal, wcześniej Kamila, jest córką mojej znajomej, dziennikarki. Wyjechała z Polski, bo wybrała Indie. Dwa lata temu zadzwoniłem do jej brata, by pomógł mi ją znaleźć. Okazało się, że akurat była w Polsce. Po prostu przekazał jej słuchawkę.

A tyle Pan jej szukał! W połowie lat 90., kiedy często jeździł Pan do Afganistanu, to jej matka prosiła Pana, by spróbował ją odnaleźć.

A poznaliśmy się w Polsce. Spotkaliśmy się w Warszawie. Umówiliśmy się, że pojedę do niej do Indii, do aśramy w Kerali. Później napisała, że jednak nie spotkamy się w Kerali, bo jedzie do Dharamsali, więc spotkamy się w Delhi. I pojechałem.

Dlaczego Kamal była ważna?

Wyjechała na Wschód, kiedy już to nie było modne. Jej przejście na drugą stronę było przemyślane. Była wychowywana w Polsce na kogoś takiego jak ja, miała być dziennikarką. Wyjechała, bo nie chciała być wtłoczona w zwykłe życie, ten szlak, na którym, chcemy czy nie chcemy, poruszamy się w górę i w dół, w tę i z powro-

tem. Ona chciała skrócić, chciała czegoś innego. Po wielu podróżach wybrała Indie. Chciałem się dowiedzieć, dlaczego wciąż tam jest.

Czekając w Delhi na Kamal, poznał Pan Świętego, Holendra, który porzucił Zachód już w latach 60., drugiego bohatera książki.

Od lat zaczępiałem zachodnich hipisów, których spotykałem w Indiach. Przysiadalem się do nich, zagajałem, pytałem o to i owo. Nie wszyscy umieli dobrze opowiadać, a on umiał. Szukałem bohatera, więc na któregoś z nich musiałem w końcu postawić. Postawiłem na Świętego.

Ile czasu z nim Pan spędził?

Kilka dni, ale na rozmowie – w sumie pewnie kilka godzin.

A powstało z tego pół książki. To mnie ciekawi w Pańskich książkach już od dawna. Bardzo szczegółowo opisuje Pan historie bohaterów i sytuacje, których nie był świadkiem. Zastanawiam się, jak Pan to robi.

Przygotowuję się do rozmów, dużo czytuję. Może nie tysiąc stron na jedną napisaną, jak mówił Kapuściński, ale sto – już tak. Poza tym byłem w miejscach, w których bywali moi bohaterowie. Święty mówił mi dużo o plażach w Goa. Byłem tam, wiem, jak wyglądają. Poznałem człowieka, który był przywódcą tamtejszej wspólnoty hipisów, nazywał się Eddie Osiem Palców. I jak Święty opowiadał o Goa, nie potrzebowałem scenografii, bo już ją miałem. Kiedy mówił, że mieszkał w rybackiej chacie, mogłem ją opisać, bo też w takiej mieszałem. Zdaję sobie sprawę, że to nie jest zgodne z kanonicznym wyobrażeniem o reportażu. Wiem, że to rodzaj nadużycia. Bo skąd niby wiem, że jego chata wyglądała tak samo jak moja? Ale ja się nie upieram, że piszę kanoniczny reportaż. To moja opowieść.

Ile Święty ma lat?

Urodził się w 1945 r., więc jest po siedemdziesiątce. Wielu starych hipisów, którzy spędzili w Indiach tyle czasu co on, mówi, że są na tyle silni i znają siebie tak dobrze, iż mogą wrócić na Zachód i nie dać sobie narzucić tutejszych oczekiwań. To oczywiście ułudą, nie da się uniknąć tych zależności – trzeba pracować, płacić podatki – ale myślę, że Święty może wrócić. Tacy jak on zdają sobie sprawę, że są już starzy i zdrowie też już nie dopisuje jak kiedyś. Chcą doczekać końca w bezpiecznym miejscu. Można mieszkać w pojedynkę w pokoju

za trzy dolary, kiedy się tego chce, bo widzi się w tym przygodę. Ale odchodzić z tego świata samotnie, w tanim hotelu za trzy dolary – to musi być strasznie smutne. Myślę, że Święty wróci. Może już wrócił.

A Kamal?

Na dwoje babka wróżyła. Wiele zależy od tego, co zrobi jej syn, urodzony już w Indiach, Lhamo. Kamal wychowuje go po swojemu, nie nakłada na niego ograniczeń, nie szufladkuje go. Traktuje jak wolną istotę.

W książce widać, że Lhamo grawituje w stronę tego, od czego jego matka uciekała. Ma telefon, korzysta z internetu...

Jeśli on jej powie, że chce żyć w Polsce lub w Kanadzie, to jeśli chce być sobie wierna, musi mu pozwolić. Inaczej zdradzi samą siebie. Zresztą ona też mówiła, że jest na tyle silna, by wrócić na Zachód.

Jak odebrała to, że jest Pan nią zainteresowany jako pisarz?

Dziennikarz. Wiedziała, kim jestem, że jestem dziennikarzem i piszę książki. Kiedy powiedziałem jej, że chciałbym opowiedzieć jej historię, nie sprzeciwiła się, zareagowała trochę tak, jakby to było poza nią. Jeszcze w Warszawie dałem jej ostatnią książkę, „Wszystkie wojny Lary”. I jeszcze jedną, nie pamiętam już którą. Chciałem, żeby poznała, jak piszę.

„Wszystkie wojny Lary” to opowieść o Czeczenec, której synowie jadą do Syrii, by walczyć w szeregach tzw. Państwa Islamskiego. Dlaczego właśnie tę?

Chciałem, by zobaczyła, że napisałem o matce. Kiedy rozmawialiśmy w Dharamsali, że teraz chcę napisać o niej, powiedziała, że ta o Larze jej się spodobała. Wtem Lhamo się wtrącił: „przecież nawet jej nie przeczytałaś!”. Zostawiła pewnie tę książkę w którejś aśramie, żeby nie wozic ze sobą niczego niepotrzebnego. Dlatego myślę, że traktowała mnie trochę jak posłańca ze starego świata, jak przypomnienie poprzedniego życia. Ale powiedziała, że mogę o niej napisać, nie widzi przeszkód.

Ale to nie Pan o niej napisał.

Rozmawiałem z Kamal dwa tygodnie. W Polsce spotkałem się z jej matką i bratem. Rozumiałem ją do momentu, w którym zaczęła się zmieniać. A potem... jakby to powiedzieć... straciłem to, nie umiałem do niej dotrzeć. Zupełnie inaczej niż z Larą.

Dlaczego?

Empatyczne zrozumienie Lary było dla mnie łatwiejsze, bo jestem ojcem. Ze Świętym też było łatwo, mogłem sobie wyobrazić, że jestem na jego miejscu. On nie przeszedł na drugą stronę jak Kamal. A Kamal... Odpowiadała na moje pytania, mówiła po polsku, ale kiedy to spisałem, wciąż miałem niepokojące wrażenie, że nie rozumiem jej tak, jak należy, że mogę odtworzyć zdarzenia z jej życia, powtórzyć słowa, które wypowiada, ale nie powie to wiele o niej samej. Zaczęłem opowiadać o tym Grażynie. Okazało się, że ona rozumie Kamal doskonale. Uznałem więc, że może bardzo dobrze zrobić to książce, jeżeli to moje niezrozumienie zostanie wyeksponowane przez zupełnie inną narrację. Miało to jeszcze bardziej podkreślić przepaść dzielącą świat Kamal i nas, ludzi konwensu. Namówiłem, nie bez trudu, żonę do tego pomysłu. Ale nie ma jej nazwiska na okładce.

Jest za to na stronie redakcyjnej i w dedykacji. Dlaczego nie na okładce?

Nie chciała tego. Ja z kolei uważałem, że pominięcie jej udziału w ogóle byłoby oszustwem.

W tym rozdziale pojawia się postać dziennikarza. To Pan, prawda? Oczywiście.

Dziennikarz pyta Kamal: „Czy nie dostrzega pani jałowości takiej egzystencji? W końcu żyje pani sobie a muzom. Nikomu nic nie przyjdzie z tego doskonalenia się duchowego, z tego, że kiedyś dotrze pani do końca drogi. Dotrze i co?”. Widać po tych pytaniach, że Pan jej nie rozumie. Ale ona też nie rozumie Pańskich pytań. Na tym właśnie polega problem niemożności zrozumienia.

W swoich książkach często przyznaje się Pan do niepowodzeń. „Wieże z kamienia” opowiadają o tym, jak próbuje Pan zorganizować wywiad z Astanem Maschadowem. „Nocni wędrowcy” w istocie są o tym, że nie umie Pan napisać o dzieciach-żołnierzach, z kolei „Trębacz z Tembisy” to historia nieudanych podejść do wywiadu z Nelsonem Mandelą.

A teraz Kamal, którą oddaje Pan żonie.

Nie mam dobrej odpowiedzi. Zawsze nieufnie podchodziłem do ludzi, którzy potrafili wszystko zdefiniować, którym wszystko układało się w proste równanie.

Nigdy nie uważałem siebie za Sherlocka Holmesa, który przeprowadzi błyskotliwe śledztwo i na koniec wyjawia każdą tajemnicę.

Czy wszystko, czym się zajmujemy, kończy się triumfalnym sukcesem?

Ciekawy jest początek książki, w którym otwarcie pisze Pan o używkach. Ta książka zaczyna się od Pana na haju.

Traktowałem narkotyki bardzo incydentalnie, ale są w tym świecie, zwłaszcza te lekkie, jak konopie czy haszysz, powszechne. Kiedy w towarzystwie hipisów pojawiały się skręty, prędko odpadałem. Oni przekraczali granicę, a ja się chętnie do niej zbliżałem, ale nie miałem odwagi przejść na drugą stronę. Podróżowałem zwykle jako dziennikarz, więc nie mogłem tracić świadomości, kontroli. Kiedy zaczynały krążyć skręty, wołałem się zwykle wycofać, bo nie wiedziałem, co się ze mną stanie.

Widać też, że z radością pisze Pan w tej książce o muzyce. Słucha Pan tej samej, co hipisi, o których pisze: Bob Dylan, Jimi Hendrix, Neil Young.

Ostatnia muzyka, która do mnie przemawiała, to grunge, a to przecież dzieci hipisów. Nie wyobrażam sobie życia bez muzyki. Towarzyszy mi zawsze i wszędzie, podkreśla przeżycia, inspiruje, uspokaja, jest w jakimś sensie sposobem medytacji. Najbardziej żałuję, że nie umiem jej grać, i zazdroszczę tym, którzy to potrafią. Największym podziwem darzę zaś tych, którzy potrafią ją tworzyć. Dla mnie to najwyższy rodzaj wyobraźni. Myślę, że podobnie pojmowali muzykę ludzie, którzy pojawiają się w tej książce. Mam wrażenie, że dla hipisów i włóczęgów ich muzyka była najlepszym wyrazicielem absolutnie wszystkiego. Ja tak to przynajmniej odczuwam. Wystarczy się wsłuchać i niczego już nie trzeba tłumaczyć. Wyobrażałem sobie nawet, że może udałoby się dołączyć do książki płytę z muzyką, coś jakby ścieżkę dźwiękową.

Co by na niej było?

Listę mógłbym ciągnąć w nieskończoność. Musiałbym przede wszystkim zna-

leźć na niej miejsce dla Vana Morrisona i jego albumu „*Astral Weeks*”. Choć dziś nieco zapomniany, był, obok Dylana, Doorsów czy Grateful Dead, kimś najważniejszym w kanonie hipisowskiego rock and rolla, a „*Astral Weeks*” jedną z ulubionych płyt dzieci kwiatów podróżujących do Nepalu i Indii. Swoje samochody chrzčili „The Van Morrison”, w hołdzie pieśniarzowi. A dalej? „*The Times They Are a-Changin’*” i „*Like a Rolling Stone*” Dylana, „*All Along the Watchtower*”, ale w wykonaniu Jimiego Hendriksa, „*For What It’s Worth*” Buffalo Springfield, „*Heart of Gold*” i mój ukochany „*Powderfinger*” Neila Younga, „*Across the Universe*” Beatlesów, „*Gimme Shelter*” Rolling Stonesów, „*People Are Strange*” Doorsów, „*San Francisco Nights*” Erica Burdona i Animalsów, „*Bird on the Wire*” Leonarda Cohena, „*The Circle Game*” Joni Mitchell, „*Can’t Find My Way Home*” Blind Faith, „*Us and Them*” Pink Floydów, „*Dark Star*” Grateful Dead... Trochę by tego było, prawda?

Z każdą kolejną książką coraz bardziej oddala się Pan od pisania, z którym jest Pan najchętniej kojarzony. Tym razem wchodzi Pan na nowe dla siebie pole, bo interesuje Pana psychologia, duchowość... Nie boi się Pan, że w końcu zrazi do siebie czytelników, którzy oczekują tego, co zawsze? Jak Dylan, który zamienił gitarę akustyczną na elektryczną? Kiedy pierwszy raz zrobił to na koncercie, ktoś krzyknął: „Judaszu!”.

Nic na to nie poradzę. W moim pisaniu coś się skończyło. Już nie jeżdżę po świecie jako korespondent, nie oglądam wojen i rewolucji. I nie chcę pisać ciągle takich samych książek, o tym samym. Trzeba mieć litość dla czytelników. Szukam czegoś nowego, także dla siebie. Nawet jeżeli ta książka jest inna – to wciąż jest moją opowieścią. A że prowadzę czytelników w inne miejsca niż w poprzednich książkach?... To chyba nie jest powód do rozczarowania? Może warto spróbować? ©

Rozmawiał ADRIAN STACHOWSKI



GRAŻYNA MAKARA

WOJCIECH JAGIELSKI jest reporterem i pisarzem. Był korespondentem wojennym. Autor wielu książek. Pracował w „Gazecie Wyborczej” i Polskiej

Agencji Prasowej. Obecnie jest redaktorem i dziennikarzem „Tygodnika Powszechnego”. Właśnie ukazała się jego nowa książka „Na wschód od zachodu”.



Piotr Cieplak podczas próby „Elementarza”, Teatr Narodowy, Warszawa, 1 grudnia 2017 r.

Skradziony elementarz

DARIUSZ KOŚIŃSKI

Piotr Cieplak kiedyś robił najszybszy teatr w mieście. Teraz robi najgłębszy.

WYJECHAŁEM WCZEŚNIEJ. ZAWSZE WYJEżdżam wcześniej, bo nie lubię się spóźniać. Zwłaszcza do teatru lubię przychodzić bardziej niż punktualnie. Dać sobie czas, żeby w świat przedstawienia nie wpadać z biegu. Zapomniałem jednak, że to „czarna środa” i że centrum Warszawy będzie zablokowane. Przebycie trasy zajmującej zazwyczaj 15-20 minut rozciągnęło się dwukrotnie. Zziębnięty wpadłem do pustego już holu Teatru Narodowego niemal bez wiary, że obejrzę „Elementarz” Barbary Klickiej w reżyserii Piotra Cieplaka. Obsługa Narodowego ma jednak przećwiczone sposoby na takich delikwentów. Szybko przeprowadzony przez korytarze i windy, wszedłem na ciemną salę i zająłem pierwsze wolne miejsce.

Nie zdążyłem jeszcze złapać oddechu, gdy zaparła mi go pierwsza scena: rozmowa Ali (Edyta Olszówka) z Tatą (Waldemar Kowalczyk). Codzienna sytuacja z rodzinnego życia wyniesiona gdzieś wysoko nad podłogę sceny, przesycona hopperowskim światłem promieniującym z przedmiotów. Było w niej to, co przyciąga mnie do teatru Piotra Cieplaka od dawna: nieoczywista poetyckość, łącząca żart, ironię i głębsze znaczenie, kreowane środkami scenicznymi, używanymi w ich pełnym bogactwie.

Teatr dla martensów

O Cieplaku stało się głośno po wielkim sukcesie, jakim była inscenizacja „Historii o chwalebny Zmartwychwstaniu Pańskim” Mikołaja z Wilkowiecka we

Wrocławskim Teatrze Współczesnym (1993), przeniesiona potem do telewizji (ten sam tekst Cieplak zrealizował wkrótce w warszawskim Dramatycznym). To było niezwykle zaskoczenie, bo wydawało się, że po legendarnym przedstawieniu w reżyserii Kazimierza Dejmka (1962) z tą uznaną za szacowną, ale omijaną z powodu rozlicznych trudności staropolszczyzną nikt nie będzie się w stanie twórczo zmierzyć. Cieplak zrealizował przedstawienie dalekie i od wszelkiego dewocyjnego ilustracjonizmu, i od zachwyty nad ludową naiwnością. Udoświadnił, że należący do bardzo odległego czasu i świata dramat może być partnerem w myśleniu, w mierzeniu się z problemami jak najbardziej współczesnymi i że z tekstu jednoznacznie religijnego można wydobyć dalekie od ortodoksji napięcia metafizyczne. Tak też było w kolejnych przedstawieniach.

W tym kontekście przypomniano czasami, że studiując w krakowskiej szkole teatralnej, Cieplak był słuchaczem wykładów nieodżałowanego ks. prof. Józefa Tischnera, który wywarł wpływ na intelektualną i duchową formację grupy ważnych polskich reżyserów (także na przykład Anny Augustynowicz).

W drugiej połowie lat 90. Cieplak był jednym z twórców teatralnego przełomu. W 1997 r. został dyrektorem artystycznym warszawskich Rozmaitości, dla których wymyślił chwytliwy i potem często powtarzany slogan „najszybszy teatr w mieście”. Świadomie nakierował scenę przy Marszałkowskiej na komunikację z młodymi widzami, których od modnego wówczas obuwia nazwał „martensami”. Dyrekcję artystyczną Cieplaka otworzyła słynna premiera „Bzika tropikalnego” Witkacego w reżyserii Grzegorza Jarzyny, uważana dziś za przełomową datę w dziejach najnowszego teatru polskiego.

Jednak ten sojusz z rodzącym się „nowym teatrem” został wkrótce rozluźniony, jeśli nie wręcz zerwany. Już w październiku 1998 r. kierownictwo Rozmaitości objął Jarzyna, Cieplak zaś reżyserował na innych scenach, zwracając się ku innej estetyce i repertuariowi.

Upodobał sobie inscenizacje literatury dziecięcej, adresowane zarówno do dorosłych („Kubuś P.” według Milne’a w Teatrze Studio, 1999), jak i do dzieci („Ach, jak cudowna jest Panama” wg Janoscha w bielskiej Banialuce, 2002, i warszawskim Powszechnym, 2006). Pozostawał reżyserem cenionym, ale lokującym się na uboczu gwałtownie przybierającego na sile strumienia „nowości”, który z alterna-

tywnego dopływu zamieniał się właśnie w nurt główny.

Farsa i vanitas

Niektóre z jego wyborów repertuarowych były pełnym zaskoczeniem. Gdy zaczął w Powszechnym w Warszawie pracę nad „Słomkowym kapeluszem” (2005) – klasyczną farsą Eugène’a Labiche’a, decyzję tę można było potraktować jako rodzaj demonstracji. Oto wśród coraz gwałtowniejszych debat wokół teatralnych „ojcóbójców”, „pokolenia porno” i „teatru bez majtek”, niedzisiejszy sojusznik „martensów” sięgał po arcy-mieszczkański tekst, wręcz symbol wszystkiego, z czym walczył każdy „nowy teatr” od początku XX w.

Alte to, co zrobił Cieplak, okazało się wręcz nieprawdopodobne. Gdybym miał kiedyś wskazać kilka obrazów czy scen, które spośród tego, co widziałem w teatrze, najbardziej zapadły mi w pamięć, to z pewnością wymieniałbym odsłoniętą ceglana ścianę Teatru Powszechnego w Warszawie i stojących pod nią aktorów, mówiących w jakimś niezwykłym, nasączonym ciężarem sensu rytmem fragmenty „Czterech kwartetów” Thomasa S. Eliota. Rzadko, niezwykle rzadko zdarza mi się mieć poczucie, że oglądam w teatrze arcydzieło. Na „Słomkowym kapeluszu” je miałem – godzina dwadzieścia minut teatru doskonałego nie ze względu na mityczną „jakość rzemiosła” i równie mityczne „czyste piękno”. Pewnie i jedno, i drugie w tym przedstawieniu było, ale jego arcydzielność polegała dla mnie na tym, że oto teatr w całej swej mocy ujawniał się i był powoływany jako przestrzeń bezpośredniego doświadczenia, łączącego myślenie i poznanie niedostępne gdzie indziej i innymi środkami nieosiągalne.

Oczywiście można ten „Słomkowy kapelusze” opowiadać, analizować, interpretować. I nawet nie jest to jakoś szczególnie trudne. Tyle że sedno sensu i wartości tego przedstawienia jest na tej drodze niedostępne. Jakiś jego cień można zobaczyć, jakieś echo posłyszeć w rejestracji telewizyjnej, ale nie ma w niej siły, jaką miała obecność aktorów, napięcia powstającego między nimi a nami – tego wszystkiego, o czym sobie opowiadamy jako o rdzeniu specyfiki tej sztuki, czasem już nie wierząc, że nim rzeczywiście jest. Przedstawienia Cieplaka tę wiarę przywracają. Jego teatr nie służy wzmocnieniu kulturowego kapitału wielkich autorów i czczących ich widzów, nie jest też narzędziem używanym w takich czy innych walkach, i nie jest wehikułem teatr przekraczającym.

Na dobre i na złe Cieplak myśli teatrem, zamieszkuje teatr jako niedające się zastąpić środowisko twórczego reagowania na świat.

Jego przedstawienia usiłują czasem brać na sztandary przeciwnicy reżyserów politycznie zaangażowanych i krytycznie nastawionych dramaturżek. Druga strona niekiedy uznaje go za anachronicznego twórcę dostarczającego kulturalnej rozrywki miejskiej klasie średniej. Cieplak wymyka się jednak i jednym, i drugim. Nie stroni od politycznego zaangażowania, czego dowiódł na przykład głośnym „Albośmy to jacy tacy” wg „Wesela” Wyspiańskiego (Teatr Powszechny w Warszawie, 2007 – do obejrzenia na stronie nina.gov.pl), ale wydaje się być bliżej niż „nowi krytyczni reżyserzy” materii codzienności – z jej egzystencjalnym i metafizycznym podglebiem. Dowiodły tego dwa zrealizowane blisko siebie, wspaniałe przedstawienia: „Niedokończona historia” Artura Pałygi (Teatr Powszechny, 2012) i „Milczenie o Hiobie” (Teatr Narodowy, 2013). W obu poetyczna materia tekstowa wpleciona została w mistrzowską kompozycję gry aktorskiej, muzyki i operowania przestrzenią (Cieplak współpracuje ściśle ze scenografem Andrzejem Witkowskim). Gdy w „Milczeniu” przed oczyma widzów siedzących na scenie otwiera się ogromna, pusta przestrzeń widowni Teatru Narodowego, metafizyczne metafory przestrzenne nabierają zmysłowej konkretności, zostają dane do doświadczenia w sposób, jaki nigdzie i nigdy indziej w polskim teatrze nie będzie możliwy.

Na kota nie czas

Autorką tekstu „Elementarza” w Narodowym jest poetka Barbara Klicka, kontynuująca tradycję poezji operującej i grającej językiem – z pełną świadomością, że jego brzmienia i formy (także gramatyczne) są równie ważne jak znaczenia, albo też od nich nieodrywalne. Jej język to materia, z której zrobiona jest rzeczywistość. Można oczywiście powiedzieć, że w „Elementarzu” słowo jest ożywiane, umuzyyczniane i uprzestrzenniane, ale równie dobrze można to, co dzieje się na scenie Narodowego, nazwać usłowianiem ciała, muzyki i przestrzeni.

Główna bohaterka spektaklu, Ala, łącząca Alicję Lewisa Carrolla i postać z legendarnego elementarza Mariana Falskiego, przenosi się ze świata utraconego sensu i rozpadu, wybrzmiewającego w niemoście jej Taty, do „krajiny czarów”, która jest krainą liter. Na początku wydaje się ona rądem – tym jeszcze sprzed chwili, gdy Adam na polecenie Boga „nazwał wszystko stworzenie”. Przewodnikami po tej krainie będą dla Ali i dla nas Falski Marian (Monika Dryl) i Marian Falski (Bartłomiej Bobrowski) – mistrzowie polszczyzny i zarazem nauczyciele, regularnie proszący pod opieką, by powtórzyła to, czego uczą ją kolejne sekwencje.

Światem liter, tak jak całym światem, rządzi Bóg (Marcin Przybylski), który jest też „frontmanem” grającego na żywo zespołu. Bóg każe Adamowi (Piotr Grabowski) nadawać nazwy stworzeniom, a wraz z poznawaniem kolejnych liter pojawiają się na scenie kolejne postacie. Cela (Dominika ↪



„Elementarz” w reżyserii Piotra Cieplaka, występują: Bartłomiej Bobrowski (Marian Falski), Monika Dryl (Falski Marian), Edyta Olszówka (Ala)

YATO PHOTOGRAPHY / TEATR NARODOWY

→ Kluźniak) i jej „cacko” Felek (Robert Jarociński) w niemal farsowym tempie prowadzą wcale nie farsową opowieść o budowaniu miłości. Ona (Paulina Korthals) pojawia się przy C z wykładem o cynie, ale najważniejszą rolę odgrywa przy „F jak feminizm”. Wcześniej spod sceny wynurza się ścinający drzewo Drwal (Karol Pocheć), który w drugiej części powróci jako opiekujący się owocami w ogrodzie Ortolan. Podróż Ali odbywa się w porządku alfabety i do pewnego momentu ma charakter lekcji świata udzielanej nie przez, ale w języku.

Lęk i gra

Tak jednak jest tylko do czasu. Przy literze G muzycy, którzy wcześniej kołysali całą salę jazzującą pogodną piosenką, nagle atakują Alę, zmuszając ją do odmieniania słowa „gówniara”. Początkowa zabawa zmienia się w torturę, nad którą unoszą się ponure cienie Gmachu Gigantów i Legionu Godności. Gdy Ala zostanie pokonana, na scenę wkracza chór, by wyśpiewać pieśń o abecadle, które z pieca spadło i „w głowy nam jebło”: na tle zbiorowo wyśpiewywanych liter alfabety solistka czystym sopranem prowadzi swoistą litanię polskich wyzwick ułożonych w porządku alfabety. Przy U zamienia się ona w zdanie, którego orzeczeniem jest fraza „umieraj stąd”.

To przełomowy moment przedstawienia. Odtąd już nic nie będzie proste i niewinne. L to lęk, na który lękająca spazmatycznie Ala nie ma leku i na który nie pomaga coraz bardziej bezradne powtarzanie już nauczonej lekcji. Wprawdzie wraz z kolejnymi scenami będzie odzyskiwać równowagę, a w finale tej podróży jej Tato odzyska głos, ale nauka kolejnych liter traci swoją początkową przewidywalność i dyscyplinę, sprawia wrażenie inscenizowanej jakby wbrew sensom słów, tak jak wtedy, gdy Falscy starają się łagodzić sytuację obrazem „łowów na łęgach”. Więc choć budzi moją sympatię dialog dojrzewającej przy M miłości Cacek oraz wyzwalające „Nie” Ali i Onej, wypowiadającej swoje drobne niezgody na całościową narrację kobiecego buntu, w imię której jednocześnie z wiarą protestuje (scena ta w „czarną środę” brzmiała szczególnie aktualnie), to nie wierzę w nawrócenie Drwala na Ortolana. Bardziej wierzę (bo jak nie wierzyć) w nieobecność P, która nie bierze udziału w przedstawieniu, bo przemilczenie P też coś o niej mówi...

Podróż Ali kończy się przypomnieniem sceny z dzieciństwa, która jednak nie ma wiele wspólnego z powrotem do „krajiny niewinności i szczęścia”. Przynosi wypowiedziane przez ojca przypomnienie

o śmierci. Świat nie odzyskuje rajskiej prostoty i oczywistości. Adam w trzeciej próbie nadawania nazw stworzeniu tworzy imiona poetycko przesunięte, jakoś trafne, ale dalekie od prostych określeń chwytających bezpośrednio swój przedmiot. Język nieuchronnie odkleił się od świata. Żaden elementarz już tego nie naprawi.

Pytajnik

W finale spektaklu wszyscy aktorzy w prywatnych ubraniach gromadzą się na jakimś towarzyskim przyjęciu czy pikniku, bawiąc się w układanie całych zdań z wyrazów rozpoczynających się na tę samą literę. Są rozluźnieni, a ich gry wydają się niczym więcej niż towarzyską rozrywką. Czyżby był to autokomentarz twórców? Może nawet autoparodia? Wzięcie w nawias własnego wysiłku? Przecież podjęta w przedstawieniu próba odzyskania świata oparta została na tej samej zasadzie działania „po literkach” jak ta towarzyska zabawa, która zdaje się być pozbawiona istotnego znaczenia. Czyżby tylko tyle zostało chroniącym się w swoje kulturowe kapitały byłym inteligentom?

Ten znak zapytania, który zawisa nad finałem przedstawienia Ciepłaka, wydaje mi się ważniejszy i cenniejszy niż jego najlepsze nawet sceny. Jego krytycy pogrubiają pytajnik, oskarżając reżysera i teatr o pozór krytyki i wysubtelnienie środków zupełnie nieskuteczne w naszych gwałtownych czasach. Zwolennicy czasem czynią z niego oręż, podkreślając, że to właśnie o takie i tak wyrafinowane odniesienia do rzeczywistości im chodzi. Pytajnik pozostaje zaś pytajnikiem – podróż przez świat po literkach prowadzi do znaku interpunkcyjnego nadającego tonację temu, co między słowami.

Swoisty urok i mądrość teatru Ciepłaka, których całą pełnię poznać można w „Elementarzu”, ujawniają się właśnie w tym niejednoznacznym międzysłowniu finału i rezygnacji z mocnej puenty. Reżyser konsekwentnie odmawiający akcesu pozostaje na mapie teatru polskiego we własnym, zagospodarowanym przez siebie miejscu. Nie byłoby prawdą stwierdzenie, że jest ono oderwane od rzeczywistości społecznej i politycznej, ale też z pewnością nie pulsuje w jej pospiesznym i nerwowym rytmie. Być może właśnie dlatego udało mi się wieczorem w – było nie było – narodowym teatrze odzyskać oddech i uspokoić skołatane serce. ©

DARIUSZ KOSIŃSKI

Barbara Klicka, **ELEMENTARZ**, reżyseria Piotr Ciepłak, scenografia Andrzej Witkowski, Teatr Narodowy w Warszawie, premiera 7 grudnia 2017 r.

Odejście mocy

WIT SZOSTAK

Twórczość Ursuli Le Guin można nazwać fabularyzowanymi dziejami ludzkiej duszy. Metafory i symbole zostają opowiedziane tak, jakby wydarzyły się naprawdę. Ta historia właśnie się zakończyła. Le Guin nie żyje.

KIEDY ALFRED L. KROEBER, PROFESOR Uniwersytetu Berkeley, założyciel Amerykańskiego Towarzystwa Antropologicznego, uczeń Franza Boasa, przyjaciel ze studiów Ruth Benedict i Margaret Mead, autor ponad pięćset publikacji naukowych, badacz kultur Indian Zuni i Mohave, człowiek, który rozmawiał z Ishi, ostatnim żyjącym przedstawicielem plemienia Yahi...

Zatem kiedy Alfred L. Kroeber w roku 1960 umierał w wieku 84 lat, jego córka, Ursula Kroeber Le Guin, miała debiut literacki wciąż przed sobą.

Cień ojca

Była późnym dzieckiem, urodzona w roku 1929 przez drugą żonę słynnego ojca, pisarkę Theodore Kroeber. Wychowana w domu amerykańskich intelektualistów, wśród książek, prześlągnięta koncepcjami rodzącej się antropologii kulturowej i społecznej. Było to środowisko, gdzie ścierały się idee. W domu Kroeberów żyło się tym, czym żyła cała uniwersytecka Ameryka po wojnie: nowe idee społeczne, psychoanaliza, feminizm, kontestacja społeczeństwa mieszczańskiego. Ursula studiowała na Uniwersytecie Columbia, potem kontynuowała naukę we Francji.

Zaczęła publikować w latach 60. i już pierwsze powieści przyniosły jej pewien rozgłos. Od początku w jej twórczości widać było piętno odcisnięte przez intelektualny klimat rodzinne-



BENJAMIN BRINK / THE OREGONIAN / AP / EAST NEWS

Ursula Le Guin zmarła 22 stycznia 2018 r. w Portland, w stanie Oregon

go domu. Podczas gdy współcześni jej autorzy *science fiction* ekscytowali się podbojem planet, prześcigali w wymyślaniu nowych wynalazków i obcych zamieszkujących inne światy, Le Guin zachowywała względem tych pomysłów spokojny dystans. Bardziej interesowało ją nie to, co o człowieku, kosmosie i obcych rasach mogą nam powiedzieć nauki przyrodnicze, ale raczej to, co mówi na ten temat antropologia. W swoim pisarstwie stała się etnografem wymyślonych światów. Skrupulatnie opisywała obyczaje i kultury, struktury społeczne i religijne wierzenia, próbując pokazać, jak warunki życia, anatomia i fizjologia wymyślonych ludów wpływają na kształt ich cywilizacji.

Szczególnym przykładem tej antropologicznej fascynacji, w pewnym sensie punktem granicznym w fantastycznej twórczości, jest dziwna powieść „Wracać wciąż do domu”. Le Guin rezygnuje w niej z tradycyjnej narracji, zamieszczając na ponad pięciuset stronach zbiór materiałów, które mogłyby powstać w kulturze, jaką sobie wymyśliła. Mamy więc fragmenty literatury, piosenki, zapis nutowy utworów muzycznych, strzępy wystąpień publicznych, gazet, słowniki i leksykony przedmiotów codziennego użytku. Surowy ma-

teriał, który zbiera etnograf i poprzez który podejmuje próby zrozumienia obcego sobie ludu.

W lata 70. Le Guin wchodzi jako autorka dwóch rozpoznawalnych i docenionych cykli powieściowych: „Ekumeny” i „Ziemiomorza”. Dzięki temu drugiemu zostaje uznana – obok Tolkiena – za najważniejszą pisarkę *fantasy*. Jednocześnie nie idzie tropem oxfordzkiego profesora, lecz rozwija własne rozumienie mitu, wyznaczając dla *fantasy* ścieżki, którymi przez następne lata będzie podążało wielu autorów.

Na początku było Słowo

Ziemiomorze jest wymyślonym, baśniowym światem, w którym obok znanych nam praw przyrody działa szczególnego rodzaju magia. Zdobyć władzę nad rzeczą to poznać jej prawdziwe imię. Każda istota – człowiek, zwierzę, kamień, żywioły – ma swoje sekretne imię: słowo, które powołało je do istnienia u początku świata. Ta mowa jest jednak ukryta, zasłonięta przez codzienne imiona rzeczy. Magia polega więc na poznaniu prawdziwego imienia. Poznać je to jednocześnie poznać naturę rzeczywistości. A znać naturę – to mieć nad nią władzę.

O ile u Tolkiena magia była szczególną mocą, którą posługiwały się istoty o mitycznym pochodzeniu, o tyle w Ziemiomorzu jest to pewna umiejętność, którą utalentowani ludzie mogą rozwijać. W tym świecie, gdzie na nieprzyjaznym morzu rozrzucone są tysiące wysp, istnieje szkoła magów, w której młodzi ludzie poznają prawdziwą, zapisaną w słowach, naturę rzeczywistości. Magia staje się techniką, ma swoje zasady i niemal naukowe zasady. Ale bywa też dla jej użytkowników niebezpieczna. Świat pozostaje w równowadze, rzeczywistość trwa dzięki harmonii przeciwności. Magowie mają wpływ na losy stworzenia, ale muszą przy tym pamiętać, że ich działanie może naruszyć ten kruchy porządek. Władza nad rzeczywistością zobowiązuje.

Rewersem władzy nad ludźmi i siłami natury, którą daje znajomość imion, jest możliwość zaufania drugiemu człowiekowi. Zaufać to zdradzić swe prawdziwe imię, stanąć bezbronnym przed przyjacielem, powierzyć mu swój los.

W kreacji tej widać ślady pierwotnych kultur, gdzie związek rzeczy ze słowem jest o wiele ściślejszy niż w kulturze Zachodu, widać silne inspiracje biblijne, wreszcie można odnaleźć tropy taoizmu. →

→ Le Guin śmiało sięga po rozmaite mity i baśniowe topoty, wyplatając z nich swą historię. Ale dla niej mit jest czymś więcej: to uzewnętrzniiona opowieść o wnętrzu człowieka. Do antropologicznych inspiracji pisarka dołącza psychologię Junga. Mity to zewnętrzny wyraz nieświadomości zbiorowej. Ten melanz idei daje zadziwiająco spójną strukturę powieściową.

Wędrowiec i jego cień

Świat Ziemiomorza poznajemy oczami Geda, wiejskiego pasterza, syna kowala, który odkrywa w sobie fascynującą, ale też niepokojącą moc. Rozpoczyna się jego nauka i dojrzewanie. Ged rusza do szkoły magów na wyspie Roke. Ma w sobie wiele pychy, dlatego nauka jest przede wszystkim szkołą pokory. Utalentowany chłopak ulega jednak pokusie i dla zaspokojenia ambicji postanawia wywołać ducha zmarłej osoby. Zmarli należą do innego świata, więc takie działanie – choć technicznie możliwe – w poważny sposób narusza równowagę świata. I Ged ponosi konsekwencje swojej brawury: uwalnia swój cień, który ściga go potem po całym Ziemiomorzu.

To doskonale pokazuje metodę literacką Le Guin, rozpiętą pomiędzy Jungiem a antropologią. Z jednej strony cień staje się mrocznym bohaterem powieści: podąża za Gede, atakuje go, w jego imieniu wyraża wiele zła. Z drugiej jednak – jest to upostaciowiony mroczny aspekt psychiki samego bohatera. Ten jungowski cień zerwał się ze smyczy i młody mag nie zazna spokoju, dopóki się z nim nie skonfrontuje. Kiedy zrozumie, że nie może dłużej uciekać, bo cień zawsze będzie deptał mu po piętach, sam zaczyna go ścigać. Staje się myśliwym, który przemierza Ziemiomorze, by poznać prawdę o samym sobie. Jak pokonać cień, jak uzyskać nad nim władzę? Poznając jego prawdziwe imię. Walka kończy się, gdy Ged je wypowiada. Brzmi ono... Ged.

To, co dla Junga jest pewną metaforą, próbą nazwania ukrytej sfery naszej psychiki, w opowieściach Le Guin staje się samoistną rzeczywistością. Le Guin bierze na warsztat sny i symbole, opowiadając o nich w niezwykle realistyczny sposób.

Później Ged zostanie Arcymagiem, będzie rozmawiał ze smokami, uratuje świat, odnajdując starożytny pierścień, który ma zapewnić powszechny pokój, oraz ostatkiem sił powstrzyma innego maga, który postanowił znieść granicę pomiędzy światem żywych i umarłych. Ged już wie, że równowagi nie można bezkarnie zaburzać, dlatego zamykając wrota do krainy umarłych, ocali Ziemiomorze przed katastrofą.

Król jest w ciąży

W wywiadach pisarka często wyrażała sympatię dla ruchów feministycznych i anarchistycznych. Nie traktowała jednak swej literatury jako ideologicznego oręża. Widziała natomiast jej rolę w „podnoszeniu świadomości”. Tę metodę pracy literackiej widać wyraźnie w powieści „Lewa ręka ciemności”, należącej do drugiego wielkiego cyklu autorki, nazywanego „Ekumena”.

Na wyspach Ziemiomorza żyli ludzie podobni do nas, choć rozwój ich cywilizacji wskazywał na odległą przeszłość. Świat ten zasiedlały również smoki i inne osobliwe stworzenia, ale zasadniczo jego mieszkańcy zmagali się z podobnymi problemami, co my. Istotną różnicą była magia.

Na planecie Gethen, gdzie rozgrywa się „Lewa ręka ciemności”, mamy do czynienia z zupełnie innym konceptem. Żyją tam ludzie podobni do mieszkańców Ziemi. Różni ich od nas jedno: kwestia płci. Przez większą część życia pozostają oni hermafrodytami, dla których kwestia potrzeb seksualnych nie istnieje. Tylko na kilka dni w miesiącu, pod wpływem działania hormonów, wchodzi w okres kemmeru, który najprościej można oddać naszym swojskim

pojęciem rui. Dopiero w kemmerze zaczyna budzić się instynkt płciowy i na ten czas stają się kobietami lub mężczyznami. To, czy dany człowiek stanie się mężczyzną, czy kobietą, czy będzie zdolny zapłodnić, czy też zająć w ciąży, zależy od wielu czynników. Jeśli ktoś przekształca się w kobietę, to jego partner przyjmuje rolę mężczyzny. Po kemmerze wszystko wraca do „normy”: płęć przestaje istnieć. Fakt, że ktoś raz był kobietą i zaszedł w ciążę, nie jest fizjologiczną przeszkodą, by w kolejnym cyklu stał się ojcem.

Stąd nikogo nie dziwi podawana przez radio wiadomość, że król, który jest już ojcem kilkorga dzieci, zaszedł w ciążę. Le Guin w sposób istotny modyfikuje naturę człowieka, sięgając do czegoś bardzo podstawowego, a mianowicie do fizjologii. Zastanawia się, na ile płęć, seksualność, która w naszym świecie przyjmuje też funkcje kulturowe, określa to, kim jesteśmy. Wprowadza do owego świata przybysza z naszej rzeczywistości, mężczyznę, który pełni funkcję „obcego wśród obcych”. Jest niczym antropolog wśród ludów Trobriandów czy Amazonii. Ze zdziwieniem, ale też badawczą ciekawością opisuje różnice, stawiając fundamentalne pytania dotyczące kondycji ludzkiej.

Ten zabieg jest czymś typowym dla poważnej literatury fantastycznej. Rzecz przecież nie w mnożeniu gadżetów i coraz bardziej przerażających potworów. Rzecz w dotknięciu obcości, uzmysłowieniu sobie, kim jest Obcy. Aby to uczynić, fantaci w istotny sposób modyfikują znaną nam rzeczywistość po to, by tym wyraźniej zobaczyć dane zjawisko. Można pisać o seksualności człowieka na wiele sposobów. Dziś wiodącym dyskursem stało się powtarzanie banałów o tym, że mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus. Le Guin pokazuje nam ludzi z Gethen, dla których płęć nie jest czymś raz na zawsze danym i dla których potrzeby seksualne nie są codzienną rzeczywistością. Dzięki temu chwytywa czytelnik zaczyna się zastanawiać nad sobą, nad tym, co oznacza w gruncie rzeczy tożsamość seksualna.

Ursula a sprawa polska

Prababka matki Le Guin, Paulina Kraków, z domu Radziejowska, była jedną z pierwszych polskich feministek. Redagowała pismo dla kobiet „Pierwiosnek” i była autorką rewolucyjnej „Nowej książki do nabożeństwa dla Polek” wydanej w roku 1842. Ten fakt dla niektórych polskich fanów staje się przesłanką do uznania Le Guin za pisarkę rodzimą. Od tajemnic genealogicznych ciekawsze jest jednak chyba to, jak

24 stycznia 2018 zmarł w Mińsku

Michał Aniempadystau

Designer, poeta, autor rock-opery „Narodny Albom”.

Dobry i odważny człowiek.

Żegnają Go

POLSCY PRZYJACIELE GRAFICY

twórczość samej Le Guin była przyswajana polszczyźnie.

Pierwszą opublikowaną w naszym języku jej książką był „Czarnoksiężnik z Archipelagu”, tom otwierający cykl „Ziemiomorze”. Autorem przekładu był Stanisław Barańczak, książkę podsunął mu do tłumaczenia Stanisław Lem; miała się ukazać w Wydawnictwie Literackim w serii „Stanisław Lem poleca”.

Autor „Solaris”, znany ze swej niechęci do *fantasy* („Władcy pierścieni” Tolkiena miał za powieść nudną), w posłowie do polskiego wydania zachwyca się głębią wizji Le Guin. Barańczak także zachwycił się powieścią – wizja świata stworzonego przez słowo była mu niezwykle bliska. Dzięki tej koincydencji powstał kongenialny przekład, który sprawił, że powieść Le Guin nie skończyła na zakurzonych półkach z książkami o zielonych monstrach.

Przekład nie ukazał się jednak od razu. Barańczak przyjął propozycję Lema w trudnym dla siebie czasie. We wrześniu 1976 r. został jednym ze założycieli Komitetu Obrony Robotników, na jego nazwisko nałożono zapis cenzury, usunięto go też z pracy na poznańskim uniwersytecie. Zapis objął także tłumaczenia. Oburzony wstrzymaniem druku książki Lem zrezygnował w proteście z prowadzenia swojej serii. „Czarnoksiężnik z Archipelagu” ujrzał w końcu światło dzienne w 1983 r., kiedy tłumacz mieszkał już od dwóch lat w Stanach Zjednoczonych i wykładał na Uniwersytecie Harvarda. Później wydano jeszcze „Lewą rękę ciemności”, a po 1989 r. nowe oficyny wydawnicze opublikowały większość twórczości Le Guin.

Dzieje duszy

Przez niemal pół wieku pracy twórczej Ursula Le Guin napisała dwadzieścia parę powieści, dziesiątki opowiadań, została uhonorowana ponad pięćdziesięcioma nagrodami literackimi, w tym po kilka razy Hugo i Nebulą – najbardziej prestiżowymi wyróżnieniami dla pisarzy fantastycznych. Jej powieści są przekładane na wiele języków, a badacze i czytelnicy *fantasy* zgodnie przyznają, że zajmuje ona, obok Tolkiena, jedno z najważniejszych miejsc w światowej *fantasy*. Jej powieści doczekały się adaptacji filmowych, choć trzeba powiedzieć, że pisarka nie miała tu wielkiego szczęścia. Filmy te mają w sobie wszystkie wady kina *fantasy* i w przedziwny sposób gubią zalety prozy Le Guin.

W powieści „Inny wiatr”, piątym tomie „Ziemiomorza”, znajdujemy przejmującą scenę. Do domu Geda przybywa po radę młody mag. Zastaje starego Arcyma-

Prababka matki Le Guin,

Paulina Kraków, z domu Radziejowska, była jedną z pierwszych polskich feministek. Redagowała pismo dla kobiet „Pierwiosnek” i była autorką rewolucyjnej „Nowej książki do nabożeństwa dla Polek”.

ga przy pracach ogrodniczych. Zaczynają rozmawiać i szybko okazuje się, że ich dwa światy nie mogą się spotkać. W końcu Ged mówi: „Przeżyłaś prawie tysiąc mil i przeszedłaś pieszo piętnaście, pod górę. Ja zaś muszę podlać fasolę i sałatę, bo żona i córka zostawiły ogród mej pieczy”. Ged jest stary i zmęczony. Aby ocalić świat, poświęcił swą moc. Nie jest już magiem, podlewa młodą kapustę i cieszy się, że w tym roku sliwki są słodkie i smaczne. Czardziej, który do niego przybył, nie może uwierzyć, że najślynniejsza postać Ziemiomorza żyje już tylko w legendzie.

Tę scenę napisała siedemdziesięcioletnia Le Guin, ponad trzydzieści lat po ukazaniu się „Czarnoksiężnika z Archipelagu”. Doceniona, spełniona, nagradzana, wydawana, tłumaczona i ekranizowana. Chciałoby się w tej scenie widzieć paralelę z biografią pisarki – z losem córki wielkiego antropologa Alfreda L. Kroebera, która wiele lat po śmierci wybitnego ojca dokonuje rozliczeń z jego legendą.

Nic bardziej błędnego. Nawet jeśli istnieją zbieżności między życiem a literaturą, to fantastyka, a zwłaszcza fantastyka, która tak głęboko sięga do struktury mitów, ustawia pomiędzy rzeczywistością a fikcją tyle krzywych zwierciadeł, że zrekonstruowanie na podstawie tekstów tego, co w życiu pisarza intymne, staje się niemal niemożliwe.

Twórczość Le Guin, a zwłaszcza cykl „Ziemiomorze”, można nazwać fabularyzowanymi dziejami ludzkiej duszy. Za pomocą archetypów i mitów pisarka pokazuje istotne i węzłowe momenty ludzkiego losu. Metafory i symbole zostają opowiedziane tak, jakby wydarzyły się naprawdę. Jeśli w dziejach jej bohaterów odnajdujemy tropy biograficzne, to dlatego, że jej własne życie, jak każde, powtarza odwieczny scenariusz: narodzin, dojrzewania i sta-

żenia się. Jeśli Ged przy grządce kapusty ma być figurą starego ojca, który jest bezsilny wobec młodości, to jest on figurą każdego ojca, nie tylko ojca Le Guin.

Ewolucja mitu

Można też powiedzieć, że owe „dzieje duszy” opowiadane przez pisarkę pokazują ewolucję jej rozumienia świata. Śledząc uważnie przemiany, które dokonują się w pisanim przez ponad ćwierć wieku cyklu, można zobaczyć tu znaczne różnice. W pierwszych trzech tomach – przełom lat 60. i 70. – magia jest domeną mężczyzn. W Ziemiomorzu są magowie, ich czary mają moc zmieniania świata. Po wsiach żyją wiedźmy, które wprawdzie mogą leczyć bydło i poprawiać plony, ale ich możliwości w porównaniu z mocą mężczyzn są mizerne. Nawet magia ma w tym świecie patriarchalny rys.

W „Tehanu”, czwartym tomie cyklu, wydanym w roku 1990, pojawia się wyraźna modyfikacja tego stanowiska. Wiedźma Mech mówi tak oto: „W porównaniu z ich mocą nasza wydaje się niewielka (...). Ale jej korzenie sięgają głębiej. Jest jak stary jeżynowy chruśniak. Moc czarodziejów to wyniosła jodła, smukła i wspaniała. Zda się silna, ale nie oprze się podmuchowi burzy. Nic nie zdoła zniszczyć jeżynowego chruśniaku”. Magia męska zostaje wyraźnie przeciwstawiona kobiecej.

Wydany dziesięć lat później, zamykający cykl tom opowiadań przynosi historię o starożytnych początkach szkoły magów na Roke. Okazuje się, że została założona przez... kobiety. Dopiero potem przejęli ją mężczyźni. Można w tym widzieć dojrzwienie Le Guin do feminizmu. Można widzieć ogólną przemianę w rozumieniu świata, łagodną, lecz zdecydowaną.

Mity, podobnie jak bogowie, walczą ze sobą, młode bóstwa zabijają stare, nowsze mity zastępują te dawniejsze. Jeśli cykl „Ziemiomorze” ma być mitologią wymyślonego świata, to musi zawierać nie tylko spójny opis rzeczywistości, ale też pomieścić całą dialektykę mitu, idolatrie i dewaluacji *sacrum*, wreszcie postępującą degradację mitu. Ostatecznie Ziemiomorze jest światem, z którego magia i moc wyciekła, podobnie jak wyciekła z Arcymaga Geda.

Pisarka żyła spokojnie w Portland, w Oregonie. Możliwe, że miała ogródek, w którym pogodnie i sumiennie podlewała młodą kapustę?

©

WIT SZOSTAK

Tekst pierwotnie ukazał się w magazynie literackim „Książki w Tygodniku”, dołączonym do „Tygodnika Powszechnego” nr 6/2011.



Lucas Hedges, Frances McDormand i John Hawkes w filmie „Trzy billboardy za Ebbing, Missouri”

Możliwość zmiany

ANITA PIOTROWSKA

„Trzy billboardy za Ebbing, Missouri” przepisują topoty najbardziej amerykańskiego z gatunków filmowych, westernu – by opowiedzieć własną, chwilami przewrotną balladę o winie i karze.

ZACIĘTA I GNIEWNA JEST TWARZ FRANCES McDormand w filmie, o którym ostatnio coraz głośniej – właśnie zebrał siedem nominacji do Oscara, chwilę wcześniej rozbijając bank ze Złotymi Globami. Mildred Hayes, głównej bohaterce najnowszego filmu Martina McDonagha, bliżej co prawda do zgryźliwej Olive Kitteridge z popularnego miniserialu niż do pocziwej ciężarnej policjantki z „Fargo” braci Coenów, lecz raz jeszcze ta fenomenalna aktorka wzbija się na same szczyty, by wcielić się w postać charakternej kobiety z amerykańskiej prowincji. W filmie „Trzy billboardy za Ebbing, Missouri” tytułowe miasteczko ze Środkowego Zachodu to jednak coś więcej niż scenaria pojedynczego dramatu – to także Ameryka w pigułce, ze swoją mroczną „historią głęboką” i pozornie normalną teraźniejszością. Ukazana została jednak w taki sposób, że ponad

tym wszystkim, co nieusuwalnie dzieli, pozwala dostrzec także coś, co może łączyć. Choćby z początku miało wyglądać jedynie na akt zemsty.

Tytułowe billboardy – jaskrawo czerwone, z czarną czcionką – pełnią w filmie McDonagha funkcję oskarżycielską. Zazwyczaj mają reklamować towary, propagować idee, popularyzować czyjąś twarz. Albo, niczym w Twin Peaks, już z daleka witać odwiedzających miasteczko. W Ebbing drewniane tablice od dawna niszczą, jakby już nic nie dało się tu zmienić, ulepszyć ani czymkolwiek się pochwalić. I właśnie temu bezwładowi wypowiada wojnę samotna matka, której córkę zgwałcono i zamordowano, choć niekoniecznie w tej kolejności. Kobieta wynajmuje billboardy, by wykrzyczeć na nich swoją bezsilność, a także wściekłość wobec lokalnych przedstawicieli prawa, na

czele z opieszałym szeryfem Willoughbym. Jednakże McDonagh jako scenarzysta stara się, byśmy nie otrzymali kolejnego westernu z osamotnioną mścicielką w roli głównej. Niechaj nie zmylą nas charakterystyczne akcesoria, rozbrzmiewająca tu i ówdzie muzyka country ani nawet fakt, że McDormand, bezskutecznie szukając w kinie kobiecych ikon zemsty, musiała wzorować się na aktorstwie Johna Wayne’a. „Trzy billboardy...” przepisują topoty najbardziej amerykańskiego z gatunków filmowych, by opowiedzieć swoją własną, chwilami bardzo przewrotną balladę o winie i karze.

Jak przystało na twórcę brawurowych komedii kryminalnych, „Najpierw strzelaj, potem zwiędzaj” i „7 psychopatów”, historia opowiedziana przez McDonagha co chwila zbacza z kursu. Nie po to jednak, by było błyskotliwiej czy zabawniej (choć czarnego humoru jest tu aż nadto), ale by skomplikować moralne racje i zaburzyć jednoznaczny podział ról. Napiętnowany przez bohaterkę komendant policji, grany przez Woody’ego Harrelsona, szybko zdobywa naszą sympatię: okazuje się kochającym mężem i ojcem, a w dodatku choruje na raka. Zdesperowana Mildred, której od początku kibicujemy, w swojej krucjacie nieustannie balansuje między obywatelskim nieposłuszeństwem a ryzykownym anarchizmem, między potrzebą sprawiedliwości a ślepą żądzą odwetu,



MATERIAŁY DYSTYBUTORA

i wielokrotnie zapracowuje sobie na miano wariatki. W dodatku, jako „osierocona” matka, sama nie czuje się wyłącznie ofiarą, ale i pośrednio winną tego, co stało się z jej córką, o czym film informuje nas w retrospekcji. I choć zachowawczy mieszkańcy miasteczka z miejscowym księdzem na czele nie podzielają jej niekonwencjonalnych metod walki, to w najtrudniejszych chwilach ktoś zawsze wyciąga do Mildred rękę – jakkolwiek ta pomoc przychodzi czasem z najmniej spodziewanej strony.

Zamiast podsycać klasyczny konflikt „ciemnogród kontra jedyna sprawiedliwa”, McDonagh woli przeprowadzić filmowy dowód na to, że zło potrafi czasem uruchomić łańcuch nieoczywistego dobra. Przy pomocy billboardów Mildred wsadziła bowiem kij w mrowisko. Niczym bezkompromisowa sygnalistka odkryła przed ogółem społeczności, jak jest naprawdę. Że policjanci zaniedbują swoje obowiązki. Że odrobiwszy po łóbkach lekcje politycznej poprawności, kierują się w swojej pracy rasowymi czy seksualnymi uprzedzeniami. Wreszcie, jak zwyrodniały, wiecznie zapijaczony oficer Dixon (w tej roli wyśmienity Sam Rockwell) – że mają problemy psychiczne. Bo koniec końców ludzie nie są tym, kim się wydają.

Bez jednej fałszywej nuty, bez jakichkolwiek narracyjnych szwów, brytyjski reżyser opisuje prowincjonalną amerykańską rzeczywistość. Ta transatlantycka perspek-

tywa pozwala spojrzeć na nowy kontynent z ukosa. Widzimy kraj ufundowany na przemocy, a tym samym lubiący się w krwawych akcjach odwetowych – ostatnio prowadzonych w dalekich pustynnych krajach. Równocześnie to nie jest kraj dla kobiet, gejów, czarnoskórych, karłów czy innych „dziwadeł”. Jednakże McDonagh, niczym wspomniani już Coenowie (a prócz aktorki łączy ich jeszcze nazwisko Cartera Burwella, czyli autora muzyki), szuka podobnie krętych dróg, by nadać własny sens temu, co z wierzchu zdaje się absurdałne czy beznadziejne. Poprzez cudowne zbiegi okoliczności, przerysowane gesty i zawiadziaki ton opowieści stara się dotrzeć do prawdziwych emocji. A ostatecznym kluczem do tej prawdy jest całkowita spójność przedstawionego na ekranie świata. Dlatego nie ma żadnego znaczenia, że miejscowość Ebbing w stanie Missouri tak naprawdę nie istnieje, zaś cała historia została bardzo luźno oparta na faktach i w rzeczywistości raczej nie mogłaby się zdarzyć.

Dzięki połączeniu sarkazmu z powściągliwą czułością McDonagh i jego aktorzy pozwalają nam uwierzyć w autentyczność doświadczanego przez bohaterów cierpienia. Bywa ono wyrażane różnie, czasem w szorstki i niecodzienny sposób, bo przecież nie tylko Mildred zмага się tu z czymś dużo większym od niej. Tym samym film przypomina o tym, że pierwszym krokiem ku wyjściu z cierpienia jest dostrzeżenie, że inni również cierpią. I że nawet w sytuacji krytycznej pozytywna zmiana jest możliwa. Choć czasem cenniejsza od niej bywa sama świadomość, że mimo wszystko coś jeszcze od nas zależy. W tym sensie „Trzy billboardy...” są filmem głęboko terapeutycznym. ©

TRZY BILLBOARDY ZA EBBING, MISSOURI

(*Three Billboards Outside Ebbing, Missouri*) – reż. Martin McDonagh. Prod. USA 2017. Dystryb. Imperial-Cinepix. W kinach od 2 lutego.



Co wtorek o godz. 14.30 w Radio Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika”.

Stuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Źródł – 102,1 FM | Rabka Źródł – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM www.radiokrakow.pl

WARTO ZOBACZYĆ W TV [3 – 9 II]

1. Armide



Teatr TV, reż. Deda Cristina Colonna, Polska 2018, TVP1, 5 II, 20.25

W ramach IX Festiwalu Oper Barokowych na deskach Warszawskiej Opery Kameralnej wystawiony został spektakl na podstawie dzieła Jeana-Baptisty Lully'ego. Była to polska prapremiera tego przedstawienia. W roli tytułowej wystąpiła Marcelina Beucher, a dyrygował pochodzący z Australii Benjamin Bayl.

2. Macierzyństwo



Dramat, reż. Mariam Khatchvani, Gruzja/ /Katar 2017, Cinemax, 9 II, 7.50, 16.10

Kręcony w malowniczych plenerach

Swanetii debiutancki film gruzińskiej reżyserki przenosi nas do 1992 r. Trudne warunki życia, surowa patriarchalna tradycja i tocząca się nieopodal wojna – temu wszystkiemu musi stawić czoła młoda bohaterka, żeby móc samodzielnie kierować swoim losem.

3. Mudbound



Dramat, reż. Dee Rees, USA 2017, Netflix

Choć dystrybucja tego filmu ograniczyła się niemal wyłącznie do

internetu, otrzymał on właśnie cztery nominacje do Oscara. Z epickim rozmachem opowiada historię dwóch rodzin z Missisipi, białej i czarnej, na tle przemian społecznych w USA po II wojnie światowej. Występują Carey Mulligan, Jason Clark i Mary J. Blige.

4. My French Film Festival



myFrenchFilmFestival.com, do 19 II

Ósma edycja internetowego przeglądu kina francuskiego to okazja

do spotkania z dokonaniem twórców młodego pokolenia. Na licznych platformach internetowych, w tym TVP VOD, można oglądać bezpłatnie 30 tytułów, zarówno krótko-, jak i pełnometrażowych. Wśród nich jest m.in. nagrodzona w Cannes „Ava” czy „Swagger” – dokument o nastolatkach z paryskich przedmieść.

JAN

Klata:

Ta ziemia jest nasza



JAK ZADEKRETOWAĆ OSTATNIĄ WERSJĘ PRAW-
dy? Żeby ona była nasza, żeby nasza była
wszystkich? Niełatwe zadanie, nawet jeśli bar-
dzo, ale to bardzo się chce. Chyba że się chce ra-
czej gonić króliczka, niż go złapać. Ale potrak-
tujmy propagandę poważnie, jako propagan-
dę prawdy. „Polskie obozy śmierci” niewątpli-

wie brzmią bałamutnie. Co z tym robimy?

Gdzie się podziła wsławiona aferą billboardową Polska Fun-
dacja Narodowa, która „wykorzystując siłę i energię spółek skar-
bu państwa, będzie budowała polską markę” – jak w charaktery-
styczny dla siebie sposób ogłosiła pół roku temu premier Szydło?

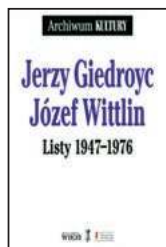
Czyżby 100 mln złotych zrzutki spółek skarbu państwa miało
pójść tylko na wrześniowy casting do roli sędziego pijącego alko-
hol? No, błagam! Polska marka niewątpliwie wzmocniła się już
jesienią, ale idźmy za ciosem: grup zawodowych pijących w Pol-
sce alkohol jest nieco więcej, a każda zasługuje na reklamę wyko-
rzystującą siłę i energię spółek skarbu państwa. Budżet jest spory,
nawet niszowe profesje mogą się załapać. Pierwszy lepszy przy-
kład: Marka Suskiego (nie byle kogo, bo w końcu szefa gabinetu
politycznego premiera) z pewnością mógłby usatysfakcjonować
filmik o perukarzach pijących alkohol. Wiceprezes Polskiej Fun-
dacji Narodowej Maciej Świrski już szykuje bon moty na wszyst-
kie okazje i zawody, nowatorsko promujące wizerunek Polski
za granicą.

Ale co z „polskimi obozami śmierci”? Co z tym robimy? Robi-
my głupio, bez ładu i składu, na łapu-capu i bez pomysłu. Na-
dзорować i karać! Ustawę stosuje się do każdego cudzoziemca,
oczywiście. Cudzoziemcy są najgorsi, bo nie są nasi, tylko cudzy.
Musimy im więc pogrozić, w imię polskiego prawa wysłać polski
Mossad do dowolnego punktu na Ziemi. Żeby nieomylnie i nie-
uchronnie, a przede wszystkim przykładowie ukarać każdego, kto
nie myśli tak jak my. Nawet jeśli mieszka za miedzą.

Nasz sąsiad zza miedzy – zwycięski prezydent Zeman – niewąt-
pliwie jest na czasie, obklejając całe Czechy plakatami o treści: „Ta
ziemia jest nasza”. ©

Lektor:

„Z Wami czuję się dobrze”



• Jerzy Giedroyc, Józef Wittlin,
LISTY 1947-1976

Opracowali, wstępem i przypisami opatrzyli
Rafał Habielski i Paweł Kądziera. Instytut Do-
kumentacji i Studiów nad Literaturą Polską,
Association Institut Littéraire „Kultura”,
Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2017, ss. 616.
Archiwum „Kultury”, tom 19.

„Drogi Panie Redaktorze, nie umiem Panu powiedzieć, jak miło było
mi w Maisons-Laffitte, w atmosferze Waszego domu, której tak mi
brakuje tutaj” – pisał Józef Wittlin do Jerzego Giedroycia w grudniu
1958 r., po powrocie do Nowego Jorku z europejskiej podróży.

SPOTKALI SIĘ WTEDY PO RAZ
pierwszy, choć korespondencja
trwała już ponad dziesięć lat.
Józef Wittlin (1896–1976) wy-
jechał z Polski na kilka tygodni
przed wybuchem II wojny
pod wpływem nagonki, dla
której pretekstem stał się jego
pacyfizm, nagonki o podłożu

wyrażnie antysemitycznym. Był
już wtedy autorem „Hymnów”
(1920), przekładu „Odysei”,
tłumaczeń kilku powieści
Josephpha Rotha, z którym się
przyjaźnił, a przede wszystkim
„Soli ziemi” (1936) – jednej
z najwybitniejszych powieści
polskich XX w. Dzieło, które

odniosło wielki sukces, także
międzynarodowy, miało
otwierać trzypięciotomowy cykl
zatytyłowany „Powieść o cier-
pliwym piechurze”, ale rękopis
części drugiej zaginął w 1940 r.
podczas ucieczki Wittlinów
z Francji do Portugalii i autor
nigdy go już w całości nie
odtworzył. Od 1941 r. mieszkał
w Ameryce i tam pozostał
po wojnie. Borykający się
z emigracyjną codziennością,
pochłonięty od 1952 r. pracą
nad audycjami dla Radia
Wolna Europa, nękany choro-
bami, pisał z coraz większym
trudem.

Giedroyc – nie tylko zresztą
w tym przypadku! – pełnił
rolę życzliwego, cierpli-
wego, ale nieustępliwego
akuszerza. Czynił to w pełni
świadomie, ceniał bowiem Wit-
tlina wysoko. W 1952 r. pisał
do Gombrowicza: „Jestem tym,
który wydostaje od Wittlina
artykuły, ale jak obliczyłem,
wydostanie jednego eseju
wymaga dwóch lat starań oraz
około 89 listów. Po tym okresie
dostaje esej na inny temat, ale
zawsze znakomity”. Chciał też
wydać pisma zebrane autora

„Soli...”, i choć skończyło się
na tomie pierwszym, to i tak
wielką zasługą Giedroycia było,
że ta świetna książka – tom
esejów „Orfeusz w piekle
XX wieku” (1963) – w ogóle
powstała.
Listy, które między sobą
wymieniali, są niezmiennie
ciekawe. W tym, co pisze
Giedroyc, jest nieczęste u niego
ciepło i empatia, a także
rozumienie dla szczególnej
wrażliwości Wittlina na
antysemityzm. Wittlin z kolei
uważnie czyta i sumiennie
recenzuje „Kulturę”, wspiera
redaktora w jego kampaniach,
a nawet je współtworzy, publi-
kując w 1951 r. klasyczny już
esej „Apologia Gombrowicza”.
Szuka też źródeł finansowania
(jednym z mecenasów „Orfe-
usza...” była Helena Rubinstein,
urodzona w Krakowie twórczyni
imperium kosmetycznego!).
Mnóstwo w tej korespondencji
obrazków (i plotek) z życia
emigracji, no i wiele na temat
planowanych przez Wittlina
tekstów, które niestety nie po-
wstały... Do tego solidny wstęp
i przypisy – czegoż chcieć
więcej? ©®

PAWEŁ

Bravo: Masz, prezydencie, placek



DWIEŚCIE. TYLE CENTYMETRÓW DŁUGOŚCI ma fujara słowackich górali, a ściślej: jej główna tuba z trzema otworami palcowymi, jak czytamy w detalicznym opisie na liście niematerialnego dziedzictwa kulturowego ludzkości UNESCO: potężny ów instrument stanowi jej niewątpliwą ozdobę, obok tradycji koronkarskich z Cypru, konnych połowów krewetek w belgijskiej Oostduinkerke, języka gwizdanego z Wysp Kanaryjskich, izopolifonii ludowej z Albanii, a także diety śródziemnomorskiej. Nieuważnego czytelnika może dziwić, cóż pokazywać kawał drewna robi na liście obiektów niematerialnych – jednak opieką otoczony został raczej zwyczaj używania tychże instrumentów, umiejętność wydobywania „głębokiego mruczącego dźwięku” przez pokolenia górali. Lub – gdyby ich zabrakło – pracowników wydziału turystyki powiatu popradzkiego.

Zawsze traktowałem listy dziedzictwa jako zeświecczoną listę pokładową nowej arki Noego – rodzaj katalogu, jaki na wszelki wypadek sobie szykujemy, gdyby tym razem ludzką ręką sprawiony potop zmusił nas do ewakuacji na stacje orbitalne. Taka smutna rekapitulacja tego, co będzie żał za sobą zostawiać – bo katedrę w Sienie z jej kapitalną „Rzeźbą niewiniątek” na posadźce trudno będzie dosłownie zabrać ze sobą. Budowle ocaleją jeno w postaci pocztówek, upchniemy je pospiesznie w wielkie pudełko po butach, na wzór tego, jakie trzymamy na półce z widoczkami wakacyjnymi. Z dziedzictwem niematerialnym poszłoby łatwiej, starczy zadbać, by na pokładzie zmieściła się para nosicieli tradycji dęcia w fujarę czy tkania koronek, co się nam na nowej planecie niewątpliwie przyda w długie galaktyczne noce.

Francja już zdążyła sobie zapewnić ocalenie „znakowania w tradycji ciesielskiej”. Ale dobrze ponacinane tajemnymi znakami belki dachowe to za mało, żeby Francuz mógł w pełni zadomowić się w świecie – jak pisze w tym numerze znawca smaku magdalenek Marek Bieńczyk – sednem jego tożsamości jest sztuka jedzenia, czyli niepojęte dla barbarzyńców ceregiele poprzedzające ten moment, kiedy człęk wreszcie wbije widelec w kawałek pieczystego. Dlatego też, nagłony poczuciem zbliżającego się końca świata – a może tylko końca własnej popularności w sondażach – Emmanuel Macron obiecał niedawno poprzeć starania piekarzy, by na listę niematerialnego dziedzictwa wpisać bagietkę.

W pierwszym odruchu chciałem się zaśmiać, że im się od gorąca w piekarni w głowach poprzewracało – cóż bardziej materialnego od ciepłej podłużnej buły? Jak jednak z sensem wyjaśnił szef ich stowarzyszenia, nie chodzi o samą bagietkę jako konkretny obiekt, bo pod tą nazwą supermarketów sprzedają codziennie miliony odgrzanych na miejscu zamrożonych wypieków, „które produkują nawet w Rumunii czy jeszcze gdzieś indziej”. Sam, kiedy widzę, jak pani w Żabce wkłada do podgrzewacza blachę białych bułek-zombie, które wylądają w koszu „chrupiące pro-

sto z pieca”, to z całym szacunkiem dla Rumunii też myślę, że w miejscu produkcji tego czegoś muszą pracować wampiry.

Zarówno szef piekarzy, jak i prezydent, gdy mówią „dziedzictwo”, mają na myśli 180 tysięcy miejsc pracy w 33 tysiącach ciągłych jeszcze istniejących rzemieślniczych piekarni. Skoro branża zdycha pod naporem tańszego, dostępnego całą dobę (i nie schnącego po godzinie) chleba z sieciówek, to młodzi się nie garną do nauki rzemiosła, a zatem perspektywa zwinięcia interesu jeszcze się przybliża. Rozmowa obu panów odbyła się przy okazji małej dorocznej uroczystości, kiedy piekarze przynoszą do Pałacu Elizejskiego ogromną *galette des rois*, czyli „królewski placek” – wypiek z ciasta francuskiego z nadzieniem migdałowym, tradycyjnie zjadany na Święto Epifanii. Pan domu – w tym przypadku prezydent – dokonuje uroczystego podziału na części, po jednej dla każdego domownika. Od czasów średniowiecznych ukrywa się w cieście ziarno bobu – kto je wylosuje, zostaje na ten dzień królem... W Wersalu był nawet zwyczaj, że gdy dama dworu zdobyła to wyróżnienie, jako jednodniowa królowa miała prawo żądać od faktycznego monarchy „łask i faworów” – aż Ludwik XIV zakazał tego bezceństwa.

Służby prasowe podkreślały z naciskiem, że w *galette* ofiarowanej Macronowi nie było ziarenka, bo w Pałacu Elizejskim nie mieszka żaden król, co jest oczywistą bujną, zważywszy, ile z dawnej monarchii przetrwało w pozornie egalitarnym francuskim ustroju. I tyle z tego wszystkiego zostało: niby-król z gębą pełną frazesów o równości nie uratuje dziedzictwa ginącego rzemiosła, którego już nikt nie potrzebuje. A prawdziwa bagietka – cóż, poczytamy sobie o niej na liście UNESCO. I opowiemy wnukom, choćby językiem gwizdanym. ©P



GLENN HARPER / ALAMY / BEW

O masie migdałowej frangipane, która stanowi nadzienie królewskiego placeka, pisałem już tu dwukrotnie, jest bardzo praktyczna do słodkich tart, zwłaszcza pasuje do gruszek, kto ciekaw, niech zajrzy do archiwum, warto ją robić. Dziś inny pomysł na to, jak upiec gruszki i zrecyklingować resztki świątecznych ciastek, o ile komuś zostały. Na dno niedużych foremek (ok. 10 cm średnicy) kruszymy ciekłą warstwą **korzenne herbatniki speculoos** – albo jakiekolwiek aromatyczne ciasto, ja np. użyłem ostatnio zeschłej końcówki świątecznego piernika, z genialnym skutkiem. Wykładamy twardą **gruszkę** pokrojoną w cienkie plasterki, tak by przykryła cały spód. Mieszmamy 250 g **ricotty** z 1 jajkiem, dodajemy łyżkę **cukru pudru** i trochę **wanilii** (nie zaszklodzi też **pieprz** albo szczypta zmieszanych **goździków**), i kładziemy dwucentymetrową warstwę tej masy na wierzch. Pieczemy w 180 stopniach, około 20 minut, aż wierzch się dobrze zrumieni. Warto odczekać po wyjęciu, aż wypiek się zestali, a ciasteczkowy spód dobrze się przegryzie z sokiem z gruszek.

PULARDA W ŻAŁOBIE

Na nim opiera się opowieść o rozpetaniu kulinarnego szaleństwa pod koniec XX wieku. Miał charyzmę, gadane i mimikrę. Wyskoczył prosto z rondla.

MAREK BIĘCZYK

WROKU 1976, NA UROCZYSTOŚĆ WRĘCZENIA MU LEGII Honorowej w Pałacu Prezydenckim, Paul Bocuse przygotował zupę truflową, zaserwowaną w misce i pokrytą kopułką z kruchego ciasta. „Jak mam to jeść?” – spytał prezydent Valéry Giscard d'Estaing. „Najpierw rozbijamy kopułkę” – odpowiedział Bocuse.

Soupe VGE

Niestety w przekładzie tracimy dodatkową grę słów, która rozśmieszyła Francuzów, lecz i tak ślinimy się na myśl o tym, co się pod kopułką działo. Zupa prezydencka (nic wspólnego z postną zupą Kwaśniewskiego, przy której nikt się nie ślinił) przeszła do dziejów kulinarnych pod nazwą zupa VGE i nie wiadomo dobrze, kto kogo unieśmiertnił. Prezydent kucharza, wręczając mu wysokie odznaczenie (później dostanie najwyższe w państwie, Komandora), czy też kucharz prezydenta, nadając jego inicjały potrawie, która przetrwa dłużej niż pamięć o jego publicznych dokonaniach. Z prezydentami miał Bocuse do czynienia od dawna; ten de Gaulle, na przykład, jadł przerażająco szybko, o wiele za szybko.

W parę godzin po śmierci Paula Bocuse'a (zmarł 20 stycznia) aktualny konsument w Pałacu Elizejskim, prezydent Macron, przekazał krótkie, pełne najwyższych uniesień, oświadczenie. Zewsząd przychodziły apele o ustanowienie dnia żałoby narodowej w hołdzie „papieżowi kucharzy”.

To jedno z wielu określeń, które padają w wypowiedziach po śmierci najśłynniejszego gastronomo Francji. Jesteśmy w królestwie superlatyw, najlepszy, największy, najwspanialszy. „Najlepszy kucharz świata” według CIA (Culinary Institute of America), tytuły oficjalne i nieoficjalne, więcej tego niż medali na piersi Breżniewa. Wśród nich oczywiście uroczyste tautologie narodowe, tweety typu: „Bocuse to była Francja” (to prosto z MSW).

Na wszystkich portalach powraca zdjęcie Bocuse'a z obnażonym ramieniem, na którym wytatuowano galijskiego koguta. Taka pamiątka wojenna: ciężko rannemu osiemnastoletniemu

żołnierzowi krwi użyczył jakiś GI; Amerykanie, poruszeni odwagą młodego Francuza, wstrzelili mu pod skórę, gdy doszedł do siebie, bojowy symbol jego ojczyzny. To Bocuse wymyślił później, aby kołnierzyk bluz kucharskich zdobił w przypadku zaśluzonych szefów trójkolorowy pasek.

Francja, ale jaka? Historia jej gastronomii przegląda się w długim i szczęśliwym żywocie Paula Bocuse'a niczym w zwierciadle.

Poularde demi-deuil

Na liście najśłynniejszych dań Paula Bocuse'a wysokie miejsce zajmuje *poularde de Bresse demi-deuil*, powiedzmy „pularda z Bresse na poły żałobnie”: pod skórę młodej pulardy wsuwa się ciemne płatki trufli i gotuje się ją we wnętrzu nadmuchiwanego pęcherza wołowego, od czasu do czasu nakłuwając pęcherz igłą.

Jest to danie legendarne, lecz dlatego przede wszystkim, że przechodnie. Bocuse oddziedziczył je po Matce Brasier, słynnej kucharce, u której się szkolił; ona sama przejęła je od wcześniejszej mistrzyni Matki Filioux. To ładna sekwencja. Pokoleniowa sztafeta przekazująca sobie przepis uwzniośla kuchnię. Na pozyczeniu od innych, na kopiowaniu, cytowaniu czy odtwarzaniu dzieł pokoleń odeszłych polega kultura: literatura, muzyka, malarstwo. Kuchni niekiedy odmawia się szlachetnego miejsca w kulturalnym panteonie; w takich przypadkach trzeba sięgać po wspomnienia arcydzieł sygnowanych nazwiskami ich twórców: też tworzą długą historię, też są inwencjami ducha, też tworzą dziedzictwo.

W tym przypadku dziedzictwo kuchni lyońskiej, uznawanej we Francji za najbardziej prestiżową; z okolic Lyonu, z miasteczka Collonges-au-Mont-d'Or, Bocuse (urodzony w 1926 r.) pochodził. Królowie rodzili się królami, francuscy kucharze kucharzami. On też wyskoczył prosto z rondla. Ojciec, dziadek, pradziadek, prapradziadek, dwieście lat przy garach. Ojciec miał w Collonges knajpę, gotował trochę byle co. Gdy syn zdobył zawód, wrócił w roku 1958, po dwóch latach otrzymał pierwszą gwiazdkę Michelina, jakiś czas później drugą.



Paul Bocuse rozpoczyna swoje 80-dniowe światowe tournée, Lyon, maj 1992 r.

Ta trzecia przyszła po siedmiu wizytach inspektorów Michéline, ostatecznie przekonał ich mus z homara wedle Constantina Guillot; przytaczanie dzieł innych we własnej interpretacji to specjalność francuskiej kuchni. Trzy gwiazdki utrzymał do śmierci, która zabrała go właśnie stąd, podczas południowej drzemki w rodzinnej restauracji, kiedy serwowano obiad. Obsługa nie przerwała serwisu, goście jedli swoje do końca.

Patrząc świeżym okiem na fotografię zupy truflowej i pulardy w pęcherzu, mielibyśmy dzisiaj kłopoty ze wskazaniem dania tradycyjnego i dania *nouvelle cuisine*. Paradoksalnie wydaje się raczej, że to galaktyczna sfera pęcherza pochodzi z inspiracji tej ostatniej; wygląda jak Jowisz widziany przez teleskop czy gałka oczna z „Psa andaluzyjskiego”, podczas gdy miska z kopułką ciasta przywodzi na myśl suflet, coś już znanego, kiedyś zjedzonego. Tymczasem jest odwrotnie, to zupa truflowa weszła do kanonu „nowej kuchni” i Valéry Giscard d’Estaing miał prawo zadać swoje naiwne lub lekko złośliwe pytanie.

Czy Bocuse był zatem obrońcą kuchni tradycyjnej, wzbogaconej inspiracjami, które wnosił z podróży po świecie? Pozornie tak, opierał swoją kuchnię na odwiecznej i szczęśliwej lokal-

nej triadzie: masło, śmietana, wino. Te trzy słowa recytował jak mantrę. Bez masła ani rusz. Jak to się więc stało, że uchodzi za ojca założyciela *nouvelle cuisine*?

Salade aux haricots verts croquants

W chwili, gdy Adam Zagajewski i Julian Kornhauser wydawali „Świat nie przedstawiony”, dwóch krytyków kulinarnych, Gault i niedoszły powieściopisarz Millau, w miesięczniku synonowanym ich nazwiskami ogłaszało nastanie *nouvelle cuisine*. Nie ma to jak krytyk towarzyszący i nazywający. Pojęcie chwyciło – lecz jak mogło nie chwycić w kraju, gdzie trąbiono kolejno nastanie *nouveau roman*, *nouvelle vague*, *nouvelle gauche* i *nouveaux philosophes*.

A kiedy pojęcie już chwyciło, kiedy kucharze dowiedzieli się – tak jak molierowski Jourdain o tym, iż mówi prozą – że robią „nową kuchnię”, zjawisko ruszyło z kopyta. Jeśli dzisiaj Państwa dziwi niekiedy, że na talerzu krzyżują się, jak nagie miecze mistrza Ulricha, dwa tylko gołe szparagi, a między nimi przycupnął sierotka guziczek tłustej wątróbki, z czerwoną pestką granata pośrodku, to wiedzą już Państwo, skąd to się wzięło. I 50 euro bez napiwku.

→

→ Legenda jest następująca i dla kamer przez starego Bocuse'a czasem odgrywana: Gault i Millau w poszukiwaniu nowych wrażeń kulinarnych zajechali do jego już trzygwiezdkowej restauracji w Collanges. Bocuse, ku ich zdziwieniu, poczęstował ferajnę sałatką z zielonej fasolki szparagowej, jędrnej w dotyku, chrupiącej pod zębami, do tego pokrojone pieczarki i szalotka. Pochrupali, pokiwali głową, stwierdzili, że tak się nigdzie dotąd nie jadało i powiedzieli, dosłownie: „To jest nowa kuchnia”.

Bocuse wysłał ich do znajomych kucharzy. Jeden z braci Troisgros niedawno opowiedział, jak to było z innym założycielskim daniem *nouvelle cuisine*, jego łososiem w sosie szczawiowym. Od dawna go serwował; w jego wydaniu filet był o wiele lżej przyrządzony niż zazwyczaj, a tradycyjnym sosem nie polewał ryby, lecz mościł nim dno talerza. Z prasy dowiedział się później, że jest rewolucjonista.

Kuchnia Bocuse'a, lecz w istocie cała pierwsza odłona *nouvelle cuisine*, polegała jeszcze na przeróbkach munduru dziadka. Te same produkty, ale staranniej dobrane, świeższe, nieco inaczej przygotowane. Jeszcze nie tak zminiaturyzowane na talerzu, nie tak zamaskowane. Bo też *nouvelle cuisine* lat 60. dokonała względnie małego przesunięcia we francuskiej gastronomii; wyjęła cegielkę, lecz budowała dawnego świata kulinarnego zawałiła się dopiero dziesięć, może dwadzieścia lat później. Nie należy patrzeć na tamte wstępne chwile z dzisiejszej perspektywy, którą wyznacza relacja typu uczeń–mistrz. To znaczy takiej, w której klient dowiaduje się od kelnera, co z nadania mistrza ugrzęzło mu na talerzu, bo sam do tego nie dojdzie.

Wówczas jeszcze, przed majem 1968 r., wszystko było rozpoznawalne, tyle że przyrządzone nieco inaczej, najczęściej na lekko, mniej obrobione na ogniu, mniej przetworzone i nieco inaczej połączone. Pojawiał się doskonale znany składnik, tyle że w innej roli. Na przykład w kolejnym słynnym daniu założycielskim, *salade folle*, „szalonej sałacie”, do normalnej sałaty z normalnymi warzywami mistrz Michel Guérard dodał zamiast oliwy tłuste *foie gras*. I tyle, aż tyle.

Okazuje się jednak, że – w co trudno dziś uwierzyć – taka skromna inwencja była fundamentalna. Raz jeszcze odwołam się do dzisiejszego doświadczenia. Otóż dzisiaj nic nas nie może w wysokiej kuchni restauracyjnej zadziwić. Dowolność nie ma granic, więc tabu nominalnie nie istnieją. Podnosimy brew, no proszę, coś takiego, lecz nie czujemy się kompletnie zbici z panatyku; jesteśmy przyzwyczajeni, że inwencja kucharza nie zna ograniczeń.

Oczywiście, jeden gość może się brzydzić jakiegoś zielska wyciągniętego z błota w parku narodowym, ktoś drugi nie tknie surowego jadra byka andaluzyjskiego macerowanego w pierwiosnkach z Kaukazu i nalewce z paproci zbieranych w noc świętojańską, lecz surowizna i dziwna marynata skandalu nie wywoła. A we Francji lat 60. nie jadało się półsurowej ryby i monsieur Troisgros nigdy nie ujawniał klientowi stopnia jej wysmażenia. Nie jadało się nawet chrupiących, ciut surowych warzyw – Paulowi Bocuse zdarzyło się odbierać z powrotem talerze z niedogotowanymi, w odczuciu gościa, warzywami. „Nie umięją jeść” – kwitował.

Podniebienie Francuzów było jeszcze bardzo konserwatywne. Brigitte Bardot już się rozbiierała i turlała przed kamerą po puszystym dywanie, lecz niedosmażonej ryby nikt nie brał do ust. Restauratorzy byli skowani przyzwyczajeniami rodaków. I jeszcze bardziej współgrając z nimi doksą zawodową, określającą, czym ma być wielka gastronomia. Bo też nad kuchnią francuską tamtych lat wisiał kastrujący cień Roberta Escoffiera,



TOPFOTO / FORUM

Paul Bocuse prezentuje słynną zupę VGE, luty 1977 r.

który skodyfikował francuskie menu degustacyjne na przełomie XIX i XX wieku.

Jak opowiadają przyszli kucharze rewolucjoniści, długo trwało, zanim udało im się małymi posunięciami wyzwolić spod władzy symbolicznego ojca. Escoffier chcąc nie chcąc uczynił z kolejnych pokoleń kucharzy zwykłych wykonawców zadania. O klasie restauracji miał świadczyć przede wszystkim wystrój sal i piękna zastawa; *maître d'hôtel* i obsługa ważniejsi byli od facetów w kitlach schowanych w kuchniach mieszczących się nieraz w piwnicach, odseparowanych od gości jak podświadomość od superego.

W swoim peanie poświęconym rybnemu daniu braci Troisgros krytyk „Le Monde” napisał, że pojawił się wreszcie „inteligentny łoś”; od tego czasu bracia co roku wydawali na stół tysiące porcji tego mądrali. Były lata 60., były pieniądze, były ci troję z blachy cieńszej niż naleśnik, były wakacje, Francuzi zaczęli jeździć masowo do okrzyczanych restauracji, najpierw gdzieś przy drodze na wybrzeże, później zbaczając z głównych szlaków. Recenzja w takim piśmie jak „Le Monde” wypełniała sale na kilka miesięcy. Już można było.

Le loup en croûte

Tamy wreszcie pękły. Wielkich szefów, którzy pod koniec lat 60. mieli w karcie minimum trzy nieklasyczne dania, było ledwie parę procent, pod koniec lat 70. była ich połowa, póź-

niej według obliczeń ponad 90 procent. Menu degustacyjne, czyli „ja jako ja”, praktycznie jeszcze nie istniało. Ale z czasem nowe sposoby gotowania i kojarzenia smaków przestały wystarczać, rozpoczął się proces intelektualizacji kuchni, pojawiła się coraz bardziej wysublimowana poetyka prezentacji, szkoła kulinarnego designu. Zminiaturyzowane kompozycje, inscenizacje obrazów Mondriana na talerzu, i obok niego nakręcane widma – kelnerzy wyciszający mechanicznie przed pośpiesznym zniknięciem długą litanię składników, których gołym okiem nie da się rozpoznać. A później nadeszła postkuchnia, kuchnia zdekonstruowana, której założycielem był Ferran Adrià, i nic już nie było podobne do niczego.

Bocuse tak daleko nie idzie. *Nouvelle cuisine* na tym etapie raczej go nie interesuje. Krytycy kulinarni w ostatnim dwudziestoleciu zarzucają mu wręcz nadmiar klasycyzmu. Azotu na przykład nie używał i nie znosił, nie dla niego pianki z syfonów, które rozsławi wysoka kuchnia hiszpańska z przełomu stuleci. *Nouvelle cuisine*, powtarzał teraz, to „nic na talerzu, wszystko na rachunku”.

Krótką opowieść własna w sukurs Paulowi. Cierpiałem niedawno na łokieć tenisisty i wszczepiono mi rano komórkę macierzyste po rozbiciu na atomy mojej krwi własnej. Wieczorem miałem zaproszenie do znanej knajpy. Po kolacji zwiedzaliśmy kuchnię. Patrzę na urządzenia, a wśród nich ten sam przyrząd, który widziałem rano, służący do defrakcji krwi. Ostateczna cena zabiegu podobna.

Jeśli to jest jeszcze *nouvelle cuisine*. Można traktować jej koncept i jej trwanie jako zjawisko ściśle historyczne, ograniczone w czasie, od połowy lat 60. do końca lat 80. I nie zaliczyć już do niego kuchni molekularnej oraz kolejnych rodzajów kuchni technologicznej, której jesteśmy obecnie beneficjentami, a niekiedy ofiarami. Ale można też traktować ją szerzej, jako wydarzenie dziejowe, które zapoczątkowało nową rzeczywistość, gastronomiczną nowożytność: kolejne mody będą się zmieniać, kolejne przymiotniki do słowa „kuchnia” będą się przyklejać, lecz wszystko będzie krążyło po orbicie, którą *nouvelle cuisine* zarysowała dla potomności. Inwencja, wolność, odwaga, choć niekoniecznie odpowiedzialność. Kuchnia będzie teraz już zawsze *nouvelle*.

Mniej więcej w tym samym czasie, w którym zaczęła powstawać *nouvelle cuisine*, czyli w połowie lat 60., narodził się całkiem niezależnie prąd Eat Art. Jego *spiritus movens* był artysta Daniel Spoerri; wpłynął on na wielu artystów, w tym Beuysa. Zainspirowany futuryzmem, wykorzystywał on pożywienie do artystycznej kreacji; stworzył nawet efemeryczną restaurację, gdzie dokonywały się jednorazowe eksperymenty, performanse i działania. Bardzo śmiałe, typu *ragoût* z pytona (może wirtualne, nie wiem). Moim zdaniem za parę lat będę to jadł na Koszykach.

Choć słów „artysta”, „kuchnia artystyczna” przy prezentacji *nouvelle cuisine* używano dużo, działało się to przy stoliku metafor; między takimi ruchami jak Eat Art a wczesną *nouvelle cuisine* nie było większej zbieżności. Mówiło się o Paulu Bocuse i innych: „artyści”, bo byli świetni w swym fachu, jak artystami byli niektórzy serowarzy czy winiarze; w końcu już dawno temu uznano kuchnię za sztukę piękną, za dziewiątą czy którąś tam muzę. Nazywało się proces tworzenia dań „artystycznym”, mówiło się o kompozycji, koncercie, obrazie, gdyż każda kre-

Bocuse był mistrzem marketingu i komunikacji,
czyli najlepiej i najszybciej
zrozumiał przyszłość.
Ze swego nazwiska uczynił
markę, ze swych przepisów
obiekt przekazu.

acja, nawet ta najbardziej materialna, wymaga wyobraźni, a tę nowa kuchnia uruchomiła. Zaczęto wreszcie rozprawiać o pięknie, o estetyce smaku, lecz wciąż w klasycznych kategoriach harmonii i proporcji. Przełomu dokonali w tej kwestii Hiszpanie.

W roku 2007 Roger Buergel, dyrektor Documenta w niemieckim Kassel, zaprosił do udziału w nim wspomnianego wyżej Ferrana Adrià, który zresztą rok później wygłosił na Harvardzie wykład inauguracyjny. Kucharz (samouk, który zaczynał na zmywaku) postanowił, że jego uczestnictwo w festiwalu będzie polega-

ło na zapraszaniu co wieczór jednej pary festiwalowych gości na posiłek w jego katalońskiej restauracji, która przez sto dni stawała się w ten sposób pawilonem *extra muros* niemieckiej wystawy.

Adrià przewracał istniejący porządek. Gdy trzeba było, łamał wszelkie uznane zasady kulinarne, czy różne przyzwyczajenia i zabobony, miesząc na przykład słodkie ze słonym czy dając do jedzenia opakowania, w których nie było zawartości, albo przy użyciu chemii zmieniając głęboką strukturę i smak poszczególnych składników. Wobec dań Bocuse’a, nawet tak zabawnie wyglądających jak okoń morski w cieście, które dokładnie odtwarzało kształt ryby (co przypomina mi znane opakowywanie budynków i mostów przez bułgarskiego artystę Christo), wobec całej ówczesnej *nouvelle cuisine*, było to równie obrazoburcze co ruch dada wobec powieści Zoli.

Wybuchły spory i polemiki, przeciwnicy pomysłu włączenia Adrià w Documenta, jak głośny krytyk sztuki Robert Hughes, krzyczyli, że „jedzenie to tylko jedzenie”. Buergel replikował mówiąc, że Adrià to wielki rewolucjonista, „który stworzył własny język, mocno oddziaływający na międzynarodową scenę. (...) Inteligencja artystyczna nie zależy od wybranej materii. Nie należy utożsamiać sztuki wyłącznie z fotografią, rzeźbą czy malarstwem ani ogólnie z kuchnią. Jednak w niektórych okolicznościach również gastronomia może zostać uznana za sztukę”.

Dania-działania Ferrana Adrià i jemu podobnych, najpierw hiszpańskich, później różnonarodowych naśladowców zawdzięczają swoją renomę i potencjał wzbudzenia zachwyty oraz pożądania aurze, która wokół nich, wskutek działania rynku gastronomicznego, powstała. Czy to, co podane zostaje na talerzu, naprawdę jest smaczne? Że aż palce lizać? To nie ma takiego znaczenia – czy piękny jest plastikowy pies Koonsa albo „Złoty cielec” Hirsta wart 20 milionów dolarów? Sam nie jadłem niczego spod palców Ferrana Adrià, więc nie umiem odpowiedzieć, jak to w nieistniejącym już El Bulli czy w innych najsłynniejszych miejscach kuchni „współczesnej” smakuje, ale mogę na podstawie nieco mniej okrzyczanych przykładów stwierdzić, że samo pojęcie smaku przestaje być pierwszoplanowe. Liczy się cała sytuacja, a nie tylko sama strawa. W tym sensie pojęcie artystyczności kuchni wtapia się w dzisiejsze funkcjonowanie rynku sztuki i siebie uzasadnia.

Poulet de Bresse au gros sel

Oglądam program kulinarny telewizji francuskiej z roku 1970. Śmieję się do rozpuku, program jest z punktu widzenia telewizyjnego uroczo nieporadny. Uroczo: na dzisiejsze audycje kulinarne nie da się patrzeć; jest to niezdolnie gładkie. Nieporadny: w filmie Bergmana czy Felliniego z tamtych czasów nie dałoby się

→ się ruszyć ani kadru; tu też się kręci, lecz jesteśmy w klubie amatorów.

Oczy Bocuse'a latają nerwowo, uśmiech ma równie naturalny co bokser ze sztuczną szczęką. Stoi w białym czepcu, którego na wizji i fotografiach, gdziekolwiek spojrzeć, niemal nigdy, do kresu życia, nie zdejmuję. Pół metra w górę, kucharz (francuski) to brzmi i wygląda dumnie. Oczyszcza kurczaka przed kamerą, trwa to z pięć minut. Kolejnych pięć zajmuje włożenie dziesięciu ząbków czosnku. Kolejnych siedem obłożenie całosci grubą solą. Kamezysty nie wie, co z kamerą zrobić, zagląda na stół pod pachą mistrza.

Bocuse jest już słynny, lecz czasy globalnego gastronomicznego celebrytwa i jego medialnej obróbki jeszcze nie nastały. Płomień już się od pewnego czasu żarzy, lecz dotąd nie buchnął. Niektórzy historycy kuchni twierdzą, że to Bocuse zapalił stos. Byli jeszcze inni, wspomniani bracia Troisgros na przykład, lecz wszystko ułożyło się tak, aby na jego nazwisku mogła się oprzeć opowieść „o tym, jak rozpętano kulinarne szaleństwo pod koniec dwudziestego wieku”. Miał charyzmę, gadane, mimikrę, to jego będą szukały obiektywy i mikrofony. Swobody szybko się nauczył. Robert Doisneau, najsłynniejszy francuski fotograf po wojnie, ten od pocałunku w Paryżu, nie mógł mu zrobić zdjęcia; irytował się, gdyż Bocuse zbyt dobrze się ustawiał.

Mity, prawdy – trudno w przypadku Bocuse'a je rozdzielić. Zupa truflowa nie była ponoć jego pomysłem, kopułkę gdzieś zobaczył, przeniósł na swoje; z facetami od Michelina było tak, z tymi od Gault i Millau jednak na bakier, nie chciał ich dopuścić do interesów (więc nigdy mu nie dali najwyższej oceny); gdyby #MeToo powstało za jego czasów, straciłby może część splendoru. W dodatku koledzy kucharze nie uznawali go za największego spośród nich; tym kimś wedle mego rozpoznania był w ich oczach zmarły młodo, dyskretny, literacki, stroniący od rozgłosu Alain Chapel.

W jednym wszyscy są zgodni: Bocuse był mistrzem marketingu i komunikacji, czyli najlepiej i najszybciej zrozumiał przy-

szłość. Pierwszy do telewizji, pierwszy do perorowania, pierwszy do rządzenia. Pierwszy do reklamy, dosłownie: przed nim żaden kucharz żadnego produktu nie reklamował. Ze swego nazwiska uczynił markę, ze swych przepisów obiekt przekazu. Najbardziej prestiżowa nagroda dla młodych kucharzy nosi jego imię: co dwa lata rozgrywają się igrzyska w gotowaniu, których zwycięzca dostaje Bocuse d'Or, złoty medal otwierający wszystkie drzwi. Sam to wymyślił.

Był jednym z tych motorów, które zrobiły z kuchni wielką, międzynarodową sprawę i wyniosły kucharzy na piedestał. Ich też już można pytać: jak żyć? Od wielu lat osobiście niemal nie gotował. Miał na to swój *bon mot*, a wiedział, że dobrze rozmieszczone bon moty to dwieście procent sprzedaży więcej: „Kto za pana gotuje, kiedy pana nie ma? – Ci sami, co gdy jestem!”.

Stworzył instytucje pedagogiczne (słynny Institut Paul Bocuse), serię produktów supermarketowych, łańcuch barów szybkiej obsługi. Otworzył kilkanaście restauracji w całej Francji, w tym kilka trzygwiazdkowych. Dużo jeździł po świecie, zwłaszcza na Wschód i do Ameryki. Kiedy jedna Ameryka ściągała na występy Derridę, Baudrillarda, Foucaulta, druga Ameryka (a może i ta sama) ściągała Bocuse'a i innych słynnych kucharzy francuskich.

Bocuse otworzył ze współnikami restaurację nie tylko w Nowym Jorku, ale też na Zachodnim Wybrzeżu i w samym Disneylandzie. W Japonii traktowano go jak bożyszcze, opatrzył tam swoim nazwiskiem osiem brasserii. Jeszcze hotele i tak dalej. Podobnie jak nazwisko Chanel i innych, odeszłych dawno temu kreatorów mody, jego nazwisko pozostanie, póki ludzie będą chcieli płacić za jedzenie.

Obecnie płacą w co lepszych knajpach za świętą trójkę. „Topinambur – proso – ostryga”, „kasztan – kopytko – tuńczyk” czy podobnie. Taka moda zapisu, trzy nuty, na których kucharz gra swego własnego Coltrane'a. Bocuse już tego nie usłyszy, ale to on pokazał światu saksofon.

©

MAREK BIEŃCZYK

W Sądzie Rejonowym w Przysusze, pod sygn. akt sprawy I Ns 190/17, toczy się postępowanie z wniosku Spółki dla Zagospodarowania Wspólnoty Gruntowej wsi Sołtysy z udziałem: Marianny Paliwody, Joanny Juszczynskiej, Zbigniewa Paliwody, Haliny Stępień, Jadwigi Paliwody, Stanisława Paliwody, Elżbiety Paliwody, Antoniego Paliwody, Krystyny Paliwody i Genowefy Tersy, o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w miejscowości Sołtysy, gm. Gielniów, pow. przysuski, oznaczonej jako działka ewidencyjna nr 833/2 o powierzchni 5,6907 ha, przedstawionej na mapie wydanej przez Starostę Przysuskiego za nr. kancelaryjnym GK.III.6621.4.107.2014 przez posiadacza samoistnego – Spółkę dla Zagospodarowania Wspólnoty Gruntowej wsi Sołtysy.

Wzywa się osoby zainteresowane, w tym w szczególności spadkobierców po zmarłym uczestniku Ryszardzie Jaźwicu, s. Franciszka i Rozalii, którego zwłoki odnaleziono 8 lutego 2017 r. w Gościńcu, gdzie miał ostatnie miejsce zwykłego pobytu, by w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do tej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności przez posiadacza samoistnego – zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze, pod sygn. akt sprawy I Ns 191/17, toczy się postępowanie z wniosku Jadwigi i Stanisława małż. Paliwodów oraz Marianny Paliwody, z udziałem: Antoniego Paliwody, zam. Gościńiec, Genowefy Tersy, Krystyny Paliwody, Elżbiety Paliwody, Joanny Juszczynskiej, Zbigniewa Paliwody, Haliny Stępień, Kazimierza Habiery, Sławomira Habiery, Jadwigi Habiery, Spółki dla Zagospodarowania Wspólnoty Gruntowej wsi Sołtysy, o stwierdzenie nabycia własności przez posiadacza samoistnego (uwłaszczenie) nieruchomości położonej w miejscowości Sołtysy, gm. Gielniów, pow. przysuski, oznaczonej jako działka ewidencyjna nr 833/2 o powierzchni 5,6907 ha, przedstawionej na mapie wydanej przez Starostę Przysuskiego za nr. kancelaryjnym GK.III.6621.4.8.2014 przez posiadaczy samoistnych – Jadwigę i Stanisława małż. Paliwodów oraz Mariannę Paliwodę.

Wzywa się osoby zainteresowane, w tym w szczególności spadkobierców po zmarłym uczestniku Ryszardzie Jaźwicu, s. Franciszka i Rozalii, którego zwłoki odnaleziono 8 lutego 2017 r. w Gościńcu, gdzie miał ostatnie miejsce zwykłego pobytu, by w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do tej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności przez posiadacza samoistnego – uwłaszczenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

ANDRZEJ

Stasiuk:

Tamtego lata na Altaju



W POLITYCE NUDA, W KULTURZE BRYNDZA, za oknem (parafrazując trzech słynnych poetów) ni chu-chu tematu. Taki jest żywot felietonisty. Wyglądasz i ni chu-chu. Nuda, bryndza i mgła. Wtedy pozostają wspomnienia. Im felietonista starszy, tym ma więcej wspomnień. Młodzi felietoniści mają gorzej. Tak jak wszyscy młodzi zresztą.

W każdym razie w lipcu minionego roku zwiniliśmy namioty nad rzeką Katuń gdzieś za Kupczegen. Rzeka była zielona, jakby płynął nią szwedzki grynszpan. Jechaliśmy Czujskim Traktem oczywiście do Mongolii. Przez cały ten cudny Altaj z dolinami jak ze snu, kurhanami, kamiennymi „babami”, prastarym szlakiem koczowników, którzy przed wiekami w swoich szyszakach i łuskowych pancerzach wieźli Zachodowi wynalazek spodni.

Tujekta, Ongudaj, Jaloman, Czibit, Aktaş... od samych nazw kręciło się w głowie. Jakież trzysta mieliśmy do granicy. Pusta, gładką drogą wśród gór i rzek. Mieliśmy jeszcze stanąć w Kosz-Agacz, „najbardziej suchym miejscu Federacji Rosyjskiej”. Tyle razy tam stawałem, że monografię mógłbym napisać. O ugiurskiej knajpie naprzeciw bazaru by tam było. O hoteliku Tranzit, który wyglądał tak, jakby Jewgienij wybudował go bez użycia mechanicznych narzędzi i bez wizyty w jakimkolwiek składzie budowlanym, ale niezwykle przyjemnym. O stacji benzynowej, gdzie można było wypić ostatnią kawę z ekspresu, a następną dopiero za 1680 kilometrów w Ułan Bator. No ale teraz tylko trochę jedzenia kupiliśmy i wio do Taszanty na przejście i potem na step bezkresny.

Ale zamknięte było. Miły pogranicznik o urodzie Kazacha wyszedł z budki i powiedział: „*Nie rabotajet*”. „*Jak nie rabotajet?*”. A zwyczajnie. Jeszcze przez pięć dni *nie rabotajet*, ponieważ Mongołowie zamknęli swój kraj z powodu największego narodowego święta Naadam. Jak skończą świętować, to otworzą. Zamknęli, to zamknęli, pomyślałem. Kochałem ten kraj i byłem w stanie wszystko mu wybaczyć. Nic, po cudnym Altaju pojeździmy. No ale ja? Przecież strefa przygraniczna, FSB tu rządzi, jakaś *bumaga* jest potrzebna, meldunek. Więc *abarot* do mojego Kosz-Agacz spadkobierców NKWD szukać. Największy budynek i najelegantszy mieli. Z czerwonego klinkieru na cztery albo pięć pięter, na samym skraju miasteczka. Pewnie, żeby krzyków nie było słychać. Znaleźliśmy odpowiedni pokój, a tam śliczna dziewczyna wschodniej urody w mundurze siedzi, słucha, o co chodzi, i w końcu uprzejmie o papiery prosi. Daje jej paszport, prawo jazdy, dowód rejestracyjny, polski dowód osobisty i legitymację prasową „Tygodnika Powszechnego”. Ręce mi się trzęsą. „*A migraszka?*” – pyta. Jezu! *Migraszka!* Czyli ten święty kwit, który na granicy wypiełniasz i potem przy wyjeździe musisz oddać. Bo jak nie, to Łubianka i deportacja, albo odwrotnie. Małe to jest, nikczemne z wyglądu i nie da się tam nic wpisać, bo rubryki jak dla krasnala. I zawsze ginie, zawsze gdzieś przepada, więc wyjazd do Federacji to nigdy nie są wakacje, tylko przeszukiwanie kieszeni, czy jest, czy nie wyleciała, czy wiatr pod Bar-

naulem albo Czytą nie porwał. Ale była! Daje, pięknooka prostuje kwitek, kręci głowę, a potem patrzy mi w oczy: Niedobrze. Zamiast „turyzm” podkreśliłeś „tranzyt”, polski przygłupie. Podkreśliłem, bo mi na przejściu w Sudży poradzili. „A co oni tam w tej Sudży wiedzą” – prychnęła. Potem wzięła korektor, wymazała na tym świętym kwicie i pokreśliła prawidłowo. „Tylko, wiesz, jakby co, to ja nic o tym nie wiem”. „Dobrze – odpowiedziałem. – Niech mnie torturują, nie zdradzę”. Dostałem piękny uśmiech oraz pozwolenie na pięć dni.

Ach Altaj! Namiot, ognisko, strumienie jak kryształ. Srebrne błyski rybich brzuchów. Gorący lipiec. Któregoś dnia podjechał skośnooki jeździec i powiedział z westchnieniem: „Kończy się lato”. I odjechał. Gdzieś koło Ust-Ułagan zniosło nas na szamański ślub. Państwo młodzi mieli piękne stroje jak sprzed tysiąca lat. Szaman sowiecką czapkę nieodgadnionej formacji i wspominał NRD. Wzruszyłem się i zostawiłem młodym jedną z trzech flaszek żubrówki, które wiozłem. K., na znak braterstwa, wymienił się z panem młodym podkoszulkami. Dostał fosforyzujący seledyn. Poczęstowali nas baraniną. Nikt tego nie mógł jeść, więc padło na mnie. W oddali wznosiły się ośnieżone szczyty. Pojechaliśmy nad Jezioro Teleckie. Dziesięć na godzinę czymś w rodzaju drogi. Po jednej stronie była skała, po drugiej kilkusetmetrowe urwisko. Dwa rowery by się wyminęły. Modliłem się. Spaliśmy w drewnianej sześciokątnej jurcie przy ogarku świeczki. Rano blada T. powiedziała: „Nie zmrużyłam oka”. „Dlaczego?” – zapytałam. „Bo wiedziałam, że będziemy wracać tą samą drogą”.

Na przejście w Taszancie zajechaliśmy dzień wcześniej, żeby zająć kolejkę. Tak samo pomyślało jakieś dwieście aut i ze dwadzieścia motocykli. Paliły się ogniska, ktoś nosił wodę, na nagim stepie kobiety szukały ustronnych miejsc. Rozłożyliśmy się wśród motocyklistów. Byli z Rosji, Zachodu, byli też rodacy. Na wielkich, objuczonych enduro, africa twin, beemach i suzuki. Trochę im zazdrościłem pięknych, przypominających zbroje, ubiorów. Leżeliśmy i popijaliśmy po męsku z flaszek. Z tamtej strony zaczęli puszczać. Ktoś do nas podjechał. Na skuterze. Takim miejskim. Z przodu miał nalepkę: „Seul-Lizbona”. Motocykliści popatrzyli po sobie. Zsiadł, zdjął kask, nie miał więcej niż metr pięćdziesiąt. „*Mongolia, fucking country, fucking roads, not roads, fuck...*” – zawołał. Mówił po angielsku mniej więcej jak ja, albo i gorzej. „*Fuck!*”. Musiał wjechać od Kiachty, więc zrobił jakieś dwa tysiące, z czego większość bezdrożami, gdzie nawet porządne terenówki mają ciężko. Na skuterze błyskały kolorowe lampki, a z głośniczków leciała wesoła koreańska muzyka. Wskazał na zachód, w głąb Federacji, i zapytał z nadzieją: „*Asphalt?*”. Potem kucnął, poklepał ziemię i znowu: „*Asphalt?*”. „*Asphalt... at least to Warsaw*” – powiedziałem. Motocykliści bez słowa stanęli na baczność i oddali honory. ©

Przed Sądem Rejonowym w Kamiennej Górze, Wydział I Cywilny, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Genowefie Kawce, mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Kamiennej Górze, zm. 9 marca 2013 r. w Wałbrzychu.

Wzywa się spadkobierców, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia, zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. Sygn. akt I Ns 379/17.

OGŁOSZENIE

STANISŁAW

Mancewicz:

Analiza listu



JEŻELI KTOŚ LICZY, ŻE BĘDZIEMY PISAĆ O Ryszardzie Czarneckim, ten się myli. O Ryszardzie Czarneckim nie da się pisać. Wie to każdy, komu na sercu leży piękno języka ojczystego i higiena osobista bądź męczy łamanie tabu. Także nie zajmujemy się naszymi hitlerowcami, w sposób bowiem najbar-

dziej spodziewany zrobił to urzędujący minister od policji. Będziemy dziś za to płać się w domysłach na temat listu.

Na wstępie rzecz trzeba, że opanowaliśmy pisanie listów na poziomie mistrzowskim. Piszemy świetne listy motywacyjne, znakomite listy dyscyplinujące, a produkowane przez nas listy miłosne można śmiało włączyć do światowego kanonu tej specjalności. Piszemy listy bardzo krótkie i bardzo długie, umiemy pisać listy ogromnie nudne i narkotycznie przykuwające uwagę, smutne i wesołe, listy łagodnie usypiające i gwałtownie budzące, piszemy porywające listy otwarte i także sympatycznie szyfrowane listy ściśle tajne. Umiemy być subtelni, ale też niesłychanie prymitywni i wulgarni. Epistolografia zatem to gatunek literacki szczególnie nam bliski, więc rzecz jasna z zacięciem czytamy takie utwory jak ów puszczony przez Gospodara nie do jakiejś tam miss-pis, ale rzekomo do akolitów.

Rzecz trzeba, że część owego posłania zajmująca się sprawą senatora Koguta nas nie ciekawi. Jest tam, co prawda, coś o zwykłych Polakach, ale zakładamy, że nie nas nadawca miał na myśli. Ten fragment to przede wszystkim groźby. Zwykle i nudne. Przewidywalne i podane bez żadnego wdzięku pisarskiego. Ar-

chiwalny zasób listów napisanych przez dowolnych wodzów, carów czy generałów lejbgwardii do buntowników bądź korsarzy jest na tyle solidny, by zorientować się, że to pismo nie znajduje się ani w tym katalogu, ani nawet w wyborze korespondencji Gospodarza celowanej w kadrę płaczących grubasów z obrony terytorialnej. Jest to w tym sensie list nieudany, bo bez jedności, bez której groźenie nie ma żadnego sensu. Słowem, ten kawałek nas nie bierze, ale w drugiej części owego listu jest zdanie niechcący piękne, dotyczące tzw. rekonstrukcji. Napisa-
ne jest prozą pierwszej próby, będącej – mniemamy – owocem samorodnego talentu, a nie zażywania prozaku. Podajemy je tu za portalami niezłomnymi w precyzyjnym cytowaniu Gospodarza: „Odwołanie ze stanowiska wcale nie musi oznaczać krytycznej oceny efektów jego pełnienia, co więcej, może być to decyzja podjęta mimo bardzo wysokiej oceny sposobu wykonania związanych z daną funkcją zadań”.

Gdyśmy to zdanie przeczytali sobie na głos, gdyśmy zaczęli owego słuchać tak intensywnie, że nasza trąbka Eustachiusza zamieniła się w puzon, zawołaliśmy: „Halo! Czy my aby na pewno żyjemy w kraju brutalnego zamordyzmu? Neoliberalizmu? XIX-wiecznego kapitalizmu? Gdzie rzekomo pracownik jest tyłtany w okrucieństwie prekariatu bądź to jęczy w kajdanach relacji folwarcznych? Na pewno?”. Ze zdania tego wynika wprost przecieź, że kraj nasz jest raczej największą w galaktyce fabryką różowego pudru poprawności korporacyjnej, albo że się ku takiej fabryce przemieszcza. W tym sensie mniemamy, że list Gospodarza ma inny charakter, niż się wydaje liczny komentatorom i analitykom naszej sceny politycznej, że rzekomo ma na celu uspokojenie – ależ lubimy to sformułowanie – dołów partyjnych. Nic ów list ani z dołami, ani z partyjnością nie ma wspólnego. Jest to po prostu nowy „poradnik szefa” i ma wskazać na rewolucyjną zmianę, jeśli idzie o formułowanie tzw. monologu pożegnalnego podczas redukcji niekompetentnego personelu. Biznesie polski, czytaj listy Gospodarza, a dostaniesz wysoką ocenę sposobu wykonania związanych z daną funkcją zadań. © P

BARTOSZ MINKIEWICZ



PIOTRUSIOŁI ZNOWU ŚNILI SIĘ POWSTAŃCY WARSZAWSKY I ŻOŁNIERZE WYKIEĆ NA URODZINACH U ADOLFA HITLERA.

DOŁĄCZ DO GRONA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”!



Prenumerata wydania papierowego to:

- numer ponad 2 złote taniej niż w kiosku*
- egzemplarz dostarczany do skrzynki pocztowej
- oferty lojalnościowe dla Prenumeratorów
- pewność otrzymania każdego wydania

Zapraszamy!



CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ:

Prenumerata	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	299 zł	349 zł
Półroczna (26 numerów)	189 zł	209 zł
Kwartalna (13 numerów)	99 zł	109 zł

Prenumeratę można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

PRENUMERATĘ ZAGRANICZNĄ można opłacić poprzez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

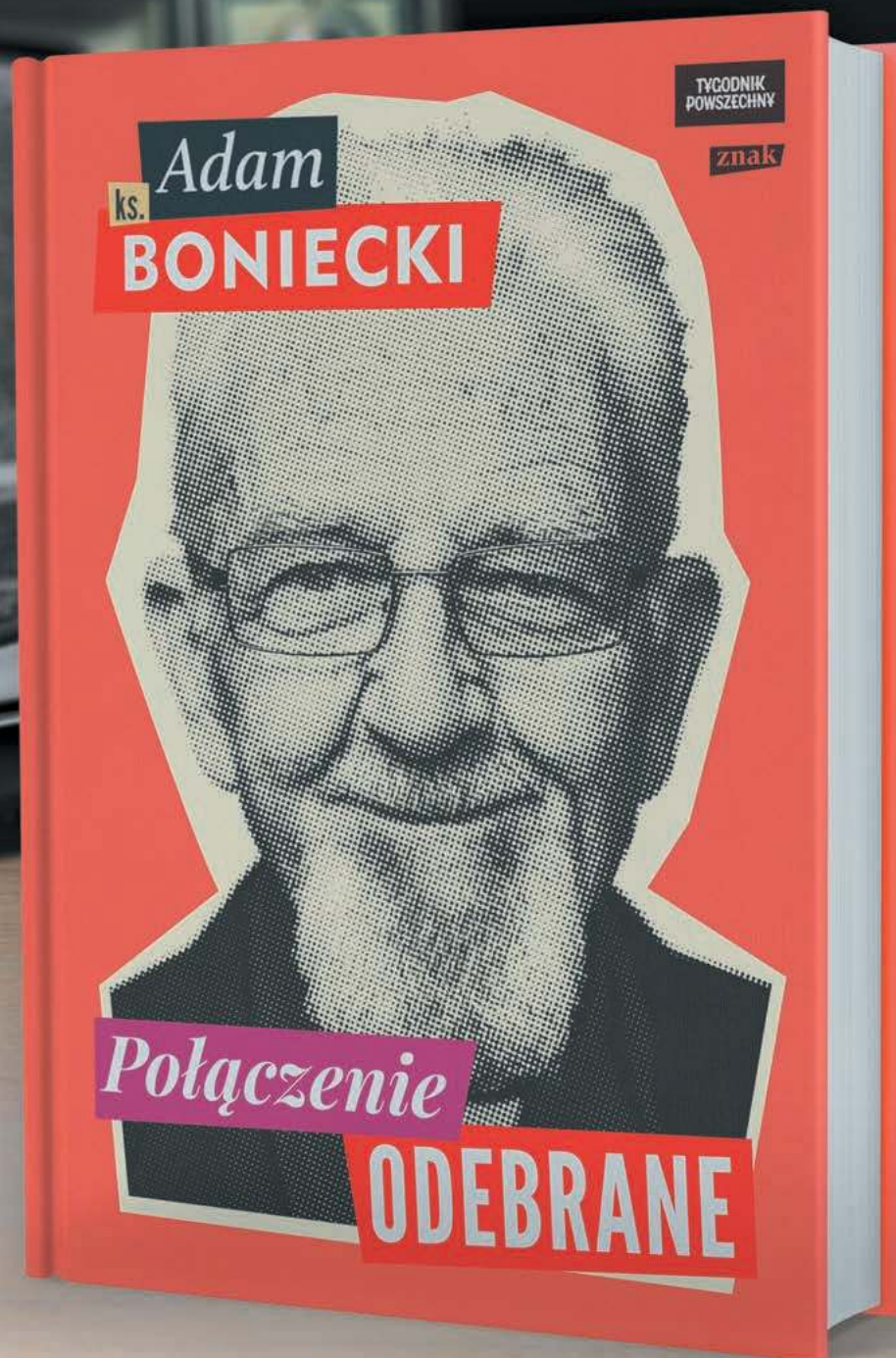
Szczegółowych informacji udziela Joanna Mazur-Polańska pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

* w rocznej prenumeracie ekonomicznej

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER
MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation



Najważniejsze teksty ks. Bonieckiego

Szukaj w salonach **empik** i na **empik.com**